

Polska Zbrojna

CENA 6,50 zł (w tym 8% VAT)



KOBRA ATAKUJE

SPECJALSI SZKOLĄ SIĘ
NA POLSKICH POLIGONACH

EDUKACJA WOJSKOWA

ARMIA Z KLASĄ



JĘZYK WSPÓŁPRACY

ANTONI MACIEREWICZ
O POKOLENIU
DWUDZIESTOLECIA
MIĘDZYWOJENNEGO

REFORMA SZKOLNICTWA WYŻSZEGO,
LEGIA AKADEMICKA, PIŁOTAŻOWY PROGRAM
KLAS MUNDUROWYCH – TE PROJEKTY
ZMIENIAJĄ WOJSKOWĄ EDUKACJĘ

DROGA DO WEST POINT

Polak na legendarnej
amerykańskiej uczelni



KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

Polecam!

dr Dominik Smyrgała, redaktor naczelny



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” OKOŁO 60 NAJLEPSZYCH SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH ZAKWALIFIKOWAŁO SIĘ DO OPRACOWANEGO PRZEZ MINISTER- STWO OBRONY NARODOWEJ PILOTAŻOWEGO PROGRAMU DLA KLAS MUNDUROWYCH.

To pokazuje, że wśród młodzieży istnieje duża potrzeba zdobywania wiedzy aktualnej, opartej na systemowych, jednolitych i spójnych założeniach. Ci młodzi ludzie stanowią fantastyczną bazę, potencjał, który może być później wykorzystany na wyższych uczelniach wojskowych i w szeregach polskiego wojska. Dzięki nowemu programowi będą mieć równe szanse, bo zostaną jasno określone wymagania wobec nich, a ocena ich pracy będzie się odbywać według jednolitych zasad. Bogata baza dydaktyczna, nowoczesne zaplecze naukowe i socjalne, gwarancja nauki wśród najlepszych, zarówno wykładowców, jak i rówieśników – to z kolei atuty, które przyciągają studentów do wojskowych uczelni.

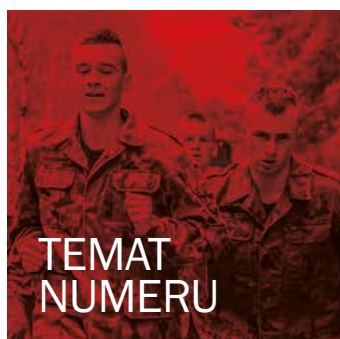
Edukacja wojskowa jest dziś reformowana na każdym szczeblu. Zmiany są niezbędne, żeby oferta wojska mogła rywalizować z cywilną. Już dziś najlepsi studenci w mundurach mogą kontynuować naukę na prestiżowych wojskowych uczelniach zagranicznych. Przykładem jest pchor. Bartłomiej Grzybowski z Wojskowej Akademii Technicznej, który od września przebywa w Stanach Zjednoczonych i w West Point spędzi najbliższe cztery lata.

Celem reform i nowych programów jest także przygotowanie wojskowe studentów uczelni stricte cywilnych. Temu ma służyć uruchomiony w październiku program „Legia Akademicka”, nawiązujący do tradycji Legii Akademickiej z 1918 roku. Gorąco zapraszamy do lektury.



▼ Zdjęcie miesiąca
na str. 6-7

JÓZEF PIŁSUDSKI ODBIERA DEFILADĘ NA POLU MOKOTOWSKIM, jest 11 listopada 1933 roku. Widzimy charakterystyczny profil, dumny, a zarazem srog i budzący respekt, splecione z przodu dłonie... Wtedy obchody rocznicy odzyskania niepodległości miały charakter ściśle wojskowy. To przedostatnia defilada Piłsudskiego... Bardzo wymowna fotografia, którą możecie podziwiać Państwo w tym wydaniu miesięcznika „Polska Zbrojna”. A czym dla nas jest niepodległość? Wolnością? Odpowiedzialnością? Dumą? Radością? Jesteśmy w przededniu stulecia jej odzyskania. Przygotowujemy się do tego pięknego jubileuszu. ■



TEMAT NUMERU

PAULINA GLIŃSKA

10 ABC wojska

Pilotażowy program klas
mundurowych

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

17 Wkręcenie w armię

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

21 Legia wzywa

PAULINA GLIŃSKA

25 Uczelnie na czasie

ANNA DĄBROWSKA

30 Nauka z perspektywami

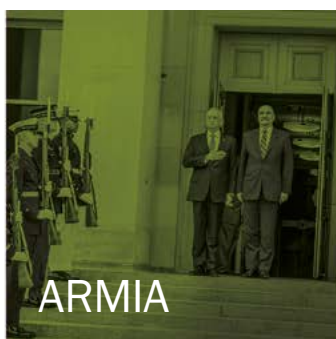
Rozmowa z Łukaszem Ilczukiem

PAULINA GLIŃSKA

32 Amerykańska lekcja

PIOTR KORCZYŃSKI

35 Szkoła inna niż wszystkie



ARMIA

IZABELA BORAŃSKA-

-CHMIELEWSKA,

TADEUSZ WRÓBEL

38 Język współpracy

Rozmowa z ministrem obrony
narodowej Antonim
Macierewiczem

MAGDALENA KOWALSKA-

-SENDEK, EWA KORSAK

44 Kobra: uderzenie specjalne

PIOTR RASZEWSKI

48 Konfrontacja ze smokiem

PIOTR RASZEWSKI

52 Inwestycyjny skok w dal

MAGDALENA

KOWALSKA-SENDEK

56 Wirtualne latanie

TADEUSZ WRÓBEL

60 Uzbrojeni w informacje

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

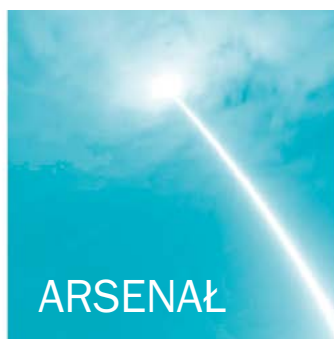
62 Okręt w zaciszu

BOGUSŁAW POLITOWSKI

68 Przez mózg do doskonałości

DOMINIK SMYRGALA

71 Intensywny czas



ARSENAŁ

TADEUSZ WRÓBEL

74 Atomowe przesilenie

Stany Zjednoczone inwestują
setki miliardów dolarów
w modernizację arsenału
nuklearnego

PAWEŁ BEHRENDT

79 Flota w cieniu polityki

KRZYSZTOF WILEWSKI

82 Na pierwszej linii frontu

Rozmowa z płk. Dariuszem
Plutą

KRZYSZTOF WILEWSKI

86 To nie przełom, to rewolucja!

RAFAŁ CIASTOŃ

93 Wiek pary



STRATEGIE

KRZYSZTOF WILEWSKI

94 Temida w sieci

Rozmowa z kmdr. Wiesławem
Goździewiczem

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

100 Cyfrowa awangarda

TOMASZ OTŁÓWSKI

102 Rosyjski cień Wuja Sama

MICHAŁ ZIELIŃSKI

106 Cena niepodległości

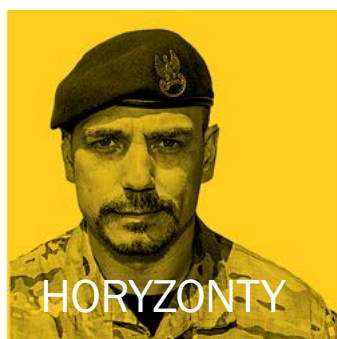
ROBERT SENDEK

112 Mała wojna o małą zatokę

WALDEMAR J. DZIAK

115 Nieskuteczne sankcje





PIOTR KORCZYŃSKI
116 Rogata dusza

Józef Panaś, niezwykły
duchowny wśród żołnierzy

PIOTR KORCZYŃSKI
122
**Chciałem
być tylko
żołnierzem**

Rozmowa z Jerzym
Majkowskim

TADEUSZ WRÓBEL
**126 Spod znaku kruczego
pióra**

ROBERT SENDEK
130 Obalić księcia

TADEUSZ WRÓBEL
**134 Niedoceniona
konstrukcja**

KRZYSZTOF KUBIAK
137 Odzyskać pilotów



MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**138 Nie zapominamy
o swoich**

„Maraton-Selekcja” –
memorial im. płk. Sławomira
Berdychowskiego

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
**143 Igrzyska
niezwyciężonych**

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
**146 Chcemy dotrzymać
słowa**

Rozmowa z Krzysztofem
Szwagrzykiem

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
150 Strażnicy cmentarzy

ANNA DĄBROWSKA
**155 Pamięć zaklęta
w kamieniu**

PIOTR KORCZYŃSKI
**156 Podziękowanie
za dar wolności**

ANDRZEJ FAŁARA
162 Defilady nie będzie

Zdjęcie na okładce:
Michał Niwicz

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-C A REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński, Ewa
Korsak, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber,
Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel,
tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-
Sendek, tel.: 725 880 221; Piotr Zarzycki,
Paweł Behrendt, Rafał Ciastoń, Waldemar J. Dziak,
Andrzej Fałara, Krzysztof Kubiak, Tomasz Ottowski,
Piotr Raszewski, Robert Sendek, Dominik Smyrgała,
Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika
Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski
(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski,
tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki (p.o. kierownika), Agnieszka Karaczun,
Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata
Szustkowska, tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 25.10.2017 r.

DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze
odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów
niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie
prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.

KADR



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI na trybunie honorowej
odbiera defiladę wojsk na Polu Mokotowskim
w Warszawie 11 listopada 1933 roku.

FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE



BUDOWA SILNEJ POLSKI

Do 2,5% PKB wzrosną wydatki na obronność w 2030 roku.

Nowelizacje przepisów – ustawy o przebudowie, modernizacji technicznej oraz finansowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej oraz prawa zamówień publicznych – podpisał prezydent Andrzej Duda. „Podpisanie tej ustawy to ważny element realizacji naszego programu budowy bezpiecznej i silnej Polski”, mówił prezydent. Ustawa przewiduje stopniowy wzrost wydatków na obronność. W 2020 roku ma to być 2,1% PKB, natomiast do roku 2032 mamy przeznaczać na obronność 2,5% PKB. Zmienia się też zasady obliczania 2% produktu krajowego brutto. Teraz budżet na utrzymanie i modernizację armii będzie wyliczany na pod-



Znowelizowane przepisy zakładają zwiększenie liczby żołnierzy z obecnych 150 tys. do

200 tys.

stawie rządowych prognoz PKB na dany rok, a nie jak dotąd na bazie danych z roku poprzedniego. Znowelizowane przepisy zakładają także zwiększenie liczby żołnierzy z obecnych 150 tys. do 200 tys. Związane jest to m.in. z planem utworzenia czwartej dywizji wojsk lądowych, zwiększeniem ukończenia już istniejących jednostek oraz formowaniem wojsk obrony terytorialnej, które docelowo mają liczyć około 50 tys. żołnierzy. W dokumencie został zmodyfikowany także system zaliczek dla wykonawców wojskowych kontraktów. Będą oni mogli liczyć na zadatek w wysokości do 33% wartości umowy. PZ, PG ■

Nowa inicjatywa

Wspólna polityka obronna Unii Europejskiej.

Chcemy uniknąć wprowadzania podziałów w sferze bezpieczeństwa”, mówił wiceminister Tomasz Szatkowski na posiedzeniu sejmowych komisji: obrony narodowej oraz spraw zagranicznych. Wiceszef MON-u przedstawił polskie stanowisko wobec projektu PESCO dotyczą-

cego stałej współpracy strukturalnej. Zakłada on ściślejszą kooperację wybranych państw Unii Europejskiej w sferze wspólnej polityki obronnej. Decyzja o uruchomieniu PESCO ma zapaść do końca roku na posiedzeniu Rady Europejskiej. „Polska przystąpi do nowej inicjatywy i aktywnie

uczestniczy w pracach nad PESCO, ale nie chcemy, by wzmocnienie wspólnej polityki obronnej UE odbywało się kosztem rozwoju NATO”, zaznaczył Szatkowski, bo to sojusz jest głównym gwarantem bezpieczeństwa militarnego w Europie. PZ, JT ■

Rakiety USA w Europie

Polska jest brana pod uwagę jako miejsce stacjonowania amerykańskiej brygady artylerii raketowej.

Amerykane planują rozlokować w Europie na stałe brygadę artylerii raketowej: dwa bataliony wyposażone w wyrzutnie rakiet MLRS, batalion obrony

przeciwlotniczej krótkiego zasięgu oraz kompanie zaopatrzenia. Koncepcja musi zostać zatwierdzona przez Departament

Obrony. Z pierwszych informacji Dowództwa Wojsk Amerykańskich w Europie wynikało, że Polska nie jest brana pod uwagę jako miejsce lokalizacji brygady. Amerykanie mieli wątpliwości, czy takie rozwiązanie nie narusza zapisów aktu stanowiącego NATO-Rosja.

U S A R M Y





Sojusznicza placówka

W Krakowie otworzono akredytowane przez NATO Centrum Eksperckie Kontrwywiadu.

Bezpieczeństwo naszych armii i narodów będzie zależało od wysiłku pracowników Centrum”, mówił w Krakowie minister obrony narodowej Antoni Macierewicz. W uroczystym otwarciu siedziby CEK NATO obok szefa polskiego resortu obrony wzięli udział jego odpowiednicy z Rumunii, Węgier i ze Słowacji, a także przedstawiciel Dowództwa ds. Transformacji NATO w Norfolk. Centrum Eksperckie Kontrwywiadu NATO w lutym tego roku otrzymało akredytację sojuszu północnoatlantyckiego. W sumie na całym świecie są 24 takie placówki, z czego dwie w Polsce.

CEK będzie szkolić specjalistów od kontrwywiadu NATO, prowadzić seminaria, opracowywać dokumenty normatywne, ma także przygotować doktrynę kontrwywiadowczą sojuszu.

Centrum Eksperckie Kontrwywiadu NATO powstało z inicjatywy Polski i Słowacji.

Minister Macierewicz zaznaczył, że instytucja ma do odegrania ważną rolę, zwłaszcza w sytuacji, gdy tak mocno akcentuje się bezpieczeństwo wschodniej flanki. „To tutaj będą wypracowywane podstawowe zasady

i sposoby działania kontrwywiadów krajów sojuszniczych, by móc skutecznie przeciwstawić się penetracji ze strony przeciwnika”, podkreślał szef MON.

Centrum Eksperckie Kontrwywiadu NATO powstało z inicjatywy Polski i Słowacji. Projekt wsparły także: Chorwacja, Czechy, Litwa, Niemcy, Rumunia, Słowenia, Węgry i Włochy.

Główna siedziba CEK NATO mieści się w Krakowie, a szkolenie poligonowe będzie prowadzone w słowackim Lešt. Dyrektorem CEK NATO jest płk Robert Bala. MKS

W tym dokumencie z 1997 roku przedstawiciele sojuszu zobowiązali się, że w nowo przyjętych krajach nie zostaną rozmieszczone broń nuklearna ani „stałe znaczące siły bojowe”. Ekspert nie są zgodni, jak definiować owo sformułowanie. Kilka dni po pierwszym komunikacie amerykańskie dowództwo wydało kolejny, w którym nie wykluczano już Polski jako miejsca dyslokacji brygady. Jak

potwierdza ppłk Anna Pęzioł-Wójtowicz, rzecznik szefa MON, są szanse, aby to właśnie w naszym kraju stacjonowali żołnierze amerykańskiej brygady artylerii rakietowej: „Podczas wizyty w USA sprawa bezpieczeństwa w regionie była przedmiotem rozmów ministra Antoniego Macierewicza z sekretarzem obrony Jamesem Mattisem”. PZ, ŁZ

Więcej w portfelu

Przeciętne uposażenie żołnierzy zawodowych w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosło z 4500 do ponad 4800 zł. Było to możliwe dzięki podwyżkom w latach 2016 i 2017 – takie dane na temat sytuacji materialnej żołnierzy przedstawił posłom sejmowej komisji obrony wiceminister Bartłomiej Grabski. Przypomniał, że od 2009 do końca 2015 roku nie było podwyżek uposażenia żołnierzy zawodowych: „Doszło wprawdzie do podniesienia wskaźnika wielokrotno-



ści kwoty bazowej z 2,82 do 2,95, jednak większą inicjatywą wykazał się obecny prezydent, który podpisał rozporządzenie podnoszące wskaźnik wielokrotności kwoty bazowej do poziomu 3,2”. W efekcie uposażenie wojskowych wzrosło z 4493 zł w 2016 roku do 4874 zł w bieżącym. Od 1 stycznia uposażenie szeregowego wynosi 3200 zł, starszego sierżanta 4000 zł, kapitana około 5000 zł, pułkownika około 8000 zł, a generała od blisko 10 tys. zł do ponad 15 tys. zł brutto. Średnie wynagrodzenie pracowników wojska wynosi 3700 zł brutto. Do 2011 roku podwyżki ich płac były zamrożone. Dopiero w 2016 roku doczekali się podwyżki średnio o 250 zł, a w tym roku o 200 zł. PZ, JT

TEMAT NUMERU

/ EDUKACJA





Rywalizacja uczniów podczas III Centralnego Zlotu Klas Mundurowych na poligonie 11 Lubuskiej Dywizji Zmechanizowanej.

PAULINA GLIŃSKA

ABC WOJSKA

Ruszył pilotażowy program nauczania w klasach wojskowych, który ma przybliżyć do wojska uczniów w mundurach.

KRZYSZTOF GONERA / 11 LDKPanc



W

całej Polsce w około pół tysiąca szkół ponadgimnazjalnych prowadzących klasy mundurowe (wojskowe, policyjne, pożarnicze, strażnicy granicznej i inne) kształci się blisko 50 tys. uczniów. Choć założenia funkcjonowania takich klas teoretycznie są takie same, w praktyce wiele różni sys-

temy nauczania oparte na programach autor-
skich. Zdarza się też, że przekazuje się
uczniom nieaktualną wiedzę na temat wojska.

Nie wszystkie placówki w równym stopniu mają też możliwość bezpośrednich kontaktów z armią. „Są szkoły, które ze względu na lokalizację bardzo prężnie współpracują z wojskiem. Ale nie brakuje też takich, na terenie których nie ma żadnej jednostki, więc ta współpraca na linii szkoła – armia jest sporadyczna”, mówi Waldemar Zubek, dyrektor Biura ds. Proobronnych w MON. I podkreśla, że mimo dużego zaangażowania części nauczycieli, którzy na bieżąco modyfikują treści zajęć, jak dotąd brak było kompleksowego i ujednoliconego systemu nauczania. „Efekt jest taki, że uczniowie klas mundurowych z wielu rejonów Polski mają zróżnicowany poziom wyszkolenia wojskowego oraz zasób wiedzy. Potwierdziły to nasze wizytacje w szkołach oraz obserwacje szkoleń uczniów organizowanych w jednostkach wojskowych”, mówi Waldemar Zubek.

Te powody skłoniły resort obrony do stworzenia kompleksowego „Programu nauczania dla szkół ponadgimnazjalnych przedmiotu edukacja wojskowa”. Pilotażowa wersja ruszyła 1 września 2017 roku w 57 zakwalifikowanych przez resort obrony narodowej placówkach w całej Polsce. „Do programu zgłosiły się w sumie 243 szkoły. Nie mogliśmy zaprosić wszyst-

kich, bo, po pierwsze, to edycja pilotażowa, która pokaże, czy idziemy w dobrą stronę, a po drugie, musieliśmy uwzględnić możliwy zakres wsparcia przez wojsko. Wytypowaliśmy więc najlepsze szkoły, które w naszej ocenie spełniają wymagania jakości kształcenia. Braliśmy pod uwagę opinie z kuratorium i wojskowych komend uzupełnień oraz doświadczenia z dotychczasowej współpracy z wojskiem”, wyjaśnia Waldemar Zubek.

Wśród zakwalifikowanych placówek jest Zespół Szkół w Dubience. W tamtejszym Liceum Ogólnokształcącym im. 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej klasa wojskowa działa od 2013 roku. Szkoła współpracuje z 2 Hrubieszowskim Pułkiem Rozpoznawczym. „To dla naszej małej placówki ogromne wyróżnienie i nobilitacja znaleźć się w elitarnym gronie 57 szkół w Polsce. Według nas to świetna okazja, aby proponować uczniom lepsze perspektywy wyboru dalszej kariery zawodowej i gwarancje pracy w wojsku. Prowadzona w naszym liceum specjalność edukacja wojskowa przygotowuje młodzież do pracy w charakterze zawodowych żołnierzy, kształci też postawy proobronne i patriotyczne. I dlatego dostanie się do programu traktujemy jako uhonorowanie naszych działań w tej dziedzinie”, mówi Bożena Wintmiller, dyrektor szkoły.

W pilotażu uczestniczy także Liceum Ogólnokształcące z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Ciechanowcu. Tu klasa wojskowo-sportowa funkcjonuje od 2009 roku. „Nasza szkoła jest jedną z trzech w województwie podlaskim, które zakwalifikowały się do programu MON-u. Przyniesie to wiele korzyści i dla młodych pasjonatów żołnierskiego rzemiosła, i dla naszej ojczyzny”, mówi Eugeniusz Święcki, dyrektor zespołu szkół w Ciechanowcu. Jego zdaniem to dobrze, że MON wpadło na taki pomysł. „Wreszcie ktoś pomyślał o tych klasach, dotychczas bowiem szkoły same



„Przed programem każda szkoła prowadząca klasy mundurowe na co innego kładła nacisk”, mówi Paweł Tomczyk, koordynator klas mundurowych w Zespole Szkół i Placówek Oświatowych w Skale.



musiały sobie radzić z ich prowadzeniem. Chcielibyśmy, aby program stał się cykliczny i objął wszystkie klasy wojskowe”, dodaje Świątki.

TEORIA I PRAKTYKA

W założeniu resortu obrony narodowej program ma poszerzyć ofertę edukacyjną dla uczniów, szczególnie tych, którzy są zainteresowani różnymi ścieżkami rozwoju zawodowego związanego z armią. „Program ma w stopniu podstawowym przygotować młodego człowieka do służby wojskowej w rozmaitych jej wersjach. Absolwent będzie mógł, po odbyciu skróconej służby przygotowawczej, pozostać w rezerwie, starać się o powołanie do zawodowej służby jako szeregowy lub pójść na studia wojskowe. Do każdej z tych dróg będzie już w jakimś stopniu przygotowany”, wylicza dyrektor Biura. Jak zaznacza, sam program edukacji wojskowej to w zdecydowanej mierze nauka wojskowego abecadła.

Wersja pilotażowa jest skierowana do uczniów klas drugich i trzecich liceów (klas trzecich i czwartych techników). Nauka potrwa półtora roku – całą klasę drugą i pierwsze półrocze klasy trzeciej. Obejmuje w sumie 185 godzin lekcyjnych. Na teorię zostanie przeznaczonych

45 godzin, praktyki będzie dużo więcej. Podczas wojskowych dni szkoleniowych uczniowie wezmą udział w zajęciach w terenie, treningach ze sprzętem wojskowym i specjalistycznym czy szkoleniach organizowanych przez jednostki wojskowe i organizacje pozarządowe. Zajmie im to w sumie 90 godzin. Kolejne 50 zostanie przeznaczonych na edukację w ramach pięciodniowego wojskowego obozu szkoleniowego. Przewidziano też 30 godzin lekcyjnych w formie samokształcenia, m.in. za pomocą platformy e-learningowej.

„Najważniejszą zaletą programu MON-u jest to, że szkolenie w klasach wojskowych będzie ujednolicone. Dotychczas bowiem każda szkoła prowadząca takie klasy na co innego kładła nacisk”, mówi Paweł Tomczyk, koordynator klas mundurowych w Zespole Szkół i Placówek Oświatowych w Skale.

Sam program obejmie szerokie spectrum zagadnień z wojskowego abecadła. Uczniowie będą się uczyć podstaw wychowania obywatelskiego i wojskowego, przejdą szkolenie logistyczne oraz prawne. Nie zabraknie też bojowego, w ramach którego młodzież będzie ćwiczyć taktykę i strzelanie, pozna zagadnienia dotyczące rozpoznania wojskowego oraz działania inżynierjno-saperskiego.



„Na te kwestie zostanie przeznaczonych najwięcej, bo aż 140 godzin w całym cyklu kształcenia”, wyjaśnia Waldemar Zubek.

Także sprawdziany okresowe oceniające poziom wyszkolenia uczniów będą teoretyczne i praktyczne. Te drugie przewidziano w formie tzw. ścieżki taktycznej, w której zostanie uwzględnionych wiele zadań do wykonania, np. przyjmowanie postawy strzeleckiej, ładowanie magazynka amunicją szkolną, rzut granatem ćwiczebnym, wskazanie azymutu czy udzielanie pierwszej pomocy. „MON od kilku lat wiele robiło dla klas wojskowych, a ten program jeszcze nam w tym pomoże. Od resortu obrony otrzymaliśmy minimum programowe, które wesprze nauczycieli klas mundurowych w unormowaniu programów autorskich. Jest to dobre kompendium wiedzy i materiałów szkoleniowych”, mówi Marcin Zelent, opiekun i nauczyciel klas wojskowych w Zespole Szkół w Dubience.

WSPARCIE WOJSKA

Realizacja programu będzie kompleksowo wspierana przez MON. „Przewidywany cel to zapoznanie uczniów z realnym procesem szkolenia żołnierzy, z ich udziałem w roli instruktorów i wykładowców, w ramach zajęć prowadzonych w wojskowych obiektach szkoleniowych oraz z wykorzystaniem sprzętu i uzbrojenia”, uzasadnia resort obrony.

Jedną z form wsparcia ma być bezpłatne udostępnianie terenu i obiektów szkoleniowych jednostek. Szkoły będą też mogły liczyć na udział wojskowych instruktorów w zajęciach praktycznych z uczniami. Możliwe też będzie kierowanie do przeprowadzenia wybranych zajęć teoretycznych (uzgodnionych ze szkołą) i praktycznych żołnierzy – wykładowców lub instruktorów. Wojsko będzie pomagało szkołom w organizowaniu obozów, dni szkoleniowych czy przeprowadzaniu sprawdzianów praktycznych. Przewidziano także wsparcie przez organizację proobronną o odpowiednich kwalifikacjach. Co więcej, każda klasa będzie miała przypisanego przedstawiciela terenowych organów administracji wojskowej – doradcę zawodowego, pomagającego w wyborze ścieżki służby wojskowej. „Współpracujemy z Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu i cieszymy się, że program pomoże zapewnić młodzieży odpowiednią, fachową kadrę. Tym bar-

ABSOLWENCI SZKÓŁ, W KTÓRYCH ZOSTANIE WPROWADZONY PROGRAM, BĘDĄ MOGLI REALIZOWAĆ SVOJE PLANY ZWIĄZANE ZE SŁUŻBĄ WOJSKOWĄ JUŻ W 2019 ROKU

PILOTAŻ W TRZECH ETAPACH

I ETAP – 1 września 2017 roku – 31 stycznia 2019 roku

(trzy półrocza nauki szkolnej). Realizacja programu nauczania przedmiotu edukacja wojskowa ze wsparciem jednostek wojskowych, centrów szkolenia i terenowych organów administracji wojskowej (TOAW). Program obejmuje zajęcia teoretyczne i praktyczne, realizowane m.in. z wykorzystaniem jednostek wojskowych i centrów szkolenia w formie wojskowych dni szkoleniowych oraz poligonowego obozu.

II ETAP – 1 lutego 2019 roku – 30 czerwca 2019 roku

(ostatnie półrocze nauki szkolnej). Wsparcie TOAW w ukierunkowaniu chętnych uczniów na możliwości odbycia służby wojskowej oraz kwalifikacja wojskowa dla pełnoletnich uczniów – ochotników.

III ETAP – 1 lipca 2019 roku – 31 sierpnia 2019 roku

(wakacje po zakończeniu nauki szkolnej). Dla absolwentów ochotników, którzy potwierdzą w ramach kwalifikacji wojskowej zdolność do czynnej służby wojskowej, krótkotrwałe wojskowe szkolenie przygotowawcze zakończone złożeniem przysięgi wojskowej.

dziej że nauka w klasie wojskowej nie tylko przygotowuje do pracy w służbach mundurowych, lecz ma także ogromny aspekt wychowawczy”, mówi Eugeniusz Święcki.

Oprócz doksztalcenia nauczycieli przez MON w dziedzinie wojskowości szkoły będą mogły liczyć na dofinansowanie inicjatyw dydaktycznych i wychowawczych organizowanych w ramach pilotażowego programu. Dotychczas placówki oświatowe nie miały takiej możliwości. Resort obrony pomoże też wyposażać szkoły w pomoce dydaktyczne, w tym zestawy materiałów edukacyjnych do prowadzenia zajęć czy w sprzęt wykorzystywany do szkolenia wojsko-



„Nie mogliśmy zaprosić wszystkich szkół do programu, bo jest to edycja pilotażowa”, mówi Waldemar Zubek, dyrektor Biura ds. Proobronnych w MON.

wego, np. atrapy broni, sprzęt medyczny, plansze dydaktyczne. Nad przebiegiem procesu edukacyjnego uczniów mają czuwać przedstawiciele Wydziału Wojskowego Akademii Sztuki Wojennej. MON planuje też organizowanie zajęć pozalekcyjnych, które pomogą uczniom klasy wojskowej poznać całe spectrum uwarunkowań obronności i bezpieczeństwa z perspektywy obowiązków żołnierzy w jednostce wojskowej.

BONUSY DLA UCZNIÓW

Nowatorski program ma jeszcze jeden istotny cel. Wojsko chce w ten sposób, w większym niż dotąd stopniu, wykorzystać potencjał młodych ludzi i dać im nowe możliwości realizowania planów związanych ze służbą wojskową. „Wielokrotnie słyszeliśmy postulaty, by uczniów klas mundurowych w jakiś sposób premiować. Pomysłów było wiele, w tym ułatwienia we wstępowaniu do służby, ale żaden nie doczekał się realizacji”, mówi Waldemar Zubek. Głównie dlatego, że przyznanie uczniom jakichkolwiek bonusów oznaczałoby, że wszyscy są na takim samym poziomie wyszkolenia, a tak nie było. Program wiele zmieni pod tym względem. „To niezwykle ważne, bo przecież uczniowie, którzy zdecydowali się na naukę w takich klasach i przez kilka lat zdobywają podstawową wiedzę w dziedzinie bezpieczeństwa, siłą rzeczy patrzą na to, jakie będą mieli korzyści po ukończeniu edukacji”, mówi dyrektor Waldemar Zubek. Dlatego absolwenci szkół biorących udział w projekcie MON-u będą mogli liczyć na przywileje. Po zakończeniu nauki dostaną np. możliwość przejścia kilkutygodniowego wojskowego szkolenia przygotowawczego. Po nim złożą przysięgę i zostaną przeniesieni do rezerwy. Jako rezerwiści będą mieli absolutne pierwszeństwo w ubieganiu się o przyjęcie do zawodowej służby wojskowej, a także wojsk obrony terytorialnej.

Osoby zainteresowane nauką na wyższych uczelniach wojskowych będą mogły liczyć na dodatkowe punkty podczas egzaminów kwalifikacyjnych. „W przyszłości planuję zostać żołnierzem zawodowym, więc takie profity są dla mnie bardzo ważne. Idea programu MON-u podoba mi się, tym bardziej że gwarantuje się absolwentom pierwszeństwo w ubieganiu się o przyjęcie do zawodowej służby wojskowej”, mówi Oskar Barczyk, uczeń II klasy o profilu bezpieczeństwo publiczne w LO w Skale.

Plusy takiego rozwiązania dostrzegają też pedagodzy. W liceum w Skale działają cztery klasy mundurowe, w których uczy się w sumie około stu uczniów: „To ci, którzy swoją przyszłość pragną związać z pracą w służbach mundurowych. Dzięki zdobytej wiedzy naszym uczniom zawsze łatwiej było dostać się m.in. do wojska. Teraz, dzięki programowi pilotażowemu MON-u, ich szansa na zatrudnienie w armii czy studia na uczelni woj-

skowej wzrośnie. To bardzo dobry program i korzystny dla młodzieży”, uważa Karol Papisz, dyrektor Zespół Szkół i Placówek Oświatowych im. Władysława Łokietka w Skale. Jak dodaje, w realizacji programu pomoże też współpraca z 6 Brygadą Powietrznodesantową z Krakowa.

Dyrektor Zubek wyjaśnia, że resort obrony będzie cały czas się przyglądał realizacji programu. Już teraz przedstawiciele Biura wizytują szkoły biorące udział w projekcie. Jak dotąd byli obecni już w 33 placówkach. „Pozostałe szkoły planujemy odwiedzić do końca listopada. Wizytacje potwierdzają wiele spostrzeżeń cząstkowych, które zgromadziliśmy w latach 2015–2016 w szkołach i siedzibach organizacji proobronnych. W uczniach klas mundurowych tkwi wielki potencjał, który może być z powodzeniem wykorzystany w budowie mobilizacyjnych rezerw osobowych Sił Zbrojnych RP”, mówi dyrektor.

Dodaje, że to szkoły są jednym z najlepszych źródeł kreowania, przygotowywania i motywowania młodzieży do służby dla Rzeczypospolitej w duchu powszechnego obowiązku obrony państwa. Jednakże, aby mogło się to odbywać w sposób zgodny z oczekiwaniami SZRP, placówki edukacyjne prowadzące klasy wojskowe muszą otrzymać wymierne wsparcie – od państwa w postaci dotacji finansowych oraz instruktorskie z jednostek wojskowych i organizacji proobronnych. Ważne jest także zapewnienie uczniom możliwości korzystania z wszelkiego rodzaju bezpłatnych szkoleń i obozów, w czasie których będą oni podtrzymywali nawyki zdobyte w programie.

Absolwenci szkół, w których został wprowadzony program, będą mogli realizować swoje plany związane ze służbą wojskową już w 2019 roku. Ten rok będzie też dla pomysłodawców najważniejszym sprawdzianem pilotażu. „Wtedy ocenimy program kompleksowo. Dowiemy się, jaki jest poziom wyszkolenia uczniów, jak wygląda nabór do klas mundurowych, czy program dobrze spełnił założenia. Ważne będą dla nas dane na temat liczby osób, które podejmą naukę na uczelni wojskowej lub zdecydują się zostać rezerwistami, szeregowymi zawodowymi lub żołnierzami służby terytorialnej”, mówi Zubek.

Docelowo program ma zostać dostosowany do czterech i pięcioletniego cyklu kształcenia szkół ponadpodstawowych i objąć całą Polskę. Zgodnie z założeniem MON-u w każdym powiecie miałyby funkcjonować przynajmniej jedna szkoła prowadząca pion certyfikowanych wojskowych klas mundurowych. Ale jak będzie faktycznie, pokażą efekty pilotażu. „Przekonamy się też, czy dana szkoła przyciąga ludzi z powiatu, czy też spoza jego granic. Chodzi nam bowiem o zbudowanie systemu uwzględniającego zarówno potrzeby wojska, jak i uwarunkowania społeczne”, dodaje dyrektor Waldemar Zubek. ■

WSPÓŁPRACA: ANNA DĄBROWSKA



III Forum Bezpieczeństwa Morskiego Państwa

**25 stycznia 2018
Warszawa**

**szczegółowe informacje:
www.fbm.ztw.pl**



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Wkręcenie w armię

Dlaczego szesnastolatki chcą włożyć mundur?

Czwartek to dla nich wyjątkowy dzień. Uczniowie klas licealnych Ia, IIa i IIIa przychodzą do szkoły w mundurach. W oczach rzuca się naszywka na lewym przedramieniu z napisem „klasa wojskowa”. Wszyscy zgodnie przyznają, że mundur to dla nich wyróżnienie.

W SĄSIEDZTWIE AKADEMII

51 Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Rembertowie dzieli od Akademii Sztuki Wojennej zaledwie kilkaset metrów. Pierwsza klasa mundurowa powstała w liceum w 2015 roku, ale dyrektor Elżbieta Szepietowska-Paluch przypomina, że już w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia szkoła współpracowała ze Sztabem Generalnym Wojska Polskiego.

Sześćset ankiet, które w 2014 roku w około 50 gimnazjach przeprowadzili nauczyciele liceum, wykazało jasno: uczniowie są zainteresowani klasą mundurową. „Zdecydowaliśmy, że to dla nas szansa na rozwój”, mówi nauczycielka Beata Przybysz, która dziś uczy w liceum przedmiotów edukacja dla bezpieczeństwa, edukacja wojskowa i ratownictwo medyczne. Jest także specjalistą w dziedzinie edukacji dla bezpieczeństwa w Warszawskim Centrum Innowacji Społeczno-Edukacyjnych i Szkoleń oraz autorką programu „Edukacja wojskowa”, który realizuje szkoła. Według niego, w ciągu trzech lat nauki uczniowie muszą m.in. opanować musztrę, poznać systemy walki wręcz, taktykę wojskową, obronę przed skutkami użycia broni chemicznej, topografię wojskową, podstawy łączności. Poznają zasady posługiwania się bronią, uczą się strzelać z kałas-

nikowa i pistoletu, ewakuują rannego z pola walki i udzielają mu pomocy medycznej. Klasa wojskowa, która powstała w roku szkolnym 2015/2016, przyciągnęła 34 uczniów, w tym siedem dziewcząt. W programie były rozszerzony język angielski, matematyka i informatyka oraz dodatkowy przedmiot – edukacja wojskowa. Akademia Sztuki Wojennej wyposaża uczniów

Klasa wojskowa, która powstała w roku szkolnym 2015/2016, przyciągnęła 34 uczniów.



ARCHIWUM AKADEMII SZTUKI WOJENNEJ



w mundury. Szkoła podpisała porozumienie z ASzWoj, dzięki czemu uczniowie uczestniczą w wykładach i szkoleniach organizowanych przez uczelnię. Liceum współpracuje także z 1 Warszawską Brygadą Pancerną w Wesołej. Żołnierze z tej jednostki prowadzą zajęcia z musztry, strzelania, szkolenia przeciwpożarowego. Bliskie kontakty łączy szkołę również z Fundacją na rzecz Rozwoju Medycyny Ratunkowej i Leczenia Oparzeń, która prowadziła zajęcia z edukacji obronnej. Dyrektor Szepietowska-Paluch chwali też współpracę z pełnomocnikiem ds. obronnych Mazowieckiego Kuratorium Oświaty.

Beata Przybysz opiekuje się szkolnym poczem sztandarowym i koordynuje udział uczniów w uroczystościach patriotycznych. Jak podkreśla dyrektor Szepietowska-Paluch, wszystkie miejscowe święta odbywają się z udziałem uczniów w mundurach. W ostatnim roku było 21 takich imprez.

ĆWICZENIA Z MUSZTRY

Patronem szkoły jest Tadeusz Kościuszko, a jej świętem 24 marca, czyli dzień, w którym generał złożył na rynku w Krakowie przysięgę narodowi polskiemu. „Nic, co związane z Kościuszką, nie jest nam obce”, zapewnia wicedyrektor liceum Magdalena Kosiorek, która uczy historii. Opowiada o udziale młodzieży w sympozjach kościuszkowskich w Maciejowicach oraz w rajdach i debatach poświęconych szkolnemu patronowi. „Czy Kościuszko jest bohaterem naszych czasów?” – taki był temat szkolnej dyskusji historycznej. Uczniowie mówili o odwadze patrona, odnosili się do wolności, wielu uznało go za wzór do naśladowania. Damian Woźniak z klasy IIIa nie ma wątpliwości: „Kościuszko jest bohaterem, bo chciał wyzwolić Polskę”. Uważa, że powinniśmy brać z niego przykład: nie poddawać się, tylko walczyć. Nie uciekać, lecz stawiać czoła problemom. Nie kryć się za czyimiś plecami, lecz działać dla dobra ogółu.

W dniu mojej wizyty w szkole klasa Ia ćwiczyła musztrę. Z kolei IIa wysłuchała wykładu o bezpieczeństwie przeciwpożarowym. St. sierż. Ireneusz Gałązka z 1 Warszawskiej Brygady Pancernej opowiadał, jak należy postępować, gdy zostanie ogłoszony alarm, mówił o sprzęcie gaśniczym oraz o czołgu, który kiedyś płonął na poligonie. Na lekcji w klasie IIIa była powtórka ze znajomości stopni wojskowych.

Następnego dnia 1 Brygada obchodzi swoje święto i organizuje Dzień Otwartych Koszar. Uczniowie klas mundurowych pojadą do Wesołej, aby wziąć udział w uroczystym apelu i pikniku. Ale jeszcze dziś, mimo że skończyły się już lekcje, trzeba przećwiczyć musztrę. „Do dwóch odlicz!”, podaje komendę Damian, gdy na szkolnym placu uczniowie ustawili się w szeregu. On jako dowódca poprowadzi pododdział podczas apelu w 1 Brygadzie. „Bacz-



DAMIAN ŻARTUJE, ŻE NIE MIAŁ WYJŚCIA – MUSI ZOSTAĆ ŻOŁNIERZEM, BO JEGO PRZODKOWIE W LINII MĘSKIEJ BYLI OFICERAMI

ność! W dwójki w prawo zwrot”, pada kolejna komenda. „Dwójki zachodzą lewą nogą. Pamiętajcie! Lewą”, powtarza Damian. Formuje się kolumna. Damian nie jest zadowolony: „Dobrze było, ale nierówno. Jeszcze raz”, krzyczy. Wreszcie pada komenda: „Za mną marsz. Pierwsza czwórka podaj krok”. Maszerują.

MUNDUR TO WYRÓŻNIENIE

Co sprawia, że młodzi ludzie w wieku 16 lat chcą włożyć mundur? „Główna motywacja to chęć podjęcia służby wojskowej albo pracy w instytucjach systemu bezpieczeństwa państwa, a także tradycje rodzinne”, odpowiada dyrektor. Damian Woźniak z klasy IIIa żartuje, że nie miał wyjścia – musi zostać żołnierzem, bo jego przodkowie w linii męskiej byli oficerami. Pradziadek walczył w Armii Krajowej, dziadek był marynarzem, pływał m.in. na OORP „Garland”, „Piorun” i „Błyskawica”, ojciec służył w 2 Regionalnej Bazie Logistycznej. Damian po maturze chce zdawać do Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu. „Przygotowuję się do służby. Wojsko to moja pasja”, mówi i tę pasję czuć w jego opowieści. W czasie Święta Wojska Polskiego brał udział w defiladzie razem z uczniami z Liceum Ogólnokształcącego im. Waldemara Milewicza. Szedł w pierwszej czwórce jako kierunkowy. „To było dla mnie ogromne wyróżnienie”, przyznaje.



W programie nauczania jest między innymi język angielski, matematyka i informatyka oraz dodatkowo przedmiot – edukacja wojskowa.

Rodzinne wzorce ma także Rafał Kossowski z klasy IIa – jego ojciec jest żołnierzem Żandarmerii Wojskowej. Rafał myśli o podobnej ścieżce kariery: najpierw studia w Akademii Wojsk Lądowych, a potem Żandarmeria. „To nie tylko służba ojczyźnie, ale też ciekawa praca”, podkreśla. „Może wcześniej wstąpię także do OT?”, zastanawia się.

Co odróżnia uczniów klas mundurowych od pozostałych? „Są bardziej obowiązkowi, zdyscyplinowani i odpowiedzialni, chętnie podejmują nowe wyzwania, są też otwarci na współpracę”, wylicza dyrektor Szepietowska-Paluch. „Znajdują czas na rozwijanie swoich zainteresowań”, dorzuca Beata Przybysz. Piotr Galemba z IIIa jest strażakiem ochotnikiem, a Rafał Kossowski z IIa ma licencję pletwonurka. Piotr jest także najlepszym uczniem w szkole, o czym najlepiej świadczą stypendium prezesa Rady Ministrów i nagroda burmistrza Rembertowa za dobre oceny w nauce. Gdy Beata Przybysz widzi, jak jej uczniowie spotykają się po lekcjach, aby np. ćwiczyć musztrę, odczuwa satysfakcję. Opowiada, jak sami wyszukują na stronach internetowych wojskowych instytucji zapowiedzi różnych imprez i proponują, żeby wziąć w nich udział.

Gdy trzy lata temu Bartek Łabędź (IIIa) rozpoczynał naukę w liceum, najbardziej interesowały go przedmioty z rozszerzonym programem. Dziś, gdy zaledwie kilka miesięcy dzieli go od matury, uważa, że klasa mundurowa była dobrym wyborem. Najbardziej kręca go taktyka i sposoby walki na różnym terenie: zabudowanym, rozległym i w lesie. Podobnie myśli Anna Śliwińska z IIa. „Wkręciłam się w mundur”, mówi, choć przyznaje, że gdy zaczynała naukę w liceum, stanowił dodatek, a najważniejsze były rozszerzone zajęcia z informatyki. Z tą dziedziną wie-

dzy chce związać swoją przyszłość. Zastanawia się: „Studia w Wojskowej Akademii Technicznej czy może w Akademii Sztuki Wojennej?”.

„W kwietniu na terenie Akademii pożegnamy uroczyste naszych maturzystów, zakończenie roku szkolnego zostanie wzbogacone o elementy ceremoniału wojskowego”, planuje dyrektor Szepietowska-Paluch. Wielu uczniów łączy swoją przyszłość z wojskiem. W przyszłym roku będzie dokładnie wiadomo, ilu uczniów klasy IIIa zdecydowało się na służbę w mundurze. Szkoła monitoruje bowiem losy swoich absolwentów.

SZKOŁA W PROGRAMIE

Zaledwie po półtora roku działalności Ministerstwo Obrony Narodowej zakwalifikowało LO im. Tadeusza Kościuszki do „Pilotażowego programu wspierania szkół ponadgimnazjalnych prowadzących pionierstwo certyfikowanych wojskowych klas mundurowych”. Z Mazowsza przyjęło siedem szkół, z całego kraju – 57.

Beata Przybysz uważa, że dla jej liceum udział w programie jest wielką szansą. Dotychczas szkoła uczestniczyła w szkoleniach organizowanych przez Biuro ds. Proobronnych MON, a także w lekcjach historii w Akademii Sztuki Wojennej. Teraz możliwości będą znacznie większe. Program objął klasę IIa, która spędza jeden dzień w miesiącu (osiem godzin) na zajęciach praktycznych w 1 Brygadzie, a w maju wyjedzie na kilkudniowy obóz. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, Beata Przybysz cytuje hetmana Jana Zamoyskiego. „Chcemy, aby te słowa mobilizowały nas do podejmowania odpowiedzialności za losy przyszłych pokoleń”. ■



MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku



Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24





ROBERT SUCHY/CO MON

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

LEGIA WZYWA

Do udziału w programie „Legia Akademicka” zgłosiło się już blisko 50 uczelni cywilnych i pięć wojskowych.

Pzed polskimi siłami zbrojnymi stoi poważne zadanie: odbudowa rezerw osobowych. Od czasu zawieszenia służby zasadniczej każdego roku dramatycznie spadała liczba osób, które przechodziły szkolenie wojskowe, a potem trafiały do rezerwy. Za kilka lat mogłoby dojść do sytuacji, w której w razie mobilizacji nie byłoby rezerwistów. Dlatego podjęliśmy działania, mające temu zapobiec. Jednym z przedsięwzięć jest stworzenie możliwości ochotniczego szkolenia studentów”, tak o programie „Legia Akademicka” mówił wiceminister obrony narodowej Michał Dworczyk. Pod koniec sierpnia porozumienie w sprawie uruchomienia pilotażowej edycji programu podpisały ministerstwa obrony oraz nauki i szkolnictwa wyższego. Lista uczelni, które zgłosiły akces do projektu, została zamknięta 10 października.

SZKOLENIE MŁODYCH

„Poza wojskiem znajduje się sporo obywateli – potencjalnych rezerwistów – mających specjalistyczną wiedzę i umiejętności nabyte w trakcie studiów”, zauważa Grzegorz Matyasik, doradca ministra Dworczyka, koordynator

MON ds. programu „Legia Akademicka”. „Przez przeszkolenie wojskowe chcemy pobudzić świadomość obronną studentów jako przyszłych decydentów, inżynierów, menadżerów, czyli grupy społecznej, którą socjologowie nazywali kiedyś inteligencją”.

W resorcie obrony trwają prace nad przygotowaniem rozwiązań systemowych dotyczących wprowadzenia efektywnego systemu gromadzenia rezerw osobowych. Rezerw, które tworzyliby ludzie młodzi. Przechodziliby oni szkolenie w czasie studiów, tak jak to się odbywało w latach 2003–2008 oraz wcześniej w ramach szkół podchorążych rezerwy. To konieczne, zwłaszcza że dużym problemem są starzejący się rezerwiści (średnia wieku to 50–60 lat). „Wdrażając ten program, chcemy wypracować nowy model szkolenia żołnierza rezerwy, który niesłusznie przez lata był zrównany z modelem szkolenia żołnierza zawodowego. Próba stawiania znaku równości między żołnierzem rezerwy a zawodowym jest błędna. Czas najwyższy to zmienić”, podkreśla minister Michał Dworczyk.

Zgodnie z założeniami pilotażowego projektu nawet 10 tys. studentów będzie mogło w trakcie nauki przejść





10 000

**STUDENTÓW
MOŻE BYĆ
PRZESZKOŁO-
NYCH
W RAMACH
PROJEKTU
LEGII AKADE-
MICKIEJ**

Szkolenie krok po kroku

Aby zgłosić się do Legii Akademickiej, trzeba mieć polskie obywatelstwo, być studentem wyższej uczelni i mieć za sobą kwalifikację wojskową (lub być gotowym do jej przejścia).

1. Złożenie wniosku o przyjęcie na zajęcia teoretyczne programu wojskowego Legii Akademickiej do uczelni, która bierze udział w projekcie pilotażowym.
2. Udział w zajęciach.
3. Zdanie egzaminu po części teoretycznej.
4. Złożenie za pośrednictwem uczelni wniosku o powołanie na ćwiczenia wojskowe.
5. Otrzymanie karty powołania na ćwiczenia.

przeszkolenie wojskowe. Podstawą kursu ma być 30 godzin zajęć teoretycznych, prowadzonych przez uczelnie wyższe, oraz część praktyczna, za którą odpowiedzialność przejmie resort obrony.

Studenci najpierw będą przyswajać wiedzę na temat obronności, dowiedzą się m.in. o zadaniach sił zbrojnych, relacjach międzynarodowych w aspekcie militarnym, poznają też zależności zachodzące między różnymi elementami systemu obronnego kraju. W czasie zajęć będą uczyć się o demokratycznym nadzorze nad armią oraz o przepisach prawnych, które obowiązują wojskowych. „Studenci poznają budowę broni oraz zasady i warunki posługiwania się nią, a podczas szkolenia podoficerskiego także metodykę i teorię dowodzenia”, mówi Grzegorz Matyasik.

Po zaliczeniu części teoretycznej ochotnicy dostaną powołania na ćwiczenia wojskowe. Te będą prowadzone w jednostkach, ośrodkach i centrach szkolenia w czasie wakacji (od lipca do końca września), w dwóch etapach po sześć tygodni każdy. Podczas praktyki studenci najpierw spędzą 22 dni na szkoleniu podstawowym, po którym zdadzą egzamin i złożą przysięgę. Potem tyle samo potrwa praktyczne szkolenie podoficerskie, kończące się egzaminem i mianowaniem na stopień kaprała.

To jednak nie wszystko. MON przymierza się także do stworzenia kursu dla oficerów rezerwy. Wówczas kandy-

daci będą musieli zaliczyć dodatkowe 60 godzin kształcenia i kolejne ćwiczenia wojskowe. Moduł szkolenia oficerów rezerwy wystartuje zajęciami teoretycznymi w kolejnym roku akademickim, czyli 2018/2019. Szkolenie poligonowe odbędzie się latem 2019 roku.

REZERWY PRZYSZŁOŚCI

„Mamy sygnały, że uczelnie interesują się tym programem. Na początek chcielibyśmy, aby wzięły w nim udział przynajmniej jedna czy dwie uczelnie z każdego województwa. Mamy nadzieję, że to się uda zrealizować, bo program odpowiada na ważne zapotrzebowanie państwa i stanowi uzupełnienie składu osobowego rezerw”, mówił kilka tygodni temu prof. Aleksander Bobko, sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Już dziś wiadomo, że do udziału w projekcie zgłosiło się blisko 50 uczelni cywilnych oraz cztery wojskowe (chodzi tu o studentów kierunków cywilnych). Niebawem placówki rozpoczną kampanie promocyjne projektu Legii Akademickiej, tak by jeszcze w tym semestrze rozpocząć pierwsze zajęcia. „Jeszcze przed rozpoczęciem wakacji robiliśmy na uczelniach badania. Wynika z nich jednoznacznie, że blisko 45% studentek i studentów bez żadnej reklamy, bez namawiania jest gotowych do podjęcia takiego ochotniczego szkolenia. To bardzo dobrze świadczy o ich

91,2

złoty otrzyma
student ochotnik
za dzień szkolenia
poligonowego



44

dni
szkolenia
teoretycznego
i praktycznego

30

godzin zajęć
teoretycznych
w ramach kursu
podstawowego

6. Praktyczna część szkolenia – szkolenie podstawowe w jednostce wojskowej w czasie przerwy wakacyjnej kończące się przysięgą wojskową i zostaniem żołnierzem rezerwy.

Przy opcji szkolenia w ramach modułu podoficerskiego trzeba zaliczyć część teoretyczną, a następnie odbyć szkolenie w jednostce wojskowej. Po nim student zostaje podoficerem (kapralem) rezerwy.

Program pilotażu przewiduje także docelowo uruchomienie modułu oficerskiego w następnym roku dla tych ochotników, którzy zostali podoficerami rezerwy.



Akademicy
w czasie ćwiczeń
siłowych, podczas
przerwy w szkole-
niu. Kraków,
1938 rok



N A C

TO JUŻ SIĘ SPRAWDZIŁO

Legia Akademicka była ochotniczą formacją wojskową. Powstała 11 listopada 1918 roku, tworzyła ją młodzież studencka warszawskich uczelni, w większości członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej. Później przeformowano ją w oddział piechoty Wojska Polskiego – 36 Pułk Piechoty Legii Akademickiej. Po raz drugi Legię powołano do życia w 1929 roku. Była wtedy organizacją przysposobienia wojskowego słuchaczy polskich wyższych uczelni. W takiej formule działała z przerwami do 1939 roku. Po 1989 roku reaktywowano ją jako stowarzyszenie.

patriotyzmie i poczuciu odpowiedzialności za obronę kraju”, mówi sekretarz stanu w MON.

Damian Duda, pracownik dydaktyczny z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, przyznaje, że jest spokojny o zainteresowanie programem. „Już teraz zgłaszają się do nas studenci, pytają, czy nasza uczelnia przystąpiła do programu »Legia Akademicka«. Myślę, że chętnych nam nie zabraknie”, mówi. „Czekamy na wytyczne z ministerstwa nauki i w każdej chwili jesteśmy gotowi, by prowadzić nabór na ochotnicze szkolenie studentów”.

Wykładowcy podkreślają jednak, że im szybciej uruchomiona zostanie kampania promocyjna i informacyjna, tym lepiej. Zaznaczają, że o sukcesie tego projektu w dużej mierze zdecydują sami studenci. „Powinniśmy sięgać po nowoczesne środki komunikacji i informacji”, mówi ppor. rez. Mariusz Sikora z Uniwersytetu Szczecińskiego, który kilka lat temu tworzył na tej uczelni pierwszy oddział Legii Akademickiej. „Dzięki LA przeszedłem szkolenie wojskowe w trakcie studiów i poznałem ciekawych ludzi w Polsce i na świecie. Dziś są to oficerowie wojska, służb mundurowych, menadżerowie firm prywatnych, przedsiębiorcy, samorządowcy, politycy”, przyznaje. Sikora w ramach LA szkolił się od 2000 do 2001 roku. Trzy semestry spędził w Studium Wojskowym Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Miał zajęcia teoretyczne oraz

praktyczne w 12 Brygadzie Zmechanizowanej. Uczył się m.in. strzelania, taktyki, udzielania pierwszej pomocy medycznej. Jako pierwszy polski student miał możliwość obserwować szkolenie wojskowe studentów amerykańskich na Uniwersytecie Stanowym w Chicago.

Pilotażowy projekt obciąży budżet dwóch ministerstw: obrony narodowej oraz nauki i szkolnictwa wyższego. Środki na zajęcia teoretyczne zapewnia MNiSW (ok. 1,5 mln zł), a za część praktyczną zapłaci MON. Jak szacują władze resortu obrony, za około 220 mln zł sfinansowane będą przeszkolenie (w tym strzeleckie), wyposażenie, umundurowanie i ćwiczenia. Resort obrony dba także o to, by program zajęć i ich poziom były ujednolicone w całym kraju. Dlatego resort poszukuje kandydatów na wykładowców. Osoby mają być pozyskiwane z trzech źródeł: zasobów własnych uczelni, w których prowadzone są zajęcia związane z tematyką bezpieczeństwa (a wykładowcami są zwykle byli żołnierze zawodowi), zawodowych żołnierzy wytypowanych przez Dowództwo Generalne RSZ, a także spośród wykładowców uczelni lub nauczycieli działających w organizacjach proobronnych minimum przez dwa lata. Tylko z tej ostatniej grupy do MON-u zgłosiło się już 56 osób. Kandydaci będą musieli zdać egzamin i zostaną skierowani na trzydniowy kurs metodyczny związany z realizacją programu



UKOŃCZENIE SZKOLENIA WOJSKOWE- GO W TRAK- CIE STUDIÓW UMOŻLIWIA PODJĘCIE PRACY W WOJSKU

teoretycznego. Ostateczną decyzję o zatrudnieniu wykładowcy podejmuje jednak uczelnia, która będzie prowadzić pilotażowy program szkolenia ochotniczego studentów.

SZKOŁY W GOTOWOŚCI

Uczelnie do projektu podchodzą z dużym optymizmem. „Bez wątpienia projekt MON-u jest korzystny pod wieloma względami. Oferta uczelni na tym zyska, a studenci ochotnicy będą mogli nabyć dodatkowe kompetencje, wielu też spojrzy inaczej na ważne dziś kwestie obronności państwa”, mówi dr hab. Wiesław Łach, profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, koordynator kierunku wojskownawstwo. Profesor przyznaje, że na uczelni kształcą się wielu studentów zainteresowanych kwestiami związanymi z obronnością kraju. „Sądzę, że jesteśmy przygotowani na przeszkolenie nawet pół tysiąca ochotników. Konkretnie dane będziemy znać w połowie listopada, potem ruszą już pierwsze zajęcia. Mamy merytorycznie przygotowaną kadrę do prowadzenia zajęć w ramach Legii Akademickiej. W sumie zajmie się tym sześciu stacjonarnych wykładowców z naszego uniwersytetu, a wspierać nas będą instruktorzy, w tym byli żołnierze z Ligi Obrony Kraju, z którą współpracujemy”, wyjaśnia profesor.

Wykładowca, odwołując się do doświadczeń sprzed 2008 roku, kiedy na uniwersytecie prowadzono podobne szkolenie, zwraca uwagę na to, że zajęcia w ramach Legii Akademickiej powinny się odbywać w małych – maksymalnie 30-osobowych – grupach. „To ważne, by studenci mogli jak najwięcej z nich skorzystać. Podczas szkolenia kilka lat temu bywało, że grupy liczyły nawet po sto osób. To zdecydowanie za dużo. Chcemy być także elastyczni w organizacji zajęć. Idealny moduł to sześć sobót po pięć godzin, ale w praktyce może to się nie udać. Dlatego terminy będziemy ustalać z poszczególnymi grupami, tak by każdemu pasowały. Nie chcemy też nikogo zniechęcać. Mogą to być na przykład dwie, trzy soboty, a reszta zajęć odbywałaby się w tygodniu, popołudniami”, zastanawia się profesor. Wyjaśnia także, że program będzie dzielony na bloki, a każdy z nich poprowadzi inny wykładowca.

Koncepcja szkolenia Legii Akademickiej została także zaplanowana w Kaliszu, gdzie siedzibę ma Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. „Dysponujemy świetnie przygotowaną kadrą wykładowców. Większość z nich to osoby ze stopniami naukowymi profesorów i doktorów habilitowa-

nych. Znaczna część dysponuje również bogatym doświadczeniem zawodowym i umiejętnościami praktycznymi, nabytymi podczas służby w Wojsku Polskim, Policji czy Służbie Więziennej”, mówi dr hab. Ireneusz Teodor Dziubek, profesor PWSZ, kierownik Katedry Zarządzania Bezpieczeństwem Państwa kaliskiej uczelni.

Uczelnia chce zaproponować studentom więcej niż 30 godzin zajęć. Już teraz wykładowcy informują o uruchomieniu autorskich progra-

mów zajęć, chodzi tu np. o szkolenie z rozpoznania minersko-pirotechnicznego, kursy z podstaw budowy oraz obsługi broni i amunicji, a także techniki i obsługi pojazdów. „Chcemy, by studenci mogli skorzystać z zajęć praktycznych. Widzę pasję i entuzjazm młodych ludzi. Miałem ostatnio zajęcia ze studentami pierwszego roku kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne. Muszę przyznać, że jestem zbudowany ich postawą, bo mają na przykład ukończone różne kursy strzeleckie. Często są członkami Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego. Dla takich osób przeszkolenie w ramach Legii Akademickiej jest idealne”, mówi dr hab. Dziubek.

Dużym zainteresowaniem projekt MON-u cieszy się także na Uniwersytecie Szczecińskim. Pilotażowy program resortu obrony nawiązuje do tradycji Legii Akademickiej, która w tej placówce działała kilkanaście lat temu. Uniwersytet na Wydziale Humanistycznym prowadzi trzy kierunki studiów związane z bezpieczeństwem: bezpieczeństwo narodowe, bezpieczeństwo wewnętrzne oraz studia nad wojną i wojskowością. I jak szacują władze uczelni, aż 80% studentów tych kierunków może być zainteresowanych ochotniczym szkoleniem. „Naszemu studentom zależy na rozwijaniu własnych kompetencji i możliwości uzyskania dodatkowych kwalifikacji zawodowych. Dlatego Legia Akademicka jest dla nas taka ważna”, mówi dr hab. Urszula Chęcińska, profesor US, dziekan Wydziału Humanistycznego. „Nowa formuła Legii Akademickiej ma charakter programu pilotażowego. Warto z niej skorzystać, aby wypracować własny model edukacji wojskowej studentów. Ukończenie szkolenia wojskowego w trakcie studiów daje możliwość podjęcia starań o pracę w wojsku”, dodaje dziekan. W Szczecinie zajęcia mogą się rozpocząć na przełomie listopada i grudnia. Terminy są jednak zależne od uzgodnień organizacyjnych i finansowych z ministerstwem nauki. Kampania promocyjna będzie natomiast prowadzona wspólnie z MON-em i MNiSW. ■



PAULINA GLIŃSKA

Uczelnia na czasie

Studia podyplomowe w nowej formule, utworzenie Wydziału Wojskowego, zmodyfikowane programy kształcenia. To jedne z ważniejszych zmian, jakie zaszły w ciągu roku od powołania Akademii Sztuki Wojennej.

Miniony rok był dla Akademii Sztuki Wojennej pełen wyzwań. Resort obrony postawił przed władzami uczelni jasne zadanie: placówka ma się stać uczelnią dowódczo-sztabową, kształcącą na najwyższym poziomie dowódców polskiej armii. „Akademia Sztuki Wojennej w nowej formule pokazała, że dobrze wypełnia zadania, jakie postawiło przed nią państwo polskie”, mówił Antoni Macierewicz, minister obrony narodowej, podczas tegorocznej inauguracji roku akademickiego w Rembertowie.

Jedną z istotnych zmian w minionym roku było utworzenie Wydziału Wojskowego. Obecnie prowadzone jest

na nim kształcenie na dwóch poziomach, ale w perspektywie, po uzyskaniu uprawnień, będzie tu można zdobywać także stopień naukowy doktora. Na wydziale są też prowadzone studia podyplomowe. „Jedną z najważniejszych decyzji po utworzeniu Akademii Sztuki Wojennej było reaktywowanie po 14 latach tytułu oficera dyplomowanego i odtworzenie w tym celu dwuletnich Podyplomowych Studiów Operacyjno-Taktycznych – najważniejszej formy kształcenia dla przyszłych dowódców”, mówi gen. bryg. dr Ryszard Parafianowicz, rektor-komendant ASzWoj. Studia są przeznaczone dla oficerów, którzy mają objąć stanowiska w pionach do- ➔

wódczych i sztabowych poziomu operacyjnego i taktycznego, zarówno w strukturach narodowych, jak i wielonarodowych.

Choć pierwsi żołnierze rozpoczęli PSOT już w 2016 roku, dopiero tegoroczní słuchacze będą się kształcić według nowego programu. „Zasadnicza zmiana polega na tym, że te studia będą teraz trwały cztery, a nie jak dotąd trzy semestry. Dzięki wydłużeniu czasu nauki mogliśmy zmodyfikować program kształcenia w taki sposób, aby spełnił on oczekiwania sił zbrojnych”, mówi płk dr hab. inż. Przemysław Paździorek, dyrektor Instytutu Sztuki Operacyjnej i Taktyki ASzWoj.

MODYFIKACJE PROGRAMÓW

W programie studiów podyplomowych największy nacisk został położony na kwestie merytoryczne. Jak dotąd, kształcenie dotyczyło w głównej mierze poziomu taktycznego dwóch szczebli: batalionu i brygady, co zdaniem przedstawicieli uczelni nie do końca się sprawdziło. „Ćwiczenia prowadzone na tych dwóch poziomach były, w odniesieniu do rozpatrywanych problemów taktycznych, bardzo zbliżone. Dlatego po zmianach program obejmuje ćwiczenia studyjne także na szczeblu dywizji. Na poziomie operacyjnym z kolei przewidujemy ćwiczenia dotyczące planowania operacji obronnej z uwzględnieniem roli i zadań wszystkich rodzajów sił zbrojnych”, tłumaczy płk Paździorek.

Co więcej, wszystkie ćwiczenia będą wspomagane komputerowo z wykorzystaniem, znajdującego się w akademickim Centrum Symulacji i Komputerowych

AKADEMIA SZTUKI WOJEN- NEJ POWSTAŁA W 2016 ROKU, W MIEJSCE FUNKCJONUJĄ- CEJ OD 1990 ROKU AKADE- MII OBRONY NARODOWEJ

Gier Wojennych, systemu JTLS. „W praktyce słuchacze będą więc nie tylko planować działania, lecz także je prowadzić. Dążymy do tego, aby w najbliższym czasie większość ćwiczeń miała wymiar międzynarodowy.



TRZY PYTANIA DO

Wojciecha Fałkowskiego

Kilka dni temu wrócił Pan z oceanu. Jaki był cel tej wizyty?

W USA odwiedziłem amerykańskie uczelnie wyższe, uniwersytety Harvarda, Princeton, Johna Hopkinsa oraz Massachusetts Institute of Technology. Celem spotkań z ich władzami była propozycja zorganizowania prestiżowego wydarzenia,

związanego ze stuleciem odzyskania przez Polskę niepodległości oraz wygłoszenia przez prezydenta Wilsona orędzia, w którym podkreślił on potrzebę wskrzeszenia Polski jako państwa niepodległego i suwerennego. Chciałbym, żeby była to okazja do zaprezentowania naszej pozycji cywilizacyjnej i politycznej, a także historii. Pamiętamy, że mó-

wimy o uniwersytetach z tzw. ligi bluszczonej, czyli najlepszych na świecie. Wizyta w USA miała też za zadanie otworzyć furtkę do kontaktów z nimi polskich środowisk naukowych.

Na czym by one polegały?

Polskie uczelnie wojskowe mają partnerów zagranicznych, takich jak

Odbieramy sygnały od naszych zagranicznych kolegów, że są zainteresowani taką propozycją”, zaznacza płk Paździorek.

W nowym programie PSOT zostały zmienne także metody kształcenia. „Owszem było sporo praktyki, ale zbyt dużo ćwiczeń i relatywnie mało seminariów powodowało, że słuchacze nie mieli wielu możliwości zgłębienia tematu i przedyskutowania jego różnych aspektów”, wyjaśnia płk Paździorek. Po zmianach wojskowi studenci będą więc mieli więcej seminariów, a zajęcia mają być częściej organizowane w formie paneli dyskusyjnych, tak by w większym niż dotąd stopniu móc się skupić na problematyce jednego rodzaju działań, ale z perspektywy wszystkich rodzajów wojsk. Do programu zostały wpisane dodatkowe zagadnienia, związane z marszem, walką w okrażeniu, forsowaniem przeszkody wodnej, walką w nocy, działaniem wojsk aeromobilnych, działaniami nieregularnymi i partyzanckimi.

Modyfikacje programowe nie ominęły organizowanych od lat w Akademii kursów dla oficerów. Na Wydziale Wojskowym są prowadzone wyższe kursy sztabowe oraz operacyjno-strategiczne. 40 słuchaczy, w tym czterech obcokrajowców, bierze udział w cyklu wyższego kursu operacyjno-strategicznego, który ruszył 2 października. Jego program zresztą

też został znacząco zmodyfikowany. „Ważne jest rozwijanie u żołnierzy tzw. wyobraźni operacyjno-strategicznej. Dlatego główne treści ukierunkowano na ten poziom. Jako pierwsza uczelnia wojskowa w Europie wprowadziliśmy i rozwijamy nowe podejście do projektowania operacji w złożonym środowisku operacyjnym, tzw. design thinking”, mówi płk Paździorek. Akademia współpracuje w tej dziedzinie z Amerykanami, a około 30% zajęć jest w języku angielskim.

„Ogólnie w mijającym roku akademickim na nowym Wydziale Wojskowym kształciło się łącznie prawie 2,5 tys. oficerów. W tym roku przewidujemy przyjęcie aż 3300 żołnierzy zawodowych na różne formy edukacji”, podsumowuje rektor ASzWoj.

MNIEJ CYWILÓW I KURSY OBRONNE

Akademia oferuje też naukę na dwóch innych wydziałach. Wydział Bezpieczeństwa Narodowego prowadzi studia I i II stopnia na kierunkach: bezpieczeństwo narodowe, wewnętrzne, międzynarodowe, oraz studia podyplomowe, a także doktorantki w dwóch dyscyplinach: nauka o bezpieczeństwie i obronność.

Oferta drugiego z wydziałów – Zarządzania i Dowodzenia – to studia I i II stopnia z dziedziny nauk społecznych na kierunkach:



National Defence University czy West Point, z którymi współpracują od lat. Te kontakty z najlepszymi w skali globalnej ośrodkami myśli wojskowej i szkolenia wojskowego oczywiście należy wspierać. Nasze uczelnie są znakomite i mają ogromny potencjał, ale mierzymy znacznie wyżej. Musimy zapewnić im kontakty międzynarodowe na zasadach równorzędnych.

W jaki sposób można przyspieszyć to wejście polskich uczelni do światowej elity?

Zaprosiliśmy w tym roku do naszych uczelni i instytutów wojskowych trzech laureatów Nagrody

Nobla. I choć nie ma to bezpośredniego wpływu na poziom dydaktyki czy prowadzonych badań, buduje prestiż danej uczelni, tworzy sieć kontaktów i stanowi impuls rozwoju na kolejne lata. To oczywiście nie wszystko, bo bardzo istotne są udział w międzynarodowych projektach badawczych oraz rozwijanie własnych zespołów badawczych i laboratoriów. Sądzę, że przynajmniej w kilku branżach, chociażby technicznej, już teraz jesteśmy równorzędnym partnerem dla międzynarodowych prestiżowych uczelni. Pamiętajmy jednak, że nauka jest jedna, nie możemy jej dzielić na wojskową i cywilną. Dlatego program współpracy

z uczelniami amerykańskimi będzie miał wpływ na poziom nauki w całej Polsce. W dalszej perspektywie będzie to związane z rozwojem naszych uczelni wojskowych, zwiększaniem liczby etatów, rozwojem badań technologicznych i przeszczepianiem zachodniej kultury pracy i działań publicznych na grunt naszych środowisk zawodowych, w tym również wojska. A także z nowymi kontaktami, które zwrócą uwagę elit amerykańskich na Polskę. ■

Prof. dr hab. WOJCIECH
FAŁKOWSKI jest podsekretarzem
stanu w Ministerstwie Obrony
Narodowej.



ROBERT SUCHY/CO MON

NOWY KIERUNEK

Studia podyplomowe w dziedzinie zarządzania przedsiębiorstwem branży zbrojeniowej są prowadzone w roku akademickim 2017/2018 od października do czerwca. Treści programowe obejmują

200 godzin dydaktycznych realizowanych w trakcie dziesięciu zjazdów, rozłożonych na dwa semestry. Na studia mogą się zgłaszać cywile i żołnierze (nabór toczy się według procedur cywilnych, studia są płat-

ne). Program kształcenia przewiduje wizyty studyjne w przedsiębiorstwach zbrojeniowych. W ich ramach zostaną omówione zagadnienia związane z zarządzaniem procesami oraz zarządzaniem jakością. ■

CENTRUM EKSPERTÓW

W strukturach ASzWoj działa Centrum Badań nad Bezpieczeństwem, którego głównym zadaniem jest prowadzenie badań i analiz w dziedzinie szeroko rozumianego bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego. Jest też platformą wymiany doświadczeń między środowiskami analitycznymi w wymiarze krajowym i międzynarodowym. ■

zarządzanie i dowodzenie, logistyka, lotnictwo oraz ekonomika obronności, a także studia podyplomowe oraz doktoranckie. Nowością są studia podyplomowe kształcące specjalistów w dziedzinie zarządzania przedsiębiorstwem branży zbrojeniowej.

Na tych dwóch wydziałach mogą studiować zarówno żołnierze, jak i cywile. Na razie tych ostatnich jest znacznie więcej, ale sytuacja będzie się zmieniać. „Zgodnie z wytycznymi resortu wraz ze zwiększaniem liczby słuchaczy wojskowych sukcesywnie zmniejszamy liczbę studentów cywilnych. W porównaniu z rokiem poprzednim jest ich mniej o ponad tysiąc osób”, mówi gen. bryg. Parafianowicz.

ASzWoj stawia na najlepszych z najlepszych i dla nich przygotowuje stypendia w wysokości 1000 zł miesięcznie. „Program obejmie dziewięć miesięcy od października do czerwca. Beneficjentami będzie dziesięciu

najlepszych studentów I i II stopnia studiów. Podstawowe kryterium to średnia ocen w poprzednim roku akademickim powyżej 4. Do tego liczyć się będą osiągnięcia naukowe, nagrody, wyróżnienia”, tłumaczy dr Lewińska, rzecznik prasowy Akademii.

KURSY DLA URZĘDNIKÓW

Jednym z osiągnięć ASzWoj w minionym roku było uruchomienie w nowej formule, na zlecenie MON-u, kursów obronnych dla osób na kierowniczych stanowiskach w administracji publicznej. Wykładowcy z Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego prowadzili zarówno kursy obronne dla najwyższych urzędników państwowych oraz pracowników niższych szczebli, zajmujących się obronnością na poziomach województwa, powiatu oraz gminy. W ciągu dwóch lat tego typu kursy przejdzie 470 osób. ■



ZAPROJEKTUJ SWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ



UNIWERSYTET
MEDYCZNY
W ŁÓDZI

www.uczelnie-wojskowe.mon.gov.pl



NAUKA Z PERSPEKTYWAMI

Z Łukaszem Ilczukiem

**o tym, dlaczego warto studiować w Wojskowej Akademii Technicznej,
rozmawia Anna Dąbrowska.**

Dlaczego Wojskowa Akademia Techniczna? Kiedy kończyłem naukę w liceum, kilku moich starszych kolegów było już podchorążymi WAT-u. Opowiadali, że na tej uczelni można połączyć studia techniczne z wojskowymi. Dowiedziałem się też, że jest tu tak ciekawy kierunek jak mechatronika, która zajmuje się m.in. techniką raketową. A ja od zawsze interesowałem się wojskiem, szczególnie

od strony technicznej. Do WAT-u przekonały mnie też bogata baza dydaktyczna i nowoczesne laboratoria, których mogą nam pozazdrościć inne uczelnie w Polsce.

Czym nauka na tej uczelni różni się od innych studiów politechnicznych?

Przede wszystkim świetnym zapleczem socjalnym. Moi koledzy na cywilnych studiach muszą wynajmo-

Do WAT-u przekonały mnie bogata baza dydaktyczna i nowoczesne laboratoria, których mogą nam pozazdrościć inne uczelnie w Polsce

MICHAŁ NIWICZ

wać mieszkania, dojeżdżać na zajęcia, sami się utrzymać. My mamy wszystko na miejscu, zapewnione umundurowanie, wyposażenie oraz wygodny akademik. Wysockość otrzymywanego uposażenia pozwala na realizację pasji i zaspokojenie potrzeb materialnych.

Dzięki temu możemy poświęcić się nauce czy zainteresowaniom. Dodatkowo na WAT można rozwijać je w kilkudziesięciu kołach naukowych i organizacjach studenckich. Ja działałem w Kole Naukowym Historii, Tradycji i Chwały Wojska Polskiego oraz w organizacji Woda, Ląd, Powietrze. Skupia ona podchorążych, którzy m.in. biorą udział w kursach nurkowania, spadochronowych, strzeleckich czy wspinaczkowych.

Te udogodnienia socjalne są jednak kosztem skoszarowania i poddania się rygorowi wojskowemu...

Jest to trudne tylko na początku, kiedy trzeba się przestawić z cywilnego życia i wdrożyć do intensywnej nauki. Dlatego pierwszy rok jest najcięższy. Potem jest już łatwiej. Jeśli podchorąży nie ma problemów z nauką, nie ma ich też z przepustkami. Zresztą cywilni studenci również mają wiele obowiązków, które ograniczają czas wolny. Poza tym miałem świadomość, że dużo wysiłku trzeba będzie włożyć w naukę. Wiem też, że jeśli zrezygnuję ze studiów, to będę musiał zwracać resortowi obrony koszty mo-

WIZYTÓWKA

PLUT. PCHOR. ŁUKASZ ILCZUK

Jest studentem V roku kierunku mechatronika na Wydziale Mechatroniki i Lotnictwa Wojskowej Akademii Technicznej, specjalność – eksploatacja przeciwlotniczych zestawów rakietowych.

jej edukacji. I jest to odpowiednia motywacja do pracy.

Gdzie chciałby Pan służyć po skończeniu studiów?

Moim zdaniem służyć ojczyźnie można w każdej jednostce, ale chciałbym pracować w dywizjonie przeciwlotniczym, czyli

zgodnie ze specjalizacją. Wszystko jednak okaże się na wiosnę, kiedy dostaniemy przydziały służbowe.

Nie myślał Pan o pracy badawczej?

W przypadku wojska jest ona bardzo istotna, ale ja wolę ruch oraz pracę ze sprzętem i żołnierzami.

Studia na WAT dobrze przygotowują do przyszłej służby w armii?

Tak, ponieważ łączą szkolenie wojskowe z bardzo solidnymi studiami politechnicznymi. Zajęcia techniczne prowadzą byli żołnierze, którzy pracowali przy modernizacji wojskowego sprzętu. Mamy też praktyki dowódcze i specjalistyczne w jednostkach, m.in. w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie. Pozwalają one poznać sprzęt, którego w przyszłości będziemy używać, np. zestawy rakietowe Kub, Nawa czy Osa. Dzięki takiemu przygotowaniu, kiedy dotrzemy do naszych jednostek, to ze wsparciem doświadczonych podoficerów będziemy umieli dobrze dowodzić i obsługiwać wojskowy sprzęt. ■



Studia na WAT łączą szkolenie wojskowe z bardzo solidnymi studiami politechnicznymi.



PAULINA GLIŃSKA

Amerykańska lekcja

**Polscy żołnierze mogą studiować na prestiżowej uczelni West Point.
Wśród nich jest pchor. Bartłomiej Grzybowski.**

Student Wojskowej Akademii Technicznej pchor. Bartłomiej Grzybowski zaliczył trzy lata studiów na Wydziale Mechanicznym. Jako najlepszy tegoroczny podchorąży ze wszystkich polskich uczelni wojskowych dostał możliwość kontynuacji nauki w amerykańskiej akademii West Point. Spędzi tam cztery lata. „Nie jest dla mnie zaskoczeniem, że to Bartek poleciał za ocean. Jest zdeterminowany, sumienny, ma ogromną wiedzę i doskonałe wyniki. Słowem, porządny z niego żołnierz”, mówi kpt. Rafał Kopacki, zastępca dowódcy batalionu WAT.

Podobnie uważają koledzy z roku. „Bartek jest wyjątkowo ambitny. Bywało, że w czasie zaliczeń na uczelni uczył

się do czwartej rano, gdy większość z nas w tym czasie spała. Sam sobie umie narzucić dyscyplinę i tempo pracy. Ma naturę mentora. Jak trzeba było wykonać jakiś projekt, to wiedzieliśmy, że Bartek to ogarnie. Potrafi też zmotywować innych do pracy”, mówi pchor. Mateusz Kałuża.

PIERWSZE ZWYCIEŚTWO

Delegowanie podchorążych z Polski na studia w akademiach wojskowych USA jest możliwe dzięki porozumieniu zawartemu między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Udział w rekrutacji jest dobrowolny i ogłaszany na wszystkich uczelniach wojskowych w naszym kraju. Przedstawiciele każdej z nich porównują m.in. wyniki w nauce, osią-



ARCHIWUM BARTŁOMIEJA GRZYBOWSKIEGO

gnięcia sportowe, znajomość języków obcych oraz opinie służbowe, żeby wytypować najlepszych studentów w mundurach. Tak było także w 2016 roku. Po zakończeniu wstępnych procedur do ostatecznej rywalizacji o indeks West Point stanęło w sumie sześciu podchorążych, po trzech z WAT-u i Akademii Wojsk Lądowych.

Najlepszych czekała wieloletowa rekrutacja prowadzona przez Ministerstwo Obrony Narodowej we współpracy z ambasadą Stanów Zjednoczonych. Na początek podchorążowie przeszli rozmowę kwalifikacyjną w języku angielskim, potem musieli zdać egzaminy: z akademickiego języka angielskiego (Test of English as a Foreign Language – TOEFL), a także amerykańską maturę. „Mieliśmy także testy czytania i interpretacji oraz musieliśmy napisać esej. Dla mnie najtrudniejsze były jednak sprawdziany językowe. Głównie dlatego, że musiałem jednocześnie nadążać z obowiązkami na uczelni oraz przyswoić mnóstwo nowego materiału zaledwie w dwa miesiące”, mówi pchor. Grzybowski.

Elementem rekrutacji były także testy medyczne, niewiele różniące się od tych, które muszą przejść kandydaci do polskich uczelni wojskowych. Ochotnicy musieli też zaliczyć sprawdzian sprawności fizycznej (Candidate Fitness Assessment – CFA) nadzorowany przez amerykańskich żołnierzy z ambasady USA oraz instruktorów wychowania fizycznego z WAT-u. „Wymagania są bardzo podobne do tych obowiązujących na mojej uczelni. Były więc podciąganie na drążku, pompki, bieg na jedną milę. Nowością był rzut piłką koszykową na odległość z pozycji klęczącej oraz bieg na 40 jardów. Nie sprawiło mi to jednak większych problemów”, opowiada podchorąży.

Ostateczna decyzja, kto będzie studiował w West Point, należała do przedstawicieli uczelni. W kwietniu 2017 roku nadeszła informacja, że to właśnie pchor. Grzybowski rozpocznie studia w amerykańskiej akademii wojskowej. „Było to dla mnie spełnienie marzeń, a jednocześnie uwięźnienie bardzo długich i wymagających przygotowań. Czuję się ogromnie wyróżniony, tym bardziej że liczba miejsc dla zagranicznych kadetów w West Point jest bardzo ograniczona, a konkurencja ogromna. Mnie się udało. Sądzę, że duży wpływ na taką decyzję miały bardzo dobra znajomość języka angielskiego oraz wy-

niki na uczelni – moja średnia na koniec szóstego semestru wynosiła 5,0”, mówi student.

INTENSYWNA NAUKA

Progi West Point pchor. Grzybowski przekroczył 3 lipca. Niemal od razu rozpoczął bardzo intensywne szkolenie podstawowe. Cadet Basic Training (CBT) to element obowiązkowy dla rozpoczynających studia w amerykańskiej akademii. „Nie byłem jedynym obcokrajowcem, bo w gronie 1,2 tys. kadetów pierwszego rocznika znaleźli się także podchorążowie z 12 innych krajów, m.in. Tajwanu, Mongolii, Korei Południowej, Bangladeszu, Rumunii, Bułgarii i Kamerunu”, opowiada podchorąży.

Kadeci pierwsze dwa tygodnie spędzili na poligonie. Mieli zajęcia z nawigacji, taktyki i pierwszej pomocy na polu walki w warunkach odwzorowujących prawdziwe sytuacje bojowe. Trenowali też strzelanie i poprawiali kondycję. Ważnym elementem były marsze w pełnym oporządzeniu, które z czasem były coraz dłuższe i coraz bardziej wymagające. „Zarówno założenia szkolenia, jak i program są podobne do systemu stosowanego w Polsce. W West Point szkolenie podstawowe, podczas którego kształtuje się zasadnicze cechy żołnierskie, jest też testem sprawdzającym, czy naprawdę ma się motywację, aby ukończyć tę uczelnię. Bez wątpienia to bardzo wymagający etap. Sądzę jednak, że doświadczenie i wiedza, które zdobyłem na WAT, pozwoliły mi przejść przez niego bez większych problemów”.

STAĆ SIĘ LIDEREM

Po szkoleniu podstawowym kadeci rozpoczęli rok akademicki. Jak przyznaje pchor. Grzybowski, chociaż teraz ma więcej zajęć z teorii, to wciąż jest równie intensywnie jak na początku. „Nasz roboczy dzień zaczyna się pobudką przed 6.00. Potem każdy z nas ma do wykonania codzienne obowiązki, np. zamykanie korytarza czy wyrzucenie śmieci. Do 7.00 mamy czas na poranną toaletę, potem idziemy na apel i śniadanie. Pierwsze zajęcia zaczynamy o 7.30. Odbывают się one w kilkunastoosobowych grupach, dzięki czemu wykładowca jest w stanie zaangażować każdego kadeta”, mówi pchor. Grzybowski.

Dalsza część dnia przebiega codziennie według takiego samego schematu. Przed południem jest zbiórka na apel, po którym jest



W akademiach wojskowych USA studiuje trzech polskich podchorążych: jeden w West Point i dwóch w Annapolis. Podchorążych można kierować również na studia do Colorado Springs i do New London.



lunch, a potem przewidziano tzw. godziny rektorskie. Uczelnia rezerwuje je sobie, np. na potrzeby prelekcji wygłaszanej przez gościa, na który zaprasza się kadetów. Od 14.00 do 16.00 studenci znów mają wykłady. Po ich zakończeniu mogą poćwiczyć. O 18.00 jest kolacja, a potem do 23.00 czas na odrabianie zadań i przygotowanie się do kolejnego dnia nauki. Jak przyznaje pchor. Grzybowski, czasami trzeba jednak uczyć się dłużej. „Na West Point praktykowana jest metoda aktywnej nauki, tzw. Thayer Method, wymagająca dobrego przygotowania do każdego zajęcia”.

Według pchor. Grzybowskiego wspólnymi elementami kształcenia na uczelniach polskiej i amerykańskiej są większe projekty oraz kolokwia. „Tu jednak dużą wagę przykładają się do pracy indywidualnej po zajęciach, same lekcje natomiast są traktowane jako czas na zadawanie pytań i analizę omawianego zagadnienia. Jeśli chodzi o trudność, to zarówno studia w Polsce, jak i USA są wymagające, ale pod innymi względami: w naszym kraju – z powodu ilości i trudności zadanego materiału, a w USA – z uwagi na wymóg bycia na bieżąco oraz posiadania umiejętności organizacji czasu. Bez tego może być bardzo trudno nadążyć z materiałem”, podkreśla Bartek Grzybowski. Ale zaznacza, że wykładowcy potrafią zrozumieć nowicjuszy i ich początkowe problemy z przedstawieniem się na tak intensywną naukę, zwłaszcza w wypadku obcokrajowców.

„Dla podchorążych z zagranicy problemem może być przyzwyczajanie się do odmiennego systemu edukacji. Dodatkowo, studia w obcym języku wymagają większego skupienia i w niektórych momentach większego nakładu pracy. Uczelnia stawia jednak takie same wymagania dla wszystkich kadetów, bez względu na ich status, choć pomaga również się do nich przystosować” mówi podchorąży. W West Point organizowane są np. specjalne kursy, na których można się nauczyć, jak właściwie planować czas, jak przygotowywać się do egzaminów, jak poprawić szybkość i efektywność czytania. Działają także organizacje i kluby, których członkowie pomagają kadetom w wypracowaniach lub udzielają korepetycji z danego przedmiotu.



US MILITARY ACADEMY

UCZELNIA Z CHARAKTEREM

Wojskowa akademія w West Point (United States Military Academy at West Point) istnieje od 1802 roku. Kształci kadrę wojsk lądowych. Wśród absolwentów tej uczelni są m.in. generałowie Dwight Eisenhower, George Patton i Ulysses Grant. Mogą tam studiować też obcokrajowcy. Rocznie jest przyjmowanych od kilku do kilkunastu podchorążych z różnych krajów.

„To szerokie wsparcie ma uzasadnienie, bo akademія stawia sobie za cel kształtowanie liderów i rozwijanie ich umiejętności przywódczych. Dlatego program nauczania jest tak intensywny – przygotowuje się kadetów do radzenia sobie w każdej sytuacji, żeby byli wzorem dla podwładnych. Wymaga się także przestrzegania kodeksu honorowego i poszanowania starszych stopniem. Cała edukacja jest prowadzona w taki sposób, aby jak najlepiej przygotować absolwentów West Point do objęcia stanowisk dowódczych”, mówi Grzybowski.

Podchorąży uważa, że studia za oceanem to dla niego ogromna szansa na dalszy rozwój zawodowy. Ma nie tylko okazję, aby zobaczyć, jak funkcjonuje armia amerykańska, a potem próbować zaadaptować najlepsze i sprawdzone wzorce w Wojsku Polskim. „Mam także świetne środowisko do nauki języków obcych – otaczają mnie ludzie z całego świata i oprócz doskonalenia angielskiego, mogę uczyć się nowych języków i poznawać nowe kultury. Studia w West Point to także szansa na zdobycie dodatkowych kwalifikacji. Mogę tu przejść np. kurs spadochroniarski czy pletwonurka bojowego. Dodatkowo nawiązuję kontakty, które mogą się okazać nieocenione w mojej dalszej służbie”.

Pchor. Mateusz Kałuża uważa, że studia w West Point to na pewno coś, czym warto się chwalić. „Ale Bartek po prostu robi swoje. Wspieram go i jestem więcej niż pewny, że zdobyte doświadczenia zapoczątkują, gdy wróci już do kraju. Zresztą, jak go znam, to ukończy nie tylko West Point, ale jeszcze z 15 różnych kursów. W Polsce studiował na WAT, a dodatkowo dokształcał się z informatyki. Biegłe włada także dwoma językami – francuskim i angielskim. Cały czas mu mało. Nigdy nie spotkałem kogoś tak zdeterminowanego”, mówi wojskowy student WAT-u.

Kpt. Kopacki ocenia, że studia na West Point to dla polskiego podchorążego doskonała okazja do zdobycia nowych doświadczeń. „Myślę, że jak już wróci zza oceanu, będzie nam mógł przekazać zdobytą wiedzę i cenne informacje”. I dodaje, że Bartek jako student West Point jest doskonałą wizytówką WAT-u i całego wojska za granicą. „Wszak na tej amerykańskiej uczelni zawsze studiowali i studiuje najlepsi”.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

PIOTR KORCZYŃSKI

Szkoła inna niż wszystkie

Ułan musiał nauczyć się dobrej jazdy konnej, walki konno i pieszo, władania bronią białą i palną, musztry konnej i pieszej, słowem – wszystkiego podwójnie.

Pprzed wojną mawiano, że grudziądzkie ulice mienia się barwami otoków z całego kraju. Oczywiście chodziło o otoki na czapkach ułanów, którzy przybywali tutaj na kursy doszkalające. Dzięki Centrum Wyszkożenia Kawalerii (CWKaw) Grudziądz stał się mekka kawalerii II Rzeczypospolitej. Szkoła powstała w sierpniu 1920 roku i kilkakrotnie zmieniała nazwę, by od roku 1928 do 1939 używać wyżej wymienionej.

Centrum mieściło się w koszarach im. ks. Józefa Poniatowskiego w Grudziądzu i grupowało kilka szkół. Najważniejsza była Szkoła Podchorążych Kawalerii, przygotowująca oficerów zawodowych tej formacji. Do placówki szli na rok absolwenci szkół co najmniej średnich, a Wyższa Szkoła Jazdy była przeznaczona dla wybitnie utalentowanych jeźdźców, którzy doskonalili swe umiejętności, by stawać w szranki na zawodach sportowych i olimpiadach. Wśród wielu innych kursów można wymienić jeszcze Szkołę Doskonalenia Oficerów i Podoficerów oraz Kurs Instruktorów Jazdy. Uczniowie mieli do dyspozycji kilkaset koni. Ciągłość opieki nad nimi zapewniał szwadron luzaków, czyli szeregowych ułanów, którzy

w Centrum odbywali zasadniczą służbę wojskową. Na ulicach Grudziądza można było zatem napotkać przedstawicieli wszystkich pułków kawaleryjskich, ale dominowali ci w otokach amarantowych na rogatywkach i z amarantowo-granatowymi proporczykami na kołnierzach. Mowa oczywiście o podchorążych i luzakach w barwach szkoły. A prawdziwego szyku zadawali podchorążowie zawodowi. Wykorzystując luki w przepisach, nosili bardzo krótkie mundury, a płaszcze kawaleryjskie wydłużyli aż do ostróg. Tył oficerka, który był wysoki na 10 cm, wydłużyli do 12 cm. Regulaminowe salutowanie odbywało się przez dotknięcie daszka końcami palców. Podchorążowie CWKaw robili to środkiem palca wskazującego.

JAKI KOLOR OCZU MA MOJA DZIEWCZYNA

Najważniejsze dla nich były tradycje kawaleryjskie, w tym zwyczaj tzw. cuku. Każdy podchorąży musiał znać dzieje poszczególnych pułków, ich żurawiejki, nazwiska dowódców, a także historię szkoły oraz wiele innych pojęć z ułańskiego fachu. Wiadomości te były wymagane nie przez dowódców czy wykładowców, lecz egzekwowane od





mjr Henryk
Dobrzański



gen. Tadeusz
Rozwadowski



ppłk Piotr
Skuratowicz

ROZSŁAWILI POLSKĄ HIPPIKĘ

Z Centrum Wyszczolenia Kawalerii byli związani znakomici wojskowi i kawalerzyści II Rzeczypospolitej, którzy mieli wpływ na wychowanie kadry pułków kawalerskich, a także rozsławili polską hippikę na całym świecie. Trudno wymienić wszystkich, ale warto wspomnieć, że byli wśród nich gen. Tadeusz Rozwadowski, generalny inspektor jazdy/kawalerii w latach 1921–1926 i główny organizator kawalerskiego szkolnictwa, ppłk Piotr Skuratowicz, którego metody szkoleniowe przetrwały do samego końca CWKaw, płk Władysław Hofman, doktor weterynarii i autor cenionych podręczników z tej dziedziny, a także mjr Henryk Dobrzański, który po wybuchu wojny dał się poznać jako „Hubal”, a przed 1939 rokiem był znakomitym sportowcem i instruktorem jeździectwa. ■

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



młodsze go rocznika przez ten starszy. Jeśli młodszy podchorąży nie znał odpowiedzi na pytanie zadane przez kolegę z „wyższej klasy”, był „cukany”. Czyli musiał wykonać jakieś zadanie, czasem nieprzyjemne albo trudne, a najczęściej dowcipne. Zresztą pytania dotyczyły nie tylko regulaminu czy historii, brzmiały np.: „Jaki kolor oczu ma moja dziewczyna?”.

BIERZ! CEMU NIE BIERZES?

Podchorążowie pochodzili w większości z ziemianiskich rodzin gospodarujących na wsi, gdyż od dziecka byli obyci z końmi. Zdarzali się też ochotnicy, którym tuż po zdaniu matury, a przed 21. rokiem życia, przysługiwało prawo wyboru broni. Jednak mieszkańców miast trafiało do CWKaw niewiele. Nierzadko nauki w nim pobierali potomkowie głośnych rodów arystokratycznych. Absolwent Jerzy Urbankiewicz wspomina, że jeden z jego kolegów nazywał się Radziwiłł, co wzbudziło zainteresowanie wśród rekrutów już pierwszego dnia zajęć: „Księża ostrzygli »na pałę« jak każdego z nas i poszliśmy »fasować« mundury. [...] Otrzymaliśmy dwa komplety: jeden czysty, wyjściowy, do niego buty – zwykłe, ułańskie, ale mało używane, i jeden ćwiczebny, mocno podniszczony,

buty z łatami, i jeszcze bluzę drelichową, jako strój do czyszczenia koni. Wydawał nam te rzeczy w magazynie mundurowym starszy ułan ze szwadronu luzaków. [...] Podsuwał je nam, na oko oceniając rozmiar, aż stanął przed nim potomek panów na Nieświeżu. Starszy ułan spojrzał, ocenił i podał księciu łach, w którym służyły już ze trzy roczniki ułanów z cenzusem [...]. Księżę patrzył z obrzydzeniem i nie wierzył, że on ma w tym chodzić. A zniecierpliwiony magazynier krzyknął wreszcie: »Bierz! Cemu nie bierzes?«. Księcia zatkało. My zaś [...] wybuchliśmy śmiechem”.

Młodzi adepci kawalerii, choć dla większości praca z końmi nie była nowością, już od pierwszych dni w Szkole przekonywali się, jak ciężką służbę wybrali. W piechocie żołnierz troszczył się między pobudką a capstrzykiem tylko o własną osobę, o karabin i bagnet. Ułan – o siebie, karabin, bagnet, szablę, ostrogi, rząd koński, a przede wszystkim o wierzchowca. Podchorąży w czasie swego trzymiesięcznego kursu rekruckiego zobowiązani byli czyścić i karmić konia trzy razy dziennie. Poza tym musiał się nauczyć dobrej jazdy konnej, walki konno i pieszo, władania bronią białą i palną, musztry konnej i pieszej, słowem – wszystkiego podwójnie.



NA ULICACH GRUDZIĄDZA MOŻNA BYŁO ZOBACZYĆ PRZEDSTAWICIELI WSZYSTKICH PUŁKÓW KAWALERYJSKICH,

ALE DOMINOWALI CI W OTOKACH
AMARANTOWYCH NA ROGATYWKACH
I Z AMARANTOWO-GRANATOWYMI
PROPORCZYKAMI NA KOŁNIERZACH



Jubileusz XV-lecia istnie-
nia Centrum Wyszkożenia
Kawalerii w Grudziądzu,
październik 1936 roku

Do najtrudniejszych ćwiczeń bojowych należały te z szablą i lancą, np. „cięcie łoż”. Polegało ono na tym, że ustawiano w rzędzie, w odstępach kilkumetrowych, stojaki z łożami, czyli różgami grubości palca. Jeździec, jadąc galopem, powinien był je pościnać. Ścięcie łoż szablą nie było trudne. Sztuka polegała na tym, by synchronizować szybkość konia i ruchu ręki, aby we właściwym, jednym jedynym momencie tzw. pióro szabli trafiło w łożę. Warto tutaj znowu odwołać się do wspomnień Urbankiewicza. „Jednemu z ułanów plutonu [wachmistrza Juchniewicza] nie wychodziło to cięcie i tłumaczył się, że ma szablę tępą. Wachmistrz, żeby mu dowieść, że rzecz nie w ostrości szabli, podszedł do łoży, uderzył ją pod właściwym kątem palcatem [trzcinką] i... przetrącił”.

NA KONIA BEZ STRZEMIION WSKAKIWAŁ

Jeszcze trudniejszą sztuką było „cięcie gliny”. Na słupki wysokości jeźdźcy siedzącego na koniu naklejano stożek świeżej gliny. Należało ciąć go „od ucha”, poziomo, tak by pióro szabli przeszło przez glinę, ale żeby odcięty stożek pozostał na miejscu. Mało któremu podchorążemu, a nawet doświadczonemu ułanowi udawała się ta sztuka. Ćwiczenia walki lancą polegały na kluciu leżącego na ziemi

manekina lub trafianiu w rozwieszone na stojakach niewielkie pierścienie; trzeba je było grotem pozdejmować i nanizać na lancę.

Każdy z podchorążych musiał umieć tzw. adiutancki skok. Polegał on na tym, iż jeździec podchodził do konia, chwycił go lewą ręką za grzywę lub jakąś część siodła i rzutem prawej nogi na nie wskakiwał. Instruktorzy przed treningiem często przywoływali rekrutom postać znakomitego kawalerzysty Mikołaja Odrowąża Pieniążka, który podobno w wieku 80 lat „w zbroi husarskiej na konia bez strzemion wskakiwał i na nim harcował”. Oprócz umiejętności jeździeckich ułan musiał opanować rzemiosło wojskowe. Temu służyły liczne obozy polowe, które kończyły się egzaminami umiejętności służby polowej. W Szkole Podchorążych Kawalerii pod koniec każdego rocznika wysyłano wszystkich podchorążych na dwutygodniowe kursy narciarskie. Obie zaś podchorążówki jeździły na poligony do Obozu Ćwiczebnego w Biedrusku koło Poznania.

O poziomie CWKaw najlepiej świadczy walka pułków kawaleryjskich nie tylko we wrześniu 1939 roku, lecz także w kampaniach, kiedy już nie walczone szablą i lancą. Duch kawaleryjski zaszczepiony w Grudziądzu objawiał się też na pustyni tobruckiej czy na polach Francji. ■

ARMIA

/ NA CELOWNIKU



Minister obrony
narodowej Antoni
Macierewicz
z szefem
Departamentu
Obrony USA
Jamesem
Mattisem.
Pentagon,
21 września
2017 roku

A photograph of two men in suits standing in a doorway. The man on the left is older, with grey hair, wearing a dark suit and a blue tie, with his hand over his heart. The man on the right is younger, with a beard, wearing a blue suit and a striped tie. They are standing in a doorway with a wooden frame, and the interior of the building is visible behind them, showing modern lighting fixtures. The title 'JĘZYK WSPÓŁPRACY' is overlaid in large white letters.

JĘZYK WSPÓŁPRACY

Z Antonim Macierewiczem

o agresywnej polityce Rosji, współpracy z państwami
bałkańskimi i współczesnym patriotyzmie rozmawiają
Izabela Borańska-Chmielewska
i Tadeusz Wróbel.

ROBERT SUCHY/CO.MO.N



WIZYTÓWKA

ANTONI MACIEREWICZ

Ministrem obrony narodowej jest od listopada 2015 roku. Wcześniej pełnił m.in. funkcję ministra spraw wewnętrznych w rządzie premiera Jana Olszewskiego. Był też sekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej w rządzie premiera Jarosława Kaczyńskiego. ■

P

anie Ministrze, obchodzimy 99. rocznicę odzyskania niepodległości. Czy dzisiejszy patriotyzm można porównać z tym z okresu międzywojennego?

Do patriotyzmu podchodzę bardziej emocjonalnie niż naukowo, więc trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Wychowywali mnie rodzice i krewni, których postawa została ukształtowana w okresie II Rzeczypospolitej. Mogłem zatem obserwować różnicę między ich podejściem do patriotyzmu, przeżywaniem polskości a rzeczywistością, w której żyliśmy podczas okupacji sowieckiej. Moim zdaniem pokolenie dwudziestolecia międzywojennego było najlepsze w całej historii Polski. Byli to ludzie, którzy zbudowali państwo z niczego, potrafili przejść przez okupację niemiecką i sowiecką, a później przetrwać komunizm i jeszcze nas wychować.

Czy łatwo jest dziś kontynuować ich dzieło?

Wielkim osiągnięciem tego pokolenia było to, że większość Polaków kultywuje tradycyjne wartości. To właśnie tak ujęło prezydenta Donalda Trumpa, czemu dał wyraz w słynnym przemówieniu na placu Krasińskich w Warszawie. Jest to jednak obce wszystkim, którzy chcieliby wyeliminować wartości chrześcijańskie i narodowe z dorobku cywilizacji zachodniej. Dla nich

polskość jest przeszkodą, jest – jak powiedział jeden z liderów tego nurtu – nienormalnością. Myślę więc, że współczesne czasy są pod tym względem najtrudniejsze od końca XVIII wieku. W Europie rośnie presja, by zakwestionować podstawowe wartości naszej cywilizacji, takie jak patriotyzm, rodzina, naród, wiara, a także – „virtus”, czyli cnota męstwa. Mamy też do czynienia z negatywnymi skutkami kilkudziesięciu lat komunizmu. Pokolenie II Rzeczypospolitej nie musiało bronić podstawowych wartości, bo nie były one tak powszechnie negowane jak dziś. Ono poświęcało swoją energię na budowanie państwa. Główny nurt życia społecznego w Polsce niepodległej wyznaczały rodzina, Kościół i szkoła, w których wychowywano młodzież w duchu patriotycznym, narodowym i religijnym. Przy czym mam na myśli nie tylko religię rzymskokatolicką, lecz także w ogóle odniesienia do Boga w kształtowaniu postaw ludzkich.

Wspólnym mianownikiem wszystkich wizyt, które odbył Pan w ostatnich tygodniach, od USA po Bałkany, była kwestia bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO. Jak ocenia Pan to, co niedawno działo się za naszą wschodnią granicą, czyli ćwiczenia „Zapad ’17”?

Skala i agresywność działania Rosji bardziej przypominały przygotowanie do agresji niż

rutynowe manewry. Został rozwinięty front od Arktyki aż po Morze Czarne, a działania prowadzono nie w trybie ćwiczebnym, lecz bojowym. Ważne były liczba żołnierzy i zgrywanie poszczególnych rodzajów wojsk. Warto też zwrócić uwagę na ćwiczenia na Morzu Północnym okrętów podwodnych, których zadaniem było przerwanie łączności szlaków morskich przez Atlantyk i zablokowanie wsparcia Europy przez wojska z USA. Co jest niezwykle ważne, kontynuacją „Zapadu” były ćwiczenia rakiet balistycznych. Ukraińscy wojskowi twierdzą też, że nie wszystkie siły, które wprowadzono do Białorusi, już wycofano. Nie wiemy, czy ta obecność rosyjskich wojsk jest tylko pewnym etapem dyslokacji, czy żołnierze zostaną tam na dłużej. Nie wiemy też, czy nie pozostaną w tym miejscu wielkie składy broni i sprzętu, nie licząc bazy wojskowej, którą Rosjanie utrzymują tam od dawna. To wszystko pokazuje odmienność i nowy etap agresywnych przygotowań Federacji Rosyjskiej.

Każde kolejne ćwiczenia rosyjskie wzbudzają coraz większy niepokój i wywołują pytania o intencje tamtejszych polityków.

Na ćwiczenia „Zapad” nie można patrzeć w oderwaniu od tego, co się dzieje na arenie międzynarodowej. W tym samym czasie nastąpiła przecież eskalacja agresywnych działań Korei Północnej wobec Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników: Japonii i Korei Południowej. Gdyby konflikt na Dalekim Wschodzie bardziej się zaognił, mogłoby dojść do zmiany układu sił między NATO a Federacją Rosyjską na naszej wschodniej flance, bo wówczas zostałyby ograniczone możliwości reagowania USA. Taką sytuację wszyscy w NATO, zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej, odebraliśmy jako bardzo duże zagrożenie, wciąż zresztą aktualne.

Sojusz już zareagował na wcześniejsze agresywne zachowania Rosji. Czy wrześnie manewry pokazały, że podjęte działania były konieczne?

Wszystko to, co działo się wokół ćwiczeń „Zapad”, potwierdziło, że nasza decyzja w czasie szczytu warszawskiego o wzmocnieniu wschodniej flanki została podjęta w ostatnim możliwym momencie. W innym wypadku Europa Środkowa byłaby bezbronna. Szczęśliwie udało się przekonać sojuszników do ułożenia w Polsce i w innych krajach regionu batalionowych grup bojowych, do przerzutu do nas ciężkiej brygady pancerniej US Army i do dalszego wzmocnienia obecności amerykańskiej na terenie naszego kraju. Trzeba jednak podkreślić stanowczo, że nie byłoby to możliwe bez decyzji Polaków podczas wyborów jesienią 2015 roku. Bez rządu Prawa i Sprawiedliwości tego sukcesu by nie było!

Jak Finlandia, która nie należy do NATO, a jest sąsiadem Rosji, ocenia sytuację w naszym regionie?

Z moich rozmów z fińskimi politykami wynika, że ich perspektywa jest podobna do naszej. Oczywiście Finlandia nie należy do NATO, ale jest członkiem Unii Europejskiej i bardzo wiele robi w sferze militarnej na rzecz utrzymania swej niepodległości. Ten niespełna pięćmilionowy naród ma pełną świadomość zagrożeń. Nie bez powodu to państwo dysponuje największą w Europie armią rezerwową zdolną w każdym momencie bronić ojczyzny. Moja wizyta w Finlandii otwiera nowe perspektywy do współpracy.

W jakiej dziedzinie?

Przed wszystkim wojsk obrony terytorialnej i w doświadczeniu budowy rezerw. Duże znaczenie ma także systematyczna wymiana informacji.

To jedna z kilku wizyt, które odbył Pan w ostatnich tygodniach. Czy przyświecał Panu jeden nadrzędny cel w czasie tych wielu spotkań?

Gdy rozpoczynałem serię wizyt międzynarodowych, poczynawszy od Stanów Zjednoczonych, a skończywszy na Wielkiej Brytanii, miałem świadomość, że ich celem są nie tylko doraźne konsultacje dotyczące „Zapadu”. Warto wykorzystać powodzenie inicjatywy Trójmorza, którego szczyt odbył się w Warszawie, z inspiracji prezydentów Polski i Chorwacji, w obecności prezydenta Donalda Trumpa i z jego wsparciem. Jednym z celów moich podróży było ustalenie, czy nie warto by doprowadzić do stałych tego rodzaju spotkań, służących wymianie doświadczeń i wypracowaniu wspólnych koncepcji ministrów obrony narodowej całej Europy Środkowej. We wszystkich państwach, od Finlandii aż po Turcję i Ukrainę, spodobał się pomysł i nikt nie odmówił udziału w tej inicjatywie. Mam zatem nadzieję, że szybko uzyska ona ramy organizacyjne. Naszym priorytetem, jako ministrów obrony, jest nie tylko reakcja na doraźną sytuację, ale także tworzenie ram stałej współpracy, stałego współdziałania państw Europy Środkowej w wymiarze obronnym.

Odwiedził Pan kilka państw bałkańskich. Jak ocenia Pan sytuację w regionie, który w przeszłości wielokrotnie był źródłem wielu konfliktów międzynarodowych?

Postrzeganie Bałkanów jako źródła problemów zdarza się w sposobie myślenia społeczeństw zachodniej Europy. Polacy mają jednak inne doświadczenie i inną, choć zapomnianą tradycję. Przypominam postawę polskich dyplomatów, polityków, a także wojskowych Wielkiej Emigracji. Książę Adam Czartoryski dostrzegł olbrzymi potencjał tamtejszych narodów w kontekście sojuszu z Polską i wsparcia dla idei odzyskania niepodległości. Muszę



potwierdzić trafność tej obserwacji i z pewnym niedosytem patrzę na dotychczasową politykę, jaką realizowano w Polsce przed premier Beatą Szydło. Tam jest wręcz żywiołowa gotowość poszukiwania wspólnej płaszczyzny działania oraz wsparcia dla idei Międzymorza. Chorwacja, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra oraz Albania opowiadają się za naszymi propozycjami współpracy, są ponad religijnymi i etnicznymi uwarunkowaniami. Wszystkie te państwa zdają sobie sprawę z rosyjskiego zagrożenia, a także dywersji ze strony mniejszości rosyjskiej. Znana jest kwestia rosyjskiego centrum humanitarnego w Niszu, które dość powszechnie jest postrzegane jako ośrodek dywersji. To niejedyny przykład wrogiej aktywności Moskwy w regionie. Czarnogóra nieomal w ostatniej chwili uratowała się przed zamachem stanu przygotowywanym, żeby nie dopuścić do jej wejścia do NATO. Tak się złożyło, że organizował go funkcjonariusz GRU, który przedtem był pracownikiem ambasady rosyjskiej w Polsce.

Na jakiej płaszczyźnie możemy zatem współpracować z państwami bałkańskimi?

We wszystkich krajach, które odwiedziłem, widoczne były polityczna otwartość i szukanie wspólnego języka do współpracy, szukanie w Polsce partnera. Chorwatom, którzy wysyłają do Polski swoją kompanię do batalionowej grupy bojowej, zależy chociażby na symbolicznej obecności polskich wojsk w ich kraju, zwłaszcza sił specjalnych. Będziemy rozważali taką możliwość, bo nam z kolei bardzo zależy na tym, żeby polskie siły specjalne mogły ćwiczyć w Chorwacji. Sprawa wymiany informacji, w tym wywiadowczych, jest natomiast kluczowa dla Czarnogóry, której szczególnie zagraża rosyjska infiltracja. My mamy pewne rozeznanie co do rosyjskiej aktywności, tak więc na pewno będziemy gotowi ich wesprzeć. Przy czym wszystkie państwa bałkańskie szukają wspólnej płaszczyzny integracyjnej, która wzmocniłaby ich niepodległość. One obserwują też zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w obronę Europy Środkowej, w tym Polski. Liczą, że to też wzmocni ich bezpieczeństwo.

Jakie są zatem priorytety państw bałkańskich w sferze obronności, w jakich dziedzinach potrzebują wsparcia?

Pokolenie dwudziestolecia międzywojennego było najlepsze w całej historii Polski

Te państwa z olbrzymim wysiłkiem wychodzą z bardzo trudnej sytuacji gospodarczej, mają więc ograniczone możliwości przeznaczenia dużej części budżetu narodowego na siły zbrojne. W szczególności dotyczy to Bośni i Hercegowiny, która jest jednym z biedniejszych krajów tego regionu. Struktura polityczna, która tam została zaimplementowana po wojnie w latach dziewięćdziesiątych, czyli podział na dwa autonomiczne elementy, Federację Bośni i Hercegowiny oraz Republikę Serbską, już nie zawsze odpowiada rozwojowi sytuacji politycznej. Jeżeli to państwo ma się rozwijać, konieczne są nowe rozwiązania. Dla Bośni i Hercegowiny niesłuchanie ważne jest uzyskanie możliwości wejścia w przyszłości do NATO i do Unii Europejskiej. Nawet nie samo wejście w te struktury, bo to odległa sprawa. Istotna jest natomiast realna perspektywa, tzw. mapa drogowa. W tym dążeniu Polska będzie wspierała Bośnię i Hercegowinę.

Również w kwestii uzbrojenia?

Jeśli chodzi o sprzęt wojskowy, to mówiliśmy raczej o używanym, który mógłby być sprzedany lub przekazany w jakiejś formule wsparcia. Bośniacy są zainteresowani głównie transporterami kołowymi. Zresztą rosomaki w całym tym rejonie cieszą się dużym zainteresowaniem.

Czego dotyczyły ustalenia w czasie rozmów w Albanii na temat centrum eksperckiego NATO i pomocy strony polskiej w tym przedsięwzięciu?

Albańczycy zaproponowali, że stworzą centrum eksperckie związane z problemem „foreign fighters”, czyli walczących za granicą terrorystów, pochodzących z takich państw jak Albania, którzy powracają do swoich krajów. Nadzór nad nimi jest istotnym elementem bezpieczeństwa,

ponieważ często są wykorzystywani do działań terrorystycznych. My wesprzemy tę inicjatywę Albanii.

Na zaproszenie Damira Krstićevicia wziął Pan udział w uroczystościach zakończenia 25. pielgrzymki wojska i innych służb mundurowych do sanktuarium maryjnego Marija Bistrica.

To sanktuarium można porównać do Częstochowy. Był to osobisty aspekt wizyty na Bałkanach. Bardzo zależało mi na spotkaniu z ludźmi kierującymi chorwackim ministerstwem obrony właśnie podczas pielgrzymki. Są zespołem przyjaciół, którzy walczyli o niepodległość Chorwacji w latach dziewięćdziesiątych. Oni mają olbrzymie poczucie spójności narodowej i determinacji w obronie własnej ojczyzny, głęboko zakorzenione w wierze. Jestem pod dużym wrażeniem tego spotkania.

Współpraca wojskowo-techniczna i przemysłowa były ważnymi kwestiami podczas pańskich rozmów w Stanach Zjednoczonych. Pojawiła się informacja o możliwym przyspieszeniu dostaw zestawów rakietowych Patriot do Polski.

Rzeczywiście to był jeden z głównych tematów. Szansa na przyspieszenie dostaw patriotów pojawiła się po przedstawieniu nowej oferty przez produkującą je firmę Raytheon. Zestawy rakietowe mogą trafić do Polski w 2020 roku, jeśli jeszcze w 2017 roku lub na początku przyszłego dojdzie do podpisania umowy. Drugim warunkiem jest gwarancja, że nie wzrośnie ich dotychczasowa cena. Nasze stanowisko jest proste, zgodzimy się na przyjęcie pierwszych baterii bez nowego systemu dowodzenia IBCS tylko pod warunkiem, że późniejsze zastąpienie nim obecnego nie spowoduje dodatkowych wydatków. Ta sprawa jest teraz negocjowana przez naszych ekspertów.

Co z transferem technologii związanych z programem „Homar”? Amerykańskie firmy niechętnie się na niego godzą, tłumacząc się restrykcyjnymi regulacjami prawnymi, które wymagają zgody rządu.

Kwestia udzielenia takiej zgody była jednym z tematów moich rozmów z sekretarzem obrony Jamesem Mattisem. I uzyskaliśmy ją w dziedzinach, które najbardziej nas interesują. Na pierwszym etapie realizacji programu „Homar” dostaniemy gotowe zestawy, a ich polonizacja, będąca częścią rozwiniętego offsetu, nastąpi przy kolejnych transzach. Bardzo ważny jest czas, bo musimy jak najszybciej dysponować nowymi zdolnościami obronnymi na wschodniej flance.

Czy z Amerykanami rozmawialiście też o śmigłowcach uderzeniowych?

Tak. Jak wiadomo, dwaj amerykańscy producenci oferują nam swoje maszyny, ale na tym etapie rozmów nie chciałbym wchodzić w szczegóły.

Poruszono także sprawę stworzenia specjalnej grupy roboczej wojskowych. Czym ona ma się zajmować?

Z jednej strony, chodzi o uzgodnienia w sprawie wojskowych planów operacyjnych, a z drugiej – o powołanie zespołów, które będą nadzorowały tworzenie wspólnych polsko-amerykańskich jednostek wojskowych.

Niedawno pojawiła się propozycja utworzenia „natowskiego Schengen”, który uprościłby przemieszczanie się wojsk na terytorium państw sojuszu. Co Pan sądzi o tej idei?

Niektórzy wojskowi chcą całkowitego zlikwidowania kontroli obcych wojsk, które mogłyby bez zapowiedzi przechodzić przez terytoria poszczególnych państw. Nie sądzę, aby to było możliwe w takim wymiarze. W Polsce skróciliśmy czas wydania zgody na tranzyt wojsk do 72 godzin i wydaje mi się, że w warunkach pokojowych takie rozwiązanie jest wystarczające. To była jedna z pierwszych decyzji, które podjąłem po objęciu stanowiska ministra obrony narodowej. Oczywiście zupełnie inne procedury będą obowiązywały w razie kryzysu czy stanu wojny.

Kryzys mamy w Hiszpanii. Jaki wpływ na NATO i bezpieczeństwo w Europie może mieć sytuacja wewnętrzna w tym kraju?

Ewentualny rozpad Hiszpanii byłby dla Europy katastrofą, bo podobne procesy mogłyby przybrać na sile w innych państwach. Dlatego prezydent Donald Trump szybko udzielił jednoznacznego poparcia rządowi w Madrycie. Sprawa Katalonii wywołała, co mogłem obserwować, duże zamieszanie emocjonalno-świadomościowe w państwach bałkańskich, gdyż większość z nich powstała w wyniku rozpadu Jugosławii. Jestem jednak przekonany o sile państwa hiszpańskiego i jego spójności.

Pojawiły się głosy, że Zachód stosuje dwie miary w podobnej sprawie. Krytykuje niepodległościowe aspiracje Katalonii, a w przeszłości nie tylko przyzwolił na rozpad Jugosławii, lecz także wręcz go wspierał.

Nie zgadzam się z opinią, że obie sytuacje są takie same. Jugosławia była państwem z centralnym rządem i armią o korzeniach komunistycznych i intencją było utrzymanie dominacji związanych z Rosją Serbów nad innymi narodami zamieszkującymi federalne państwo. Hiszpania natomiast jest krajem niepodległym i w pełni demokratycznym. Rozpad tego państwa otworzyłby drogę do powrotu eurokomunizmu, który tam się narodził. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
EWA KORSAK

KOBRA: uderzenie specjalne

**Żołnierze wojsk specjalnych NATO, m.in. z USA,
Wielkiej Brytanii, Belgii i Chorwacji, przez trzy
tygodnie szkolili się w Polsce.**



Między Wislandią a jednym z sąsiadujących państw wybucha konflikt. Na teren kraju wkraczają obce wojska. Przeciwnik dąży do zajęcia sporej części obszaru północno-wschodniego. Cel? Drogą dyplomatyczną zalegalizować przyłączenie przywłaszczonych terenów. W tym samym czasie w głębi kraju pojawiają się grupy dywersyjne. Przeciwnicy są cały czas dozbrajani i przygotowują się do zamachów na przedstawicieli lokalnych władz. To moment, w którym do akcji włączają się żołnierze wojsk specjalnych (WS). Ich zadaniem jest zdobycie informacji o miejscu pobytu grup dywersyjnych, rozpoznanie przeciwnika, schwytanie przywódców tych organizacji i udaremnienie planowanych zamachów. Według takiego scenariusza roz-

poczęły się największe w tym roku ćwiczenia wojsk specjalnych. W manewrach „Kobra ’17” wzięli udział żołnierze ze wszystkich polskich jednostek specjalnych. Dodatkowo szkolili się z nimi lotnicy z 7 Eskadry Działań Specjalnych, czyli jednostki, która podczas działań bojowych jest podporządkowana WS. Na niemal trzytygodniowe ćwiczenia do Polski przyjechali także partnerzy zagraniczni z Belgii, Chorwacji, Wielkiej Brytanii, Litwy, Słowacji, Węgier, Stanów Zjednoczonych oraz Gruzji.

„Żołnierze działali na terenie całej Polski oraz na Słowacji. Każda jednostka wykonywała zadania zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Operatorzy prowadzili rozpoznanie, akcje bezpośrednie i inne operacje specjalne. Działali w lasach, terenach zabudowanych, na morzu i w powie-



TEGOROCZNE MIĘDZYNARODOWE MANEWRY SPECJALSÓW BYŁY WYJĄTKOWE. PO RAZ PIERWSZY WZIĄŁ W NICH UDZIAŁ PODODDZIAŁ SIŁ SPECJALNYCH GRUZJI



Obserwujący ćwiczenia „Kobra '17” dowódca KWS gen. Marchwica przyznał, że różnica pomiędzy działaniem operatorów polskich i gruzińskich się zacieśnia, a to oznacza, że Gruzinom coraz bliżej do standardów NATO.

MICHAŁ NIWICZ (3)

trzu. Nie o wszystkich zadaniach jednak możemy mówić”, przyznaje pplk Krzysztof Łukawski, rzecznik prasowy Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych w Krakowie, które było organizatorem manewrów.

„»Kobra«, to najważniejszy, coroczny sprawdzian jednostek, sztabów, dowództw i pododdziałów WS. Tym razem tematem ćwiczeń było planowanie i dowodzenie operacjami specjalnymi w ramach operacji obronnej na terenie kraju we współdziałaniu z siłami specjalnymi innych państw”, mówi gen. bryg. Wojciech Marchwica, dowódca KWS i kierownik ćwiczeń.

Tegoroczne manewry specjalsów były wyjątkowe. Po raz pierwszy wziął w nich udział pododdział sił specjalnych Gruzji, podsumowując tym samym niemal dwuletni

okres szkolenia z polskimi operatorami. Ze strony polskiej za wspólne ćwiczenia odpowiadała najmłodsza w rodzinie wojsk specjalnych jednostka wojskowa Agat.

„Gruzini podczas »Kobry '17« mieli udowodnić, że są gotowi do wykonywania zadań zgodnie z obowiązującymi w NATO procedurami. Musieli pokazać, że wiedzą, jak planować operację specjalną i jak ją prowadzić. Kiedyś podobny test przechodziły polskie wojska specjalne, teraz oceniamy my. Wiemy, jakie są wymagania, mamy doświadczenie misyjne, od lat współpracujemy z siłami specjalnymi sojuszu. Gliwicka jednostka jest mentorem dla Gruzinów, i to jej żołnierze mieli decydujący głos w ocenie”, mówi jeden z oficerów Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.





PODCZAS ĆWICZEŃ „KOBRA '17”

ŻOŁNIERZE KORZY-
STALI Z CYWILNEJ
INFRASTRUKTURY,
NISZCZĄCYCH
I OPUSZCZONYCH
HAL PRZEMYSŁO-
WYCH, NIEUŻYWA-
NYCH LOTNISK
I LĄDOWISK

„Żeby ocena była wiarygodna, gruzińskim operatorom cały czas towarzyszył międzynarodowy zespół, czyli Assessment Team. Tworzyli go doświadczeni operatorzy, którzy brali udział w natowskich szkoleniach i misjach zagranicznych”, wyjaśnia ppłk Łukawski.

Dowódca polskich WS podkreśla, że współpraca Polaków z Gruziniami wynika ze zobowiązań sojuszniczych, wypracowanych podczas szczytów NATO w Bukareszcie, w Walii oraz w Warszawie. „Strona gruzińska potwierdziła wolę pogłębienia współpracy, dlatego rok temu podczas szczytu sojuszu przyjęto szczegółowy plan działania, tak aby Gruzja zdobyła pożądaną zdolności”, mówi gen. Marchwica. W kwietniu 2016 roku podczas wizyty w Polsce szefa Sztabu Generalnego Gruzji podpisano porozumienie, które reguluje zakres współpracy pomiędzy wojskami specjalnymi obu państw. Obejmuje ono m.in. takie dziedziny, jak doradztwo, wymiana informacji i doświadczeń oraz logistyka. Ustalono wówczas, że polscy i gruzińscy specjaliści będą się szkolić podczas wspólnych kursów, ćwiczeń, konferencji, seminariów i warsztatów.

Umowa o współpracy zakładała również, że polskie wojska specjalne będą pełniły funkcję mentora, wspierając jednostki gruzińskie w procesie szkolenia według procedur przyjętych w NATO. „Proszę jednak pamiętać, że współpracujemy z doświadczonymi żołnierzami z Gruzji, którzy ukończyli już szereg specjalistycznych szkoleń i ćwiczeń. Poza tym mają bardzo bogate doświadczenie bojowe, zdobyte m.in. podczas konfliktu w Osetii Południowej w 2008 roku”, podkreśla gen. Marchwica.

Gruzjińskie siły specjalne to elita sił zbrojnych tego kraju, powołana do prowadzenia operacji specjalnych, wywia-

dowczych i kontrwywiadowczych oraz do przeciwdziałania terroryzmowi. Są zdolne do udziału w konfliktach asymetrycznych. Najważniejszą jednostką jest Brygada Sił Specjalnych podlegająca ministrowi obrony narodowej.

„Na ćwiczenia do Polski przyjechała grupa kilkunastu gruzińskich żołnierzy. Przez niemal trzy tygodnie intensywnie trenowaliśmy, by ostatecznie zdać ten jeden, najważniejszy egzamin. Chcieliśmy pokazać jednostce Agat oraz siłom specjalnym z innych krajów, że jesteśmy gotowi, aby być pełnoprawnym uczestnikiem międzynarodowych ćwiczeń. Podczas »Kobry« działaliśmy w ramach większego zadaniowego zgrupowania bojowego i ramię w ramię prowadziliśmy operacje specjalne. Dla nas to wielki krok w stronę NATO”, mówi „Misza”, żołnierz gruzińskich sił specjalnych.

POLIGON TO ZA MAŁO

W trakcie „Kobry '17” żołnierze szkolili się z dala od obiektów poligonowych. Korzystali za to z cywilnej infrastruktury, niszczących i opuszczonych hal przemysłowych, nieużywanych lotnisk i lądowisk.

„Miejsca wybraliśmy w porozumieniu z samorządami oraz innymi władzami terenowymi. Manewry poza poligonami mają dla nas duże znaczenie. Żołnierze operują w miejscach sobie nieznanych, muszą być bardzo ostrożni, skupieni i niezauważalni dla otoczenia. To zdecydowanie podnosi realizm treningu”, mówi ppłk Łukawski.

Jeden ze scenariuszy ćwiczeń zakładał, że na zachodzie kraju działa grupa, która gromadzi materiały wybuchowe i broń. „Naszym zadaniem było potwierdzić informacje uzyskane od innych służb, potwierdzić cel, a następnie



MICHAŁ NIWICZ

zneutralizować magazyny i obezwładnić przeciwnika”, opisywał zadanie Paweł, dowódca zadaniowego zespołu szturmowego. W czasie „Kobry” taki zespół tworzyli Gruzini, żołnierze Agatu oraz specjaliści z Węgier i Wielkiej Brytanii. Operatorzy najpierw musieli zweryfikować otrzymane informacje, a później ruszyli w teren, by dowiedzieć się jak najwięcej o celu.

„W czasie rozpoznania okazało się, że na wskazanym terenie znajduje się magazyn, gdzie gromadzone są materiały wybuchowe. Wtedy rozpoczęliśmy kolejny etap naszego działania, czyli planowanie operacji”, mówi Tomek, żołnierz Agatu. Pytany, jak wygląda planowanie i przygotowywanie się do akcji, odpowiada z uśmiechem: „Jak na filmach”. Na miejsce akcji żołnierze pojechali w nocy opancerzonymi wozami M-ATV. „Tak naprawdę nie ma tu żadnych reguł czy schematów, choć zwykle uderzamy w nocy, bo przeciwnik jest wtedy mniej skoncentrowany i mniej czujny”, mówi „Diabeł”, oficer z JW Agat. Po szturmie specjaliści dokładnie przeszukali budynek i zabezpieczyli znalezione w nim materiały wybuchowe oraz broń. „Przeczyszczaemy obiekt metr po metrze, sprawdzamy każdą półkę, szukamy skrytek, sprawdzamy, co znajduje się pod łóżkiem albo w kuchennych szafkach. Szukamy wszystkiego, co mogłoby nam pomóc w kolejnych działaniach. Tym razem zabezpieczyliśmy materiały wybuchowe, mapy i różnego rodzaju dokumenty”, dodaje Tomek.

Kolejna, ostatnia operacja w trakcie „Kobry” rozpoczęła się nad ranem. Ciszę przerwał ryk wojskowych silników. Gruzini żołnierze pojechali pod budynek i z hukiem wbiegli do środka. Ich zadaniem było opanowanie obiektu – starej wieży lotniskowej, w której znajdowali się terro-

ryści. Mieli także pojmać lub zlikwidować ich przywódcę. W tej akcji, tak jak w czasie poprzednich, Gruzinom partnerowali żołnierze Agatu.

„To dla nich ważny moment. Sprawdzenie swoich umiejętności, zweryfikowanie, czy są gotowi, by działać zgodnie z procedurami NATO”, mówi jeden z nich.

WSPÓLNE PLANY

Żołnierze Agatu do manewrów przygotowywali się od kilku miesięcy. „Nawet w czasie ćwiczeń wykorzystywaliśmy każdą chwilę, by doskonalić swoje umiejętności. Szkoliliśmy się np. w prowadzeniu akcji bezpośrednich i w walce w budynkach”, mówi „Niedźwiedź”, dowódca grupy szturmowej. Agat jest przeznaczony do wspierania innych jednostek specjalnych, ale, jak wyjaśnia „Niedźwiedź”, zdarzają się sytuacje, kiedy żołnierze samodzielnie muszą zaplanować i przeprowadzić akcje. Tak było właśnie podczas ćwiczeń „Kobra '17”.

„Walka w budynkach to bardzo wymagające zadanie. Liczy się tu szybkość, ale i dokładność. Wchodząc do budynku, postępujemy zgodnie z pewnymi standardami, ale trzeba to dobrze wyćwiczyć”, mówi „Niedźwiedź”.

Obserwujący ćwiczenia dowódca KWS gen. Marchwica przyznał, że różnica pomiędzy działaniem operatorów polskich i gruzińskich się zaciera. „Podczas ćwiczeń »Kobra '17« Gruzini zdali test, ale to nie oznacza, że kończymy wspólne szkolenie. Nadal będziemy ćwiczyć w Polsce i w Gruzji, wspierać rozwój gruzińskich sił specjalnych, tak aby w najbliższym czasie wspólnie przygotować Zadaniową Grupę Specjalną, która mogłaby wziąć udział w misji NATO”, mówił dowódca. ■

PIOTR RASZEWSKI

KONFRONTACJA ZE SMOKIEM

**Współpracowali z ludnością cywilną,
prowadzili działania rozpoznawcze
i wspierali 6 Brygadę Powietrznodesantową
w odbiciu lotniska w Szymanach.
O przejmującym zapachu stajni
i nieprzespanych nocach opowiadają żołnierze
wzmocnionego plutonu lekkiej piechoty.**

O tym, że to 2 Lubelska Brygada Obrony Terytorialnej ma skierować żołnierzy na „Dragona”, dowództwo jednostki dowiedziało się kilka miesięcy przed manewrami. Sytuację komplikowało to, że wyjątkowo zamierzano w nich użyć terytorialsów niezgodnie z ich główną misją, czyli działaniem na terenie, na którym mieszkają. Czasu było niewiele, ale wystarczyło na zorganizowanie dodatkowych szkoleń i ćwiczeń zgrzywających. Jednostka nie miała problemu z powołaniem ochotników na manewry realizowane poza przytym rytmem, bo chętnych do udziału w „Dragonie” było zdecydowanie więcej niż miejsc.

Finalnym sprawdzianem dla żołnierzy terytorialnej służby wojskowej były sierpniowe ćwiczenia „Huzar ’17”. Niespełna miesiąc przed „Dragonem” terytorialsowie po raz pierwszy mieli możliwość przetrenowania współpracy z wojskami operacyjnymi. Scenariusz uwzględniał bowiem m.in. wspieranie działań wojsk operacyjnych podczas wykonywania zadań w stałych rejonach odpowiedzialności (SRO) wybranych pododdziałów WOT-u. Terytorialsowie współdziałali z żołnierzami 25 Brygady Kawalerii Powietrznej i 2 Pułku Rozpoznawczego. „Przygotowując się do szkolenia, przyswoiliśmy zagadnienia z taktyki i współpracy z ludnością cywilną. Byliśmy pierwszym pododdziałem obrony terytorialnej, który wyszedł poza poligon, ćwiczył w realnym terenie i wśród swojej społeczności. Ta zresztą odbierała nas bardzo pozytywnie”, mówi szer. Damian Duda z 23 Batalionu Obrony Terytorialnej. „Z manewrami na taką skalę spotkałem się już w tamtym



roku, gdy jako proobronny brałem udział w »Anakon-dzie«”. Dlatego nie wyobrażałem sobie, żeby nie uczestniczyć w tegorocznym »Dragonie«”, dodaje Duda.

Wzmocniony pluton piechoty wystawiony przez 2 Lubelską Brygadę Obrony Terytorialnej – w sumie 36 żołnierzy OT i czterech zawodowych – działał w rejonie lotniska Szymany. Tuż po dotarciu na miejsce pododdział dostał zadania prowadzenia działań rozpoznawczych, patrolowania terenu i zdobywania informacji. Sporym wyzwaniem było też umiejętne przygotowywanie posterunków obserwacyjnych. Poczynania terytorialsów weryfikowali, śledząc każdy ich ruch, instruktorzy z mobilnych zespołów szkoleniowych. „Sporo czasu przeznaczaliśmy na nocne patrole, które prowadziliśmy na terytorium zajęтым



ŻOŁNIERZE Z PLUTONU WOT PRZYNAJĄ, ŻE CZUJĄ DUŻĄ SATYSFAKCJĘ Z UDZIAŁU W „DRAGONIE”.

ROBILI WSZYSTKO, BY Z JAK NAJLEP- SZEJ STRONY RE- PREZENTOWAĆ SWOJĄ FORMACJĘ

przez przeciwnika. W wypełnianiu zadań pomagał nam sprzęt noktowizyjny. Czasami doskwierał brak snu, ale nie było to dla nas wielkim problemem”, podkreśla szer. Aleksandra Dajek. „Zbieraliśmy również informacje

dla wojsk operacyjnych, które mieliśmy przyjąć w naszym rejonie. Często stosowaliśmy nieszablone rozwiązania”, dodaje ochotniczka. Z kolei szer. Karol Wojtaszek przyznaje: „To były zajęcia wymagające, ale o tyle ważne, że doskonale wpisywały się w kluczowe założenia taktyki działania lekkiej piechoty, którą przecież jesteśmy”.

SZTURM NA LOTNISKO

Początkowa część ćwiczeń była jedynie przygotowaniem do kolejnej fazy, w której terytorialsi musieli ściśle współdziałać z 6 Brygadą Powietrznodesantową. Pluton OT najpierw przyjął w Dzierzkach spadochroniarzy z połączonej grupy awangardowej. „Musieliśmy przeprowadzić żołnierzy do naszego stanowiska dowodzenia, gdzie



przekazywali im informacje zdobyte w ciągu ostatnich 48 godzin. Nie ukrywam, że dane, które uzyskaliśmy, zrobiły na nich bardzo duże wrażenie. Zaoszczędziliśmy im sporo roboty, bo mieli wszystko podane jak na tacy”, śmieje się szer. Paweł Piwnicki.

Następnie terytorialsi przeprowadzili spadochroniarzy marszem ubezpieczonym w rejon lądowiska w Szymanach. „Podczas wspólnych działań nasi starsi koledzy dopytywali nas, gdzie służymy. Bezcenne było, gdy widzieliśmy ich zdziwienie, kiedy dowiadawali się, że nie jesteśmy żołnierzami zawodowymi. Takie chwile były dla nas najlepszymi nagrodami. Choć trzeba również przyznać, że wiele się od nich nauczyliśmy”, wspomina szer. Damian Duda.

Kolejne zadania polegały na przyjęciu głównego zrztu i pomocy wojskom operacyjnym w odzyskaniu kontroli nad lotniskiem. Terytorialsi wspierali ogniem żołnierzy 6 Brygady Powietrznodesantowej zaraz po tym, jak naprowadzone przez JTAC samoloty F-16 zniszczyły wybrane cele na lotnisku. Pluton WOT-u miał zwrócić na siebie uwagę i w ten sposób zmylić przeciwnika, który zajmował lotnisko, oraz uniemożliwić mu użycie systemów MANPAD. Po zdobyciu lądowiska przez wojska powietrznodesantowe dostał rozkaz zabezpieczenia go przed grupami dywersyjno-rozpoznawczymi przeciwnika, który nie rezygnował z odbicia infrastruktury krytycznej.

„Szturm na lotnisko nie był na pewno naszym najważniejszym zadaniem. Przecież wcześniej działaliśmy tam przez kilka dni, a tuż po zdobyciu obiektu naszym głównym celem pozostało przeciwdziałanie dalszym atakom przeciwnika, korzystając z wcześniej zdobytych informacji i doskonałego rozpoznania terenu”, podkreśla szer. Karol Wojtaszek. A Damian Duda dodaje: „O szturmie na lotnisko dowiedzieliśmy się w ostatniej chwili. Byliśmy do niego przygotowywani zaledwie kilkanaście godzin. Nie był to żaden pokaz, a my nie byliśmy aktorami na deskach teatru pod tytułem »Dragon«. To było naprawdę realne działanie i dobre doświadczenie. Tak powinny wyglądać wszystkie ćwiczenia”, przekonuje szer. Damian Duda.

ELASTYCZNOŚĆ W DZIAŁANIU

Terytorialsi podkreślają, że manewry nie przebiegały idealnie zgodnie z zaplanowanym wcześniej scenariuszem, i zapewniają, że o wszystkim dowiadawali się na bieżąco, często w ostatniej chwili. „Działaliśmy realnie, szybko i w miarę możliwości dostosowywaliśmy się do sytuacji, którą określało kierownictwo. Te ćwiczenia pokazały jeden z ważnych atutów formacji obrony terytorialnej, czyli elastyczność”, mówi szer. Duda.

MANEWRY POKAZAŁY JEDEN Z WAŻNYCH ATUTÓW FORMACJI OBRONY TERYTORIALNEJ, CZYLI ELASTYCZNOŚĆ

Żołnierze podkreślają jednocześnie, że manewry „Dragon” pomogły im zrozumieć, dlaczego instruktorzy mobilnych zespołów szkoleniowych cały czas wyrabiali w nich pokorę. „Bez wątplenia odpowiednie modelowanie przebiegu ćwiczeń zawdzięczaliśmy szkoleniowcom i instruktorom, którzy przenieśli swoje doświadczenia

z wojsk specjalnych”, zaznacza szer. Aleksandra Dajek.

Żołnierze z plutonu WOT-u przyznają, że czują dużą satysfakcję z udziału w „Dragonie”. Robili wszystko, by z jak najlepszej strony reprezentować swoją formację. „Gdybyśmy działali w rejonie odpowiedzialności, w którym fizycznie nie mieszkamy, tak jak zakłada to koncepcja obrony terytorialnej, mielibyśmy tam swoich wujków, swoje ciotki, dlatego moglibyśmy ten teren rozpoznać jeszcze lepiej”, mówi szer. Karol Wojtaszek. „Z drugiej strony, wydaje mi się, że zrobiliśmy to i tak nieźle. Dla mnie niesamowitą frajdą było unikanie posterunków przeciwnika, który nie szczędził sił, by nas wykryć. Obserwowaliśmy jego aktywność w termowizji i noktowizji, a dobra znajomość terenu naprawdę się przydała”, dopowiada szer. Damian Duda.

SIŁA I MOC

Czy zatem wszystko się udało? „Pluton, który wystawiliśmy, opierał się na ludziach z pierwszego szkolenia szesnastodniowego. Od tamtego momentu bardzo się ze sobą zżyliśmy, a motto naszego pododdziału brzmiało »siła i moc«. Bo w grupie jest siła, a jeżeli jest siła, to jest i moc, czyli zaangażowanie. Tego w »Dragonie« na pewno nie zabrakło”, podkreśla ppor. Michał Gulajew, dowódca wzmocnionego plutonu piechoty. „Wiadomo, że na tym etapie istnienia pododdziału i funkcjonowania WOT-u nie wszystko mogło się udać. Dlatego teraz staramy się wyciągnąć wnioski i doszlifować to, co nam nie wyszło. Głównie po to, by w czasie przyszłorocznej »Anakondy« pokazać jeszcze większą klasę i profesjonalizm, bo nie wyobrażam sobie, by mogło nas tam zabraknąć”, ocenia z kolei szer. Damian Duda.

Żołnierze terytorialnej służby wojskowej podkreślają, że wrócili do swojej brygady z ogromnym bagażem doświadczeń, ale to niejedynie „pamiątki”. „Długo po powrocie z ćwiczeń w każdym z naszych domów unosił się zapach stajni”, śmieją się żołnierze plutonu WOT-u. „Na czas działania przygotowaliśmy bazę operacyjną w stadninie. Działaliśmy wśród lokalnej społeczności i w obiektach cywilnych, czyli tak, jak by się to działo, gdyby doszło do konfliktu zbrojnego, a w takim wypadku nie zawsze możliwe jest korzystanie z ciepłych, ogrzewanych namiotów”, podkreślają zgodnie uczestnicy tegorocznego „Dragonu”. ■



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96

tel.: 261 851 300; faks: 261 851 313

www.itwl.pl

e-mail: poczta@itwl.pl



JET 2

Odrzutowy Cel Powietrzny

Bezzałogowy odrzutowy system imitatora celu powietrznego
przeznaczony do szkolenia poligonowego wojsk obrony
przeciwlotniczej



PIOTR RASZEWSKI

Inwestycyjny skok w dal

Nikogo nie trzeba przekonywać, jak ważna jest kondycja fizyczna żołnierzy. Dlatego wojsko rozbudowuje obiekty sportowe.

Szkoły przechodzą intensywną terapię uzdrawiającą, która polega na zwiększaniu nakładów inwestycyjnych”, podkreślał na spotkaniu rektorów szkół wyższych prof. Wojciech Fałkowski, wiceminister obrony narodowej. Jednym z największych beneficjentów tego zakrojonego na szeroką skalę procesu jest Wyższa Oficerska Szkoła Sił Powietrznych.

LOTNICZE AMBICJE

„Inwestujemy głównie w obiekty przeznaczone do szkolenia ogólnego, bez którego nie możemy funkcjonować, bo choć sprawność fizyczna nie jest może najważniejszym elementem przygotowania pilota, to jednak niezwykle istotnym”, zaznacza gen. pil. Piotr Krawczyk, rektor-komendant WSOSP. „Dziś musimy sobie jakoś radzić. Korzystamy z miejskiego stadionu i bieżni”.

W Dęblinie powstaje m.in. nowy stadion z trybunami, czterystumetrową bieżnią lekkoatletyczną i pełnym zapleczem: szatnią, magazynami i pomieszczeniami dla kadry dydaktycznej. „Poprzedni stadion w zasadzie był już nie do użytku. Ubytków było tak dużo, że remont stał się nieopłacalny. Trzeba pamiętać, że kompleks powstał w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, a wtedy obowiązywał inny model budowania. Nowe obiekty w pełni rozwiążą nasze problemy dydaktyczno-szkoleniowe”, wyjaśnia płk Zbigniew Wochyński, szef Zakładu Wychowania Fizycznego Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Stadion i ośmiotorowa bieżnia zostaną przystosowane do rozgrywania zawodów we wszystkich konkurencjach lekkoatletycznych. Kompleks pomieści również tor przeszkód do pięcioboju lotniczego i ośrodek sprawności



fizycznej. Za główną trybuną powstaną boiska do siatkówki, koszykówki, piłki ręcznej i korty tenisowe. Wszystko zostanie oświetlone tak, by z obiektów można było korzystać również wieczorem. Cały koszt tej inwestycji to około 14,5 mln zł, z czego 12,5 mln uczelnia otrzyma z Ministerstwa Obrony Narodowej.

Na terenie dęblińskiej uczelni remontowana jest również jedyna w tutejszym garnizonie kryta pływalnia. „Poprzedni remont był wykonany na przełomie wieków, a standard pływalni daleko odbiegał od norm obecnie przyjętych. Nawet w małych miasteczkach są lepsze baseny niż nasz”, argumentuje rektor. Modernizacja obejmie cały obiekt, łącznie z szatniami i wejściem do budynku, a basen będzie przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych. Wymienione zostaną również urządzenia techniczne, m.in. ozonator, centrala wentylacyjna i instalacja wodna z pompami. Prace mają się zakończyć wraz z remontem stadionu, czyli w połowie 2018 roku, a ich koszt to blisko 9 mln zł. Dotacja celowa MON-u wyniosła ponad 2 mln zł.

Władze uczelni liczą, że na początku przyszłego roku w Dęblinie ruszy również budowa nowej hali widowiskowo-sportowej z trybunami. W projekcie są trzy równorzędne boiska sportowe do siatkówki lub koszykówki oraz

jedno pełnowymiarowe do gry w piłkę ręczną lub halową odmianę nożnej. Budynek pomieści także siłownię, sale fitness, do tenisa stołowego i sportów walki oraz ściankę wspinaczkową. „Jeżeli taki obiekt powstanie, wreszcie będziemy mogli organizować zawody resortowe. Teraz nie możemy być gospodarzami dużej imprezy sportowej, co jest dla nas niewątpliwie wstydlive, bo WSOSP jest właściwym miejscem, by organizować tu zawody nawet rangi mistrzostw Polski”, mówi gen. pil. Piotr Krawczyk. Uczelnia pozyskała na ten cel blisko 21 mln zł. Wkład własny wyniesie ponad 3 mln zł.

DŁUGOFALOWE ZMIANY

W infrastrukturę sportową w ostatnich latach znacznie zainwestowała Wojskowa Akademia Techniczna. Od 2012 roku trwa tam modernizacja bazy sportowej, obejmująca całkowity remont obiektów Studium Wychowania Fizycznego. „Poprzednie powstały we wczesnych latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a to, co 30 lat temu wyglądało dobrze i nowocześnie, teraz było mocno zniszczone i w żaden sposób nie zachęcało do ćwiczeń”, mówi dr Saturnin Przybylski, kierownik Studium Wychowania Fizycznego WAT. „Dziesięć lat temu Senat uczelni zatwierdził plan remontów

PICT RIDER/FOTOLIA



**W DĘBLINIE POWSTAJE
NOWY STADION Z TRYBUNAMI,
CZTERYSTUMETROWĄ BIEŻNIĄ
LEKKOATLETYCZNĄ,
TOREM PRZESZKÓD
DO PIĘCIOBOJU ORAZ
BOISKAMI. KOSZT
TEJ INWESTYCJI TO:**

MLN ZŁ

i rozbudowy infrastruktury sportowej, który od 2012 roku sukcesywnie realizujemy”, wyjaśnia dr Przybylski.

Udało się odnowić hale sportowe, siłownię i sale do walki wręcz. Zadaszone zostały również korty tenisowe, a na gruntach uczelni powstał tor przeszkód. Jako ostatnie do użytku zostały oddane tzw. hala pod lasem, z siedemdziesięciometrową bieżnią, klatką crossfit i dwiema matami do walki w bliskim kontakcie, oraz stadion lekkoatletyczny z czterystumetrową tartanową bieżnią, trybunami na 1,5 tys. osób i automatycznie nawadnianą murawą. Obiekt jest przystosowany do rozgrywania niemal wszystkich konkurencji lekkoatletycznych. Nie ma jedynie ścieżki do skoku o tyczce i rzutni do rzutu młotem. „Na stadionie będzie można rozgrywać wszelkie zawody resortowe”, przyznaje kierownik Studium Wychowania Fizycznego WAT.

Koszt przebudowy stadionu to niemal 19 mln zł – ponad 6 mln to dotacja Ministerstwa Obrony Narodowej, 12 mln – środki własne uczelni, a niemal milion dołożyło Ministerstwo Sportu i Turystyki. Ze środków tego resortu sfinansowano również budowę boisk wielofunkcyjnych – jednego do koszykówki, dwóch do siatkówki, jednej płyty wielkości dwóch boisk do piłki ręcznej, a także dwóch do siatkówki plażowej. MSiT dołożyło również pieniądze na remont krytej pływalni. Jej modernizacja właśnie trwa, a prace mają się zakończyć 30 marca 2018 roku. „Wymieniona zostanie niekiedy basenowa i gruntowny remont czeka szatnie. Z czasem planujemy wymienić też wszelkie urządzenia techniczne”, mówi mgr inż. Waldemar Grzyb, zastępca szefa logistyki WAT.

Uczelnia ma w planach jeszcze budowę jednej siłowni i ośrodka sprawności fizycznej, bo wraz ze zwiększeniem limitu przyjęć na studia wojskowe rośnie zapotrzebowanie na obiekty, z których mogą korzystać studenci i kadra. „Mamy wszystko, co potrzeba, ale w zbyt małej ilości. Chcielibyśmy wybudować siłownię na 60 stanowisk, najlepiej w samodzielnym budynku”, mówi dr Saturnin Przybylski.

PRIORYTETOWE PŁYWANIE

W Akademii Marynarki Wojennej kluczową inwestycją jest budowa nowej pływalni. Uczelnia morska nie miała bowiem dotąd takiego

W AKADEMII MARYNARKI WOJENNEJ KLUCZOWĄ INWESTYCJĄ JEST BUDOWA NOWEJ PŁYWALNI. UCZELNIA MORSKA NIE MIAŁA BOWIEM DOTYCHCZAS TAKIEGO OBIEKTU

obiektu. „Istnieje powszechna opinia, że dla marynarza umiejętność pływania jest zbędna i stanowi gwarancję efektywniejszej walki o niezatapialność okrętu”, uśmiecha się kmr por. Dariusz Sapiejka, kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Akademii Marynarki Wojennej. „Oczywiście to tylko żart, bo wychowanie fizyczne odgrywa u nas bardzo istotną rolę, zwłaszcza że kierunki wojskowe obligują do uzyskania różnych uprawnień, do których niezbędna jest również pływalnia”, dodaje.

Na terenie uczelni powstało już Akademickie Centrum Sportowe, czyli kompleks dwóch hal oraz siłowni, sali do walki wręcz, centrum odnowy biologicznej i ścianki wspinaczkowej. Budowa krytej pływalni wpisuje się w drugi etap rozbudowy tego kompleksu, choć jest finansowana oddzielnie. Jej koszt to 26,5 mln, z czego 23 mln zł to dotacja MON-u. Pływalnia powstanie obok istniejącego obiektu i będzie połączona z nim specjalnym łącznikiem. Wewnątrz znajdą się dwie niekiedy basenowe. Główna pływalnia dydaktyczno-sportowa będzie miała 25 m, osiem torów i głębokość od 1,8 do 2,4 m.

Obiekt z trybuną dla widowni będzie wykorzystywany do wszelkich zajęć ze szkolenia pływackiego dla podchorążych oraz na

KOMENTARZ

WOJCIECH FAŁKOWSKI



Po remontach akademików i sal dydaktycznych przyszedł czas na poprawę infrastruktury sportowej. Wychowanie fizyczne to zasadniczy element szkolenia wojskowego i przygotowania podchorążych do wykonywania obowiązków żołnierza. Podnoszenie standardów bazy szkoleniowej, w tym sportowej, jest niezwykle istotne. Niedobrze jest bowiem, gdy z powodu niewielkiej liczby zajęć na basenie polscy marynarze mają kłopoty z przepłynięciem długiego dystansu. Każdy żołnierz, a mary-

narz w szczególności, powinien dobrze pływać. Stąd inwestycja w nowy basen w Akademii Marynarki Wojennej.

W Wojskowej Akademii Technicznej baza sportowa została już zmodernizowana. Podchorążowie, którzy kształcą się w dziedzinie chemii, kryptologii, informatyki, będą również w stanie przebiec długi dystans lub pokonać tor przeszkód. Trwa też przebudowa stadionu w WSOSP w Dęblinie, a następnym krokiem będą inwestycje w obiekty sportowe w Akademii Wojsk Lądowych. ■

Prof. dr hab. WOJCIECH FAŁKOWSKI jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

potrzeby kursów doskonalących czy kwalifikacyjnych. „Mamy bardzo szeroką ofertę takich zajęć, na które kieruje się do nas cała kadra sił zbrojnych”, informuje kmdr por. Wojciech Mundt, rzecznik prasowy Akademii Marynarki Wojennej, i od razu dodaje: „Obiekt będzie też dostępny dla studentów cywilnych i podchorążych, naszej kadry oraz społeczności lokalnej. W tym ostatnim wypadku oczywiście odpłatnie lub na podstawie odpowiednich umów”.

Druga niecka zostanie oddzielona od głównego basenu szklaną przegrodą i dwójgim drzwi. Znajdzie się tam wielofunkcyjna pływalnia szkoleniowa o wymiarach 15 na 8 m i głębokości 4,5 m. Ciekawym rozwiązaniem będzie ruchome dno, dzięki któremu można regulować głębokość niecki. To będzie jedyny basen w Polsce spełniający wymagania konieczne do prowadzenia kursów ITR (indywidualne techniki ratunkowe), szkoleń z ratownictwa wodnego czy przeszkolenia w celu uzyskania świadectwa ratownika, kończącego się wydaniem międzynarodowych certyfikatów Urzędu Morskiego. „Prowadzimy zajęcia dydaktyczne, które muszą być zgodne z konwencją STCW 78/95, czyli międzynarodowym dokumentem o wymaganiach dotyczących wyszkolenia marynarzy marynarki wojennej i handlowej. Jako uczelnia morska, wydająca świadectwa honorowane na całym świecie, musimy spełniać te wymogi. Dlatego taki basen znacząco zwiększy nasze możliwości”, wyjaśnia rzecznik prasowy Akademii Marynarki Wojennej.

Akademia Sztuki Wojennej również inwestuje w infrastrukturę sportową. Dwa lata temu powstała tam druga aerobowa siłownia z dwiema bieżniami i atlasem, a rok temu udało się zmodernizować wielofunkcyjne boisko ze sztuczną nawierzchnią i oświetleniem. Uczelnia zbudowała również dwa zewnętrzne boiska do siatkówki plażowej. „Sukcesywnie zwiększa się u nas liczba kształcących się oficerów. Zrozumiałe jest więc, że nie tylko staramy się utrzymać w dobrym stanie obiekty sportowe, lecz także w nie inwestujemy. Na bieżący rok planujemy kolejne prace, m.in. przy kortach tenisowych”, podkreśla dr Monika Lewińska, rzecznik prasowy ASzWoj.

MAŁE WIELKIE MARZENIA

Do dużych inwestycji w infrastrukturę sportową szykuje się też Akademia Wojsk Lądowych. Wrocławska uczelnia chciałaby zmodernizować basen oraz wymienić betonową nawierzchnię boisk na sztuczną. Władze myślały również o przebudowie stadionu z bieżnią lekkoatletyczną i niewielkimi trybunami oraz budowie nowej hali wielofunkcyjnej z basenem.

„Naszym największym marzeniem jest właśnie hala sportowa. Przebudowę uczelnianej infrastruktury sportowej, z wyłączeniem hali wielofunkcyjnej i modernizacji istniejącego basenu, chcielibyśmy rozpocząć w 2018 roku i rok później zakończyć tę inwestycję. Mamy część środków własnych, z których mogłyby być pokryte koszty niektórych prac”, podkreśla kpt. Marcin Jasnowski, rzecznik prasowy AWL. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

WIRTUALNE LATANIE

Najnowszy na świecie symulator samolotów C-295M został zamontowany w 8 Bazie Lotnictwa Transportowego w Balicach. Będzie można w nim przećwiczyć sytuacje awaryjne: pożar i wyłączenie w locie silnika oraz trenować loty taktyczne.



Przygotowania do uruchomienia symulatora w Balicach trwały kilka miesięcy. Urządzenie zostało zamontowane w nowoczesnym budynku na terenie 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, czyli w jednostce, w której stacjonują wszystkie transportowce C-295M, a jest ich 16. „Otrzymaliśmy najnowszy na świecie symulator tego samolotu. Urządzenie ma ulepszone oprogramowanie i dzięki temu będziemy szkolić załogi na najwyższym poziomie. Najważniejsze jest jednak to, że stanęło na terenie bazy, więc lotnicy będą mogli z niego korzystać bez ograniczeń”, mówi mjr pil. Waldemar Długosz, instruktor i szef ośrodka symulatorowego w Balicach.

Symulator dla koncernu Airbus Defence and Space wyprodukowała kanadyjska firma CAE. Polska stanie się trzecim krajem, obok Hiszpanii i Brazylii, w którym działa pełny symulator samolotu transportowego C-295M. Wartość urządzenia wraz z pakietem logistycznym, dokumentacją techniczną, szkoleniem personelu i wyposażeniem pomocniczym to niemal 29 mln euro netto.

ZARAZ STARTUJEMY

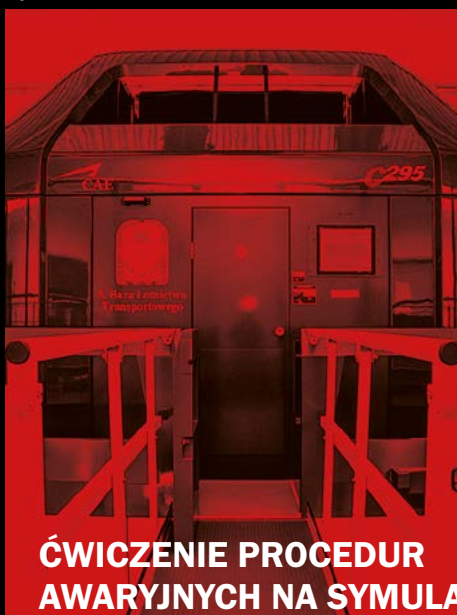
„Nie będę wiele opowiadał o symulatorze, musi go pani sama zobaczyć”, zachęca mjr Długosz. Wchodzimy zatem do dość dużej hali, w której na środku umieszczono ogromną kopułę. Bryła przypomina dziób samolotu C-295M. Wnętrze urządzenia jest podzielone na dwie części. Pierw-

sza wiernie odwzorowuje kabinę maszyny (w jej najnowszej wersji PO04). Są tam dwa fotele dla pilotów i jeden dla technika oraz w pełni wyposażony kokpit. W drugiej części znajdują się stanowiska instruktorskie i komputer, za którego pomocą można sterować pracą symulatora. Ważną częścią urządzenia jest także system imitacji ruchu i przeciążeń. To dzięki niemu załoga ma wrażenie, że naprawdę odrywa się od pasa startowego. Zajmujemy miejsca: mjr Długosz siada na fotelu dowódcy załogi, mnie przypada w udziale miejsce drugiego pilota. „Niech się pani przygotowuje, zaraz startujemy”, mówi oficer. To doświadczony pilot. W powietrzu spędził niemal 5 tys. godzin, z czego połowę za sterami C-295M. Latał także PZL 130 Orlik, Ts-11 Iskra, An-2, An-26 i przez trzy lata w bazie Papa na Węgrzech na C-17 Globemaster.

Przygotowanie do lotu zajmuje chwilę. Za nami przy stanowisku instruktorskim zasiada emerytowany pilot wojskowy, dziś pracownik wojska i instruktor symulatora. To od jego wyobraźni zależy teraz, gdzie polecimy. Po lewej widać startujący niedaleko śmigłowiec z innej balickiej jednostki – 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej, po prawej jadące po autostradzie samochody. Wznosimy się dość szybko, a mjr Długosz pokazuje to na klasztor w Tyńcu, to na kopiec Kościuszki i wreszcie na krakowski Rynek. Pogoda jest bardzo dobra, bo w oddali widać nawet Tatry. Pilot mocniej przechyla samolot, a w dole można zauważyć



Symulator samolotów C-295M



ĆWICZENIE PROCEDUR AWARYJNYCH NA SYMULATORZE BYŁO DOTYCHCZAS MOŻLIWE JEDYNIE W HISZPANII. TERAZ NASI PILOCI MOGĄ TRENOWAĆ W TEN SPOSÓB W BALICACH

MACIEJ NOJEK (2)



Wnętrze urządzenia jest podzielone na dwie części. Pierwsza wiernie odwzorowuje kabinę maszyny. Są tam dwa fotele dla pilotów i jeden dla technika oraz w pełni wyposażony kokpit.

cień, jaki na ziemię rzuca transportowiec. W tym momencie do akcji wkracza instruktor. Nagle wlatujemy w chmury, a dookoła zupełnie nic nie widać. Pojawiają się silny wiatr i deszcz, więc po kilku minutach musimy lądować w Balicach.

CHCEMY SIĘ WIĘCEJ SZKOLIĆ

„To tylko próbka możliwości tego urządzenia. Można w nim zrobić praktycznie wszystko, poza rzeczywistym poderwaniem się z płyty lotniskowej”, mówi mjr Długosz. I dodaje, że w przypadku trudnych misji lotniczych załoga nawet zapomina o tym, że siedzi w symulatorze, a nie w samolocie. „Przy skomplikowanych zadaniach wszyscy są skoncentrowani. Pamiętam, jak kiedyś po wirtualnym treningu w Hiszpanii jeden z pilotów był tak zmęczony, że po wylądowaniu próbował otworzyć okno w kabinie. Chciał się po prostu ochłodzić”, wspomina major.

Rzecznik 8 Bazy Lotnictwa Transportowego wyjaśnia, że zgodnie z obowiązującymi w siłach powietrznych RP przepisami załogi, czyli dwóch pilotów i technika pokładowy, muszą przynajmniej raz w roku przejść trening w symulatorze. Wirtualne ćwiczenie procedur awaryjnych było dotychczas możliwe jedynie

w Hiszpanii. „Nasze doświadczenie pokazało, że taki trening raz w roku to za mało, chcielibyśmy ćwiczyć częściej, ale nie zawsze było to możliwe, bo z urządzenia w Hiszpanii korzysta wiele załóg. Teraz będziemy szkolić się już u siebie”, mówi kpt. Maciej Nojek.

Do Balic dostarczono też urządzenie, które pozwala przeanalizować każdą minutę wirtualnego treningu. W tzw. sali debriefingowej umieszczono sześć monitorów, na których można dokładnie obserwować współpracę załogi. „Na ekranach widzimy też zegary, najważniejsze przyrządy, dzięki czemu trafnie oceniamy, czy reakcja pilotów w danej sytuacji była właściwa”, tłumaczy mjr Długosz. Dodatkowo rejestrowane są wszystkie parametry lotu, czyli przechylenia, przeciążenia, ustawienia radia, a także wysokość i prędkość samolotu. Major dodaje, że zaletą takiego systemu jest też to, że każdy trening jest nagrywany, tak że w dowolnym momencie można odtworzyć cały przebieg misji lotniczych. Przyda się to zwłaszcza wtedy, gdy piloci będą latać z różnymi instruktorami. „Pozwoli to wychwycić błędy i niestandardowe zachowania”.

Jak zatem będzie wyglądał wirtualny lot? Piloci wyjaśniają, że symulator pozwala



przećwiczyć dowolne scenariusze misji powietrznych. Można szkolić się na wszystkich etapach i różnych poziomach trudności. „Do listopada trenują obsługa techniczna i instruktorzy. W grudniu pierwsze załogi rozpoczną ćwiczenie procedur awaryjnych”, mówi ppłk Sławomir Byliniak, dowódca Grupy Działów Lotniczych 8 Bazy Lotnictwa Transportowego.

„Zaczynamy od procedur awaryjnych, bo trzeba je zaliczać raz w roku, a kilka naszych załóg takie szkolenie w Hiszpanii przechodziło w styczniu. Mam nadzieję, że do połowy roku wszystkie nasze załogi zaliczą wymagane treningi, a później rozpoczniemy szkolenie zgodnie z programem przewidzianym dla pilotów C-295M”, dodaje ppłk Byliniak. Dowódca Grupy Działów Lotniczych z Balic przyznaje, że zgodnie ze światowymi tendencjami, większość zajęć – około 70% – ma być prowadzona właśnie na symulatorze. „Załogi z 8 Bazy wykonują bardzo dużo lotów i ciężko tu zobaczyć samolot na płycie. A to oznacza, że trudno zaplanować szkolenie. Teraz nie będziemy się już martwić o odpowiednią pogodę, dostępność maszyn czy instruktorów”, uzupełnia mjr Waldemar Długosz.

Dzięki symulatorowi piloci będą mogli się szkolić od podstaw do uzyskania dopuszczenia do wykonywania lo-

tów logistycznych. Ćwiczyć będą kołowanie, start, lądowanie, loty do strefy i po wyznaczonej trasie. W dalszym etapie nauki – loty taktyczne, czyli np. desantowanie ludzi i ładunków, latanie w szyku, przeloty nad wodą i w górach, a także w nocy z użyciem gogli noktowizyjnych. Będą mogli się sprawdzić w bardzo dobrych i bardzo złych warunkach atmosferycznych: w deszczu, gdy jest śnieg, oblodzenie i przy silnych uskokach wiatru. Instruktorzy będą mogli także symulować nagłe zbliżanie się innych statków w powietrzu oraz właśnie sytuacje kryzysowe, których w locie przećwiczyć się po prostu nie da: pożar lub wyłączenie jednego z silników. Symulator będzie wykorzystywany do treningu indywidualnego pilotów i całych załóg. To ostatnie jest szczególnie ważne właśnie w wypadku podziału kompetencji w sytuacjach kryzysowych.

Piloci mogą korzystać z praktycznie nieograniczonej liczby map. System ma także bazę danych pomocy radionawigacyjnej lotnisk z całego świata. Bardzo dokładnie zobrazowano też kilkadziesiąt tych najważniejszych. Balicki symulator jest wyposażony również w system ostrzegający pilotów o niebezpiecznym zbliżaniu się samolotu do ziemi lub innych przeszkód terenowych (Enhanced Ground Proximity Warning System – EGPWS).

HISTORIA

Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA

Naród i jego wojsko

jeszcze nikt tak
tego nie opowiadał

Polecam!
Anna Putkiewicz, redaktor naczelna




**JUŻ
W SPRZEDAŻY**

**SALONY EMPIK
POCZTA POLSKA**

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

ST. KPR. DANIEL KONARZEWSKI



Data i miejsce urodzenia:
23 lipca 1983 roku, Elk.

W wojsku służy od: sierpnia 2005 roku.
Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Zostałem żołnierzem,

bo: marzyłem o tym od najmłodszych lat. Już jako nastolatek dołączyłem do Związku Strzeleckiego „Strzelec” OSW w Elku, gdzie posmakowałem wojskowego rzemiosła. Wstąpienie w szeregi Sił Zbrojnych RP było tego naturalnym następstwem.



Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: nie wyobrażam sobie innej możliwości niż służba w Wojsku Polskim.

Moje największe osiągnięcie: uważam, że największe osiągnięcia jeszcze przede mną. Do sukcesów zaliczam m.in. to, że byłem instruktorem podczas kursu przywództwa dla podoficerów młodszych Wilk, który jest cyklicznie organizowany w 15 BZ.

Przełomowe wydarzenie w życiu: narodziny syna.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podobają mi się: krój i funkcjonalność munduru polowego wz. 2010.

Zajmowane stanowisko: dowódca drużyny w 15 kompanii rozpoznawczej 15 Brygady Zmechanizowanej w Giżycku.

Misje i ćwiczenia: PKW UNDOF w Syrii, PKW ISAF w Afganistanie, PKW KFOR w Kosowie.



Najlepsza broń: w zależności od sytuacji – pistolet HK P-30L, karabinek Beryl oraz strzelba gładkolufowa Remington 870.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: poprawiłbym funkcjonalność i jakość wyposażenia indywidualnego żołnierzy oraz zwiększyłbym zaszerogowanie etatowe dowódców drużyn w kompaniach rozpoznawczych.

Moja książka życia: trudno jest wybrać jedną, ale do tych najważniejszych zaliczam „Serce Europy” Normana Daviesa.

Niezapomniany film: „Pluton” Olivera Stone’a oraz „Szeregowiec Ryan” Stevena Spielberga.



Co robię po służbie: czas wolny spędzam z rodziną oraz doskonałą umiejętnością na strzelnicy sportowej.

TADEUSZ WRÓBEL

Uzbrojeni w informacje

Zestawienie w jednym systemie danych o eksploatacji sprzętu, liczbie żołnierzy i logistyce pozwoli skuteczniej dowodzić wojskiem.

Informacja jest na współczesnym polu walki potężnym orężem, może zdecydować o wyniku starcia. W przyszłości politycy i dowódcy wojskowi przed podjęciem kluczowych decyzji zostaną wyposażeni w wiedzę o siłach, jakimi dysponują, żołnierzach i ich uzbrojeniu oraz zdolnościach do działań, w tym posiadanych środkach bojowych. Co więcej, będą mogli też dokładnie oszacować koszty planowanej operacji. Temu ma służyć zintegrowany wieloszczeblowy system informatyczny resortu obrony narodowej (ZWSIRON), który jest budowany w wojsku od 2010 roku. „Pierwsze szkolenia dla użytkowników organizowano w latach 2010–2011”, twierdzi ppłk Rafał Jankowiak, zastępca szefa Oddziału Informatycznych Systemów Zarządzania Zasobami Logistycznymi i Kadrowymi Inspektoratu Systemów Informacyjnych (ISI). System już funkcjonuje w finansach i częściowo w logistyce, a ostatecznie obejmie również kwestie personalne.

„Musieliśmy rozwiązać problem, jak połączyć te tak odmiennie dziedziny, aby system np. wykazywał różne skutki podejmowanej decyzji, takiej jak zatrudnienie nowej osoby, wymiana uszkodzonej części w czołgu czy zatankowanie samolotu”, wyjaśnia Krzysztof Piskulski, zastępca szefa Szefostwa Informatycznych Systemów Zarządzania ISI, zaangażowany w tworzenie systemu. „Chcemy też, aby sygnalizował konieczność podjęcia decyzji, np. o zakupie

części do samolotów, gdy zapasy w magazynach są zbyt małe”. Wyzwaniem jest także połączenie różnych systemów informatycznych, które tworzone w przeszłości, ale nie zwracano uwagi na kompatybilność. Dziesięć lat temu w wojsku było ich tak wiele, że można było zagubić się w samych nazwach. „Czasami w jednostkach używano kilku równocześnie, co było koszmarem ludzi z tych systemów korzystających”, wspomina ppłk Jankowiak.

ŚRUBKA W SYSTEMIE

Najpierw ZWSIRON zastosowano w logistyce, a następnie w rachunkowości finansowej i budżetowej, czyli w pionie głównego księgowego. Na początku nie było łatwo przekonać użytkowników do nowego rozwiązania, bo choć np. wojskowi finansiści pracowali na bazie tych samych przepisów prawnych, to prezentowali indywidualne podejście w sposobie wykonywania zadań. Musiało minąć trochę czasu, aby docenili nowy system. Teraz pracują w nim wszystkie jednostki pełniące funkcje oddziałów gospodarczych. W logistyce rewolucję rozpoczęto od zarządzania zasobami, czyli tym, co jest w magazynach i co ma żołnierz w wyposażeniu. System obejmuje magazyny wielkopowierzchniowe. „Każdego dnia od 2 tys. do 2,5 tys. osób wprowadza do ZWSIRON-u nowe informacje”, podaje ppłk Jankowiak.

JANNOON 028 / FOTOLIA

W ostatnich latach zaczęto wdrażać nowy moduł – do wsparcia eksploatacji sprzętu wojskowego, według nazewnictwa obowiązującego w systemie „obiektów technicznych”, czyli m.in. samolotów, pojazdów, okrętów. Podaje on informacje o zużyciu, resursach czy usuwanych usterkach. Równie ważna jest wiedza o dostępnych zapasach części zamiennych i materiałów eksploatacyjnych, a także kwalifikacjach personelu, który ma z nim do czynienia.

Pierwszymi obiektami technicznymi wprowadzonymi do systemu były samoloty wielozadaniowe F-16. W bazach lotniczych w Krzesinach i Łasku to rozwiązanie funkcjonuje od początku 2016 roku. W tym roku wprowadzono je w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego w Warszawie dla samolotów Gulfstream G550, przeznaczonych do przewozu VIP-ów. W cztery miesiące przygotował je i wdrożył zespół ISI oraz specjaliści z jednostek mu podległych, czyli

Resortowego Centrum Zarządzania Projektami Informatycznymi i Zespołu Zarządzania Wsparciem Teleinformatycznym w Warszawie.

W systemie musi się znaleźć odzwierciedlenie struktury technicznej obu egzemplarzy samolotu G550. Taki model cyfrowy maszyn wykonali specjaliści z Instytutu Techniki Wojsk Lotniczych. Równocześnie zidentyfikowano cztery główne procesy eksploatacyjne gulfstreama wymagające implementacji w ZWSIRON-ie. Rejestrowane są informacje o danym locie, wykonaniu obsługi przed i po nim oraz niezbędnych zasobach materiałowych. Z kolei w przypadku planowych obsług system pozwala na wcześniejsze uzyskanie niezbędnych środków technicznych lub usług zewnętrznych. Niezwykle ważne ze względów bezpieczeństwa jest również zgłaszanie i usuwanie wykrytych niesprawności maszyny.

„System umożliwia ewidencjonowanie wszystkich działań naprawczych, znalezienie części, które są na trwałe zamontowane w samolocie, w celu szybszej ich wymiany. Gromadzone są w nim też instrukcje techniczne, co ułatwia pracę techników”, wyjaśnia Krzysztof Piskulski. Kolejnym procesem eksploatacyjnym jest realizacja biuletynów wynikających z „akcji serwisowych” (czyli dokumentów dotyczących wskazanego obiektu, które nakazują podjęcie określonych działań technicznych) ogłaszanych przez producenta statku powietrznego oraz inicjowanych przez szefa Szefostwa Techniki Lotniczej Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Od stycznia 2018 roku zintegrowany system ma być wykorzystywany również podczas eksploatacji kołowych transporterów opancerzonych Rosomak. Specjaliści z ISI przyznają, że znacznie łatwiej jest wprowadzać do niego nowe obiekty techniczne. „Kolejny sprzęt, którym się zaj-

miemy, zostanie wskazany przez organizatora systemu, Zarząd Logistyki – P4 SGWP”, podsumowuje ppłk Jankowiak. Prawdopodobnie priorytetem będzie wprowadzanie do systemu nowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego.

„Chcemy doprowadzić do sytuacji, w której od ręki będzie można dostać informację o tym, jaki sprzęt jest dostępny. To bardzo ważne w planowaniu działań sił zbrojnych”, stwierdza Krzysztof Piskulski. Specjaliści z ISI uważają, że dzięki wdrażanemu systemowi będzie można wyliczać realne koszty eksploatacji poszczególnych typów sprzętu wojskowego lub ćwiczeń wojskowych. Efektywność nowego rozwiązania będzie jednak zależać od użytkowników, gdyż znaczącą rolę odgrywa tu przestrzeganie procedur. I tak np. technicy muszą wprowadzać do systemu informacje o wszystkich wykonanych czynnościach.

Zintegrowany system zostanie również wprowadzony w zarządzaniu kadrami. „Następnym etapem będzie dostarczanie informacji przydatnych w planowaniu operacyjnym, czyli powiązanie ZWSIRON-u z systemami wsparcia dowodzenia”, zaznacza ppłk Jankowiak. „Będziemy mogli wyliczyć, jakie środki i ilu ludzi będziemy potrzebować do wykonania zadania”, dodaje Krzysztof Piskulski. System może zatem pomóc w zoptymalizowaniu zatrudnienia. „Moim marzeniem są kokpity menedżerskie, które dostarczałyby dowódcy wszelkich niezbędnych informacji do podjęcia konkretnej decyzji”, stwierdza Piskulski. Na przykład o ilości posiadanej amunicji i o tym, w jakim czasie można liczyć na dostawy.

MAGNES NA INFORMATYKÓW

Rozwój zintegrowanego systemu to duże wyzwanie organizacyjne. „Potrzebni są dodatkowi programiści i administratorzy, bo kilkusobowy zespół tego nie zrobi”, sygnalizuje ppłk Jankowiak. Nie będzie to łatwe, bo na rynku pracy trudno jest wojsku rywalizować o informatyków z wielkimi prywatnymi firmami. Przedstawiciele ISI wskazują, że pierwszym źródłem kadr powinni być absolwenci uczelni wojskowych. Przy czym zaznaczają, że do zapewnienia sprawnego funkcjonowania ZWSIRON-u będą potrzebne osoby o różnym poziomie wiedzy informatycznej, nie tylko po studiach. Jest też miejsce dla tych ze średnim wykształceniem, które będą miały możliwość podjęcia ich podczas służby.

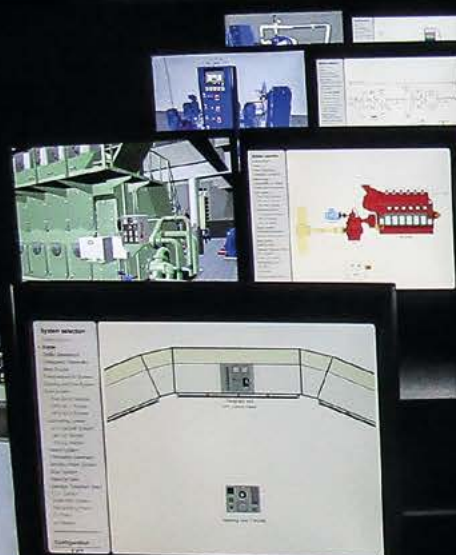
Potrzebne są jednak rozwiązania, które zachęcą cywilów do pracy w wojsku. Resort obrony już ma pewne atuty. „Dla młodych ludzi to szansa zdobycia doświadczenia zawodowego, które będzie im przynosić korzyści w przyszłości. Poza tym gwarantujemy stabilność pracy i bardzo dobry system zabezpieczeń socjalnych”, wylicza ppłk Jankowiak. Praca w MON-ie to też możliwość udziału na pewnym etapie kariery w projektach ponadnarodowych. ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

OKRĘT W ZACISZU

„Niestety, warunki są raczej kiepskie”, słyszymy na mostku. Faktycznie, morze przed nami rozkołysane, a niebo szarobure. Zapominam jednak, że wzmagający się sztorm to nie wytwór natury, lecz nowoczesnego oprogramowania.

POZNAJCIE Z NAMI SPECYFIKĘ SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻNYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO OD KULIS” PRZECZYTAJ O MARYNARZACH, PILOTACH, LOGISTYKACH, ARTYLERZYSTACH, PRZECIWLOTNIKACH CZY CHEMIKACH.



Pprzed wojną Niemcy chcieli zbudować w Uście potężny port wojenny. Z planów szybko zrezygnowali, ale zostawili po sobie rozległy poligon i kompleks budynków. Na poligonie – największym w Europie z dostępem do morza – regularnie ćwiczą żołnierze z różnych stron Polski i z NATO. Poniemiecki kompleks budynków z kolei skrywa dzisiaj m.in. system nowoczesnych symulatorów i trenażerów. To właśnie tutaj mieści się Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej im. wiceadm. Józefa Unruga, które szlifuje kadry dla rodzimych sił morskich.

„Podczas gdy gdyńska Akademia Marynarki Wojennej koncentruje się na kształceniu oficerów, do nas przychodzą przede wszystkim szeregowi marynarze oraz podoficerowie, a także kandydaci na nich”, tłumaczy kmdr ppor. Robert Biernaczyk, rzecznik CSMW. W Uście ćwiczą całe obsady okrętowych działów. I nic dziw-

nego – w zaciszu laboratoriów mogą się poczuć, jak na pokładzie korwety albo niszczyciela min.

ŚCIEŻKA NA MOSTEK

Ale po kolei. Na kilka godzin postaram się wejść w ich buty. Przede mną dwie ścieżki przez pracownię. Pierwsza dla przyszłych i obecnych specjalistów od nawigacji, druga dla tych, którzy długie godziny spędzają w okrętowych siłowniach. Przejdę i jedną, i drugą. Zatem: w drogę.

Na początek system pracowni składających się na Cykl Nawigacji i Uzbrojenia Okrętowego. Przystanek pierwszy: symulator budowy okrętu. Na białej ścianie zostaje wyświetlona sporych rozmiarów jednostka, która do złudzenia przypomina ratowniczego „Piasta”. Jak zapewnia kmdr ppor. Wojciech Paszkowski, pełniący obowiązki kierownika cyklu, to akurat nie ma większego znaczenia. „Z symulato-



ra korzystają kandydaci na marynarzy, którzy o okrętach pojęcie mają raczej nikłe. Zanim przejdą do rzeczy bardziej skomplikowanych, muszą poznać ich ogólną budowę. Zobaczyć, gdzie mieści się mostek, a gdzie okrętowa siłownia, no i jak mają się do siebie poszczególne mechanizmy”, wyjaśnia oficer. Najlepiej to oglądać przez okulary 3D.

Zakładam je więc i raz jeszcze spoglądam na okręt, a instruktor klika w jedną ze znajdujących się powyżej ikon. W ułamku sekundy przenosimy się pod pokład, gdzie mieści się wspomniana już siłownia. Klikając dalej, możemy wciskać rozmieszczone na wirtualnych pulpitych przyciski, przesuwając dźwignie, wprawiając w ruch pokręta. Kolejne kliknięcie i jesteśmy pod powierzchnią wody. A wszystko po to, by zobaczyć efekt naszych poczynań. Teraz z zewnątrz obserwujemy kręcące się śruby. To oczywiście tylko jeden z mnóstwa wariantów. Kursanci mogą

zasiąść w boksach z tyłu sali, gdzie na monitorach komputerów mają ten sam model okrętu, a potem odbyć wędrowkę po jego pokładzie, mierząc się z zadaniami zlecanymi przez instruktora. Tymczasem my idziemy dalej. Kolejny gabinet zastawiony jest urządzeniami, które na okręcie pokazują prędkość, głębokość, wyznaczają kierunek. Tradycyjny kompas magnetyczny i żyrokompasy, echosonda, słowem wszystko, co się przydaje w nawigacji. Ćwiczący mogą dotknąć przyrządów, poznać zasady ich działania, samodzielnie wykonać najprostsze zadania, choćby wyznaczyć kierunek północny i na tej podstawie zorientować się w stronach świata. Wszystko to stanowi wstęp do dużo poważniejszych zadań.

Aby bezpiecznie przeprowadzić okręt przez morze, trzeba wiedzieć, co się dzieje wokół niego. Podstawę stanowią wskazania radaru, ale nawigator musi też rozpoznawać



inne jednostki na podstawie ich świateł. „Są one rozmieszczone na burtach, dziobie, rufie, maszynie. Różnią się w zależności od typu jednostki pływającej, a także sytuacji, w jakiej się ona znalazła. Na przykład inne sygnały świetlne wysyła statek holujący, a inne holowany”, wyjaśnia chor. mar. Mirosław Hababicki, instruktor i samodzielny technik Cyklu Nawigacji i Uzbrojenia Okrętowego. W pracowni poświęconej temu zagadnieniu kursanci siedzą przed monitorami, na których pojawia się model statku. Mogą go dowolnie obracać i studiować jego oświetlenie. „Podczas egzaminu na monitorze zapali się nieopisane w żaden sposób światło. I tylko na tej podstawie marynarze będą musieli określić, z jaką jednostką mają do czynienia i w jaki sposób jest ona względem nich ustawiona”, tłumaczy Hababicki.

Skupmy się jednak na okrętowym radarze. Kolejna pracownia. W ławkach czterech kursantów. Dwa mundury zielone, dwa granatowe. W rękach cyrkle i ołówki. Pochyleni nad kartkami papieru pieczołowicie ustalają pozycje idących po morzu jednostek. „Nakres manewrowy”, rzuca krótko starszy mat Krzysztof Nowak, kolejny z instruktorów. „Zanim siądą do trenażera radiolokacyjnego, muszą przećwiczyć podstawy”.

Sam trenażer składa się z kilku stanowisk zaopatrzonych w dwa monitory i system dźwigni.



Siadam przy jednym z nich. Po lewej stronie na ekranie zarysowany na żółto kawałek lądu i błękit morza. Oto Bałtyk, okolice Świnoujścia i wyjście z portu. Wzdłuż pirsu maleńkie kropczki boi sygnalizacyjnych i nieco większe odwzorowujące statki i okręty. Jeden z nich należy do nas. Przesuwam nieznacznie jedną z dźwigni, a mój okręt idzie do przodu. Wychylam drugą, lekko skręca przez lewą burtę. Na prawym ekranie ta sama sytuacja, tylko widziana przez wskazania radaru. „Szkolący musi manewrować tak, by ominąć przeszkody. No i pamiętać, że decyzję należy podjąć z odpowiednim wyprzedzeniem, bo statek czy okręt nie reaguje od razu, tak jak samochód”, zaznacza kmdr ppor. Paszkowski.



Uczestnicy kursu pierwszej pomocy w pracowni korzystają z realistycznych przedmiotów dydaktycznych.



TRZY PYTANIA DO

Dariusz Cebulki

Co wyróżnia Centrum Szkolenia MW spośród innych jednostek polskiej armii?

Pośród centrów i ośrodków szkolenia jako jedyni mamy certyfikat jakości kształcenia ISO 9001-2008. Z chwilą zawieszenia zasadniczej służby wojskowej zmienił się podmiot szkolenia. Wcześniej trafiali do nas żołnierze z poboru. Teraz ich miejsce zajęły

osoby, które same wybrały służbę w armii. Szkolimy kandydatów na szeregowych, podoficerów – wspólnie z podlegającą nam Szkołą Podoficerską MW w Ustce, a także żołnierzy zawodowej służby wojskowej. Wszyscy oni wiedzą, po co znaleźli się w wojsku i chcą doskonalić własne umiejętności. Dlatego właśnie postanowiliśmy uatrakcyjnić ofertę. Ośrodek został wyposażony w no-

woczesne symulatory i trenażery. Z drugiej strony, daliśmy żołnierzom możliwość zdobywania takich uprawnień, które po ewentualnym opuszczeniu armii pozwolą im znaleźć atrakcyjne zajęcie. Wcześniej było to trudne, bo nawet najbardziej doświadczony marynarz zaczynał w cywilu od zera. Dziś mundurowi mogą u nas ukończyć kwalifikowany kurs pierwszej pomocy czy też czte-

Tymczasem powoli zbliżamy się do końca naszej nawigacyjnej ścieżki. Przed nami przedostatni przystanek – trener stworzony, by ćwiczyć korespondencję na morzu. „Wszystkie akweny podzielone są na strefy VTS [Vessel Traffic Service – system kontroli ruchu statków]. Po wejściu w każdą z nich należy zameldować się nadzorującemu ją koordynatorowi”, wyjaśnia kmdr ppor. Paszkowski. Ćwiczący ma do dyspozycji mapy papierową i elektroniczną, radar oraz radio, przez które kontaktuje się z instruktorem. A ten wymyśla kolejne zadania. „Kursant musi wiedzieć, w którym momencie i z jaką prędkością wejść na tor wodny i jak się na nim zachowywać, w jaki sposób omijać przeszkody, a przy tym cały czas prowadzić korespondencję”, tłumaczy kmdr ppor. Paszkowski.

Tak docieramy do finału. Wchodzę do pogrążonej w półmroku pracowni. Przede mną rozpościera się widok na morze. Gdzieś tam sunie okręt, obok przelatuje śmigłowiec, w oddali majaczy port. Sam stoję na okrętowym mostku, czyli znalazłem się właśnie na głównym stanowisku dowodzenia. Tu pulpity, tam kompas, połyskuje monitor radaru, trzeszczy radio. „Niestety, warunki są kiepskie”, melduje jeden z marynarzy. „Trudno, na pogodę nie mamy wpływu. Próbuje wejść do portu”, pada z odbornika. Na chwilę można zapomnieć, że jesteśmy w zaciszu pracowni, a morze to tylko wizualizacja rzucona na sześć ułożonych w półokrąg monitorów. „To wierne odwzorowanie okrętowego mostka. Mamy cztery takie symulatory, pomiędzy którymi można nawiązać łączność. Stanowią jedyny w Polsce zintegrowany system mostków nawigacyj-

nych. Dzięki temu marynarze ćwiczą nie tylko nawigowanie jednym okrętem, ale też manewrowanie w zespole”, tłumaczy kmdr ppor. Paszkowski. I tak pokonaliśmy drogę od zera do dowódcy okrętu.

ZMĘCZONY JAK RATOWNIK

Pulsujące światła spowijają pomieszczenie w bieli, to znów topią w krwistej czerwieni. Pod ścianą autentyczny osobowy fiat. W nim i wokół niego czterech żołnierzy. Jeden opiera głowę na kierownicy, inny leży twarzą do ziemi, a z pleców sterczy mu metalowy drąg, jeszcze inny opiera się o koło – obok leży jego urwana noga, wokół pełno krwi. Patrol przed chwilą został zaatakowany. I tu do akcji wkraczają ratownicy medyczni, a ściślej uczestnicy kursu pierwszej pomocy. Ale nie od razu. „W realnym życiu osoba niosąca pomoc działa w warunkach silnego stresu, więc i tu muszą poczuć choćby jego namiastkę”, podkreśla mat Piotr Dega, ratownik medyczny i instruktor Cyklu Mechaniczno-Elektrycznego i Ratownictwa Morskiego.

„Dlatego staramy się ich wcześniej zmęczyć przez ćwiczenia fizyczne. Swoje robi też ostre, zmieniające się światło”. Dla ratownika, jak mówi mat, najważniejsze są chłódna głowa i umiejętność dokonywania szybkich wyborów. „Weźmy fantom z oderwaną nogą. W pierwszym odruchu chciałoby się zaopatrzyć właśnie tę ranę. Ale co, jeśli jednocześnie ranny ma rozerwaną tętnicę? Ratownik w ułamku sekundy musi ocenić sytuację i zająć się raną, która bezpośrednio zagraża życiu”, tłumaczy Dega i dodaje: „W tej pracy podobne dylematy trzeba rozwiązywać na każdym



ry podstawowe kursy marynarskie. Na ich podstawie Urząd Morski wydaje dokumenty, uprawniające do zajęcia określonych stanowisk w załogach statków cywilnych. Jesteśmy też jedynym ośrodkiem, który szkoli nie tylko specjalistów, lecz także całe zespoły ludzi.

Kto tworzy kadrę ośrodka?

Idealny kandydat to marynarz, który ukończył uczelnię oficerską bądź podoficerską, potem przez wiele lat zbierał doświadczenie na okrętach, wreszcie przyszedł do nas. Sprawa jest jednak skomplikowana. Taki człowiek bowiem, schodząc na ląd, traci dodatek za służbę na morzu. My staramy się ten ubytek rekompenso-

wać, ale nie jest to łatwe, zwłaszcza w wypadku podoficerów. Oczywiście mamy specjalistów po wieloletniej służbie na morzu, ciągle jednak potrzebujemy kolejnych. Oprócz doświadczonych oficerów, są u nas marynarze świeżo po szkołach. Oni jednak nie od razu stają się instruktorami z konkretnych dziedzin. Zaczynają od prowadzenia zajęć ogólnowojskowych. Jednocześnie przechodzą specjalistyczne kursy, dzięki którym pną się w służbowej hierarchii. Te kursy zapewne zostaną uzupełnione praktykami na morzu. Bardzo nam na tym zależy. W ośrodku są również specjaliści od łączności, logistyki, informatyki, obrony przeciwlotniczej, ratownicy medycznej.

Czym zatem muszą się charakteryzować żołnierze, którzy służą w ośrodku?

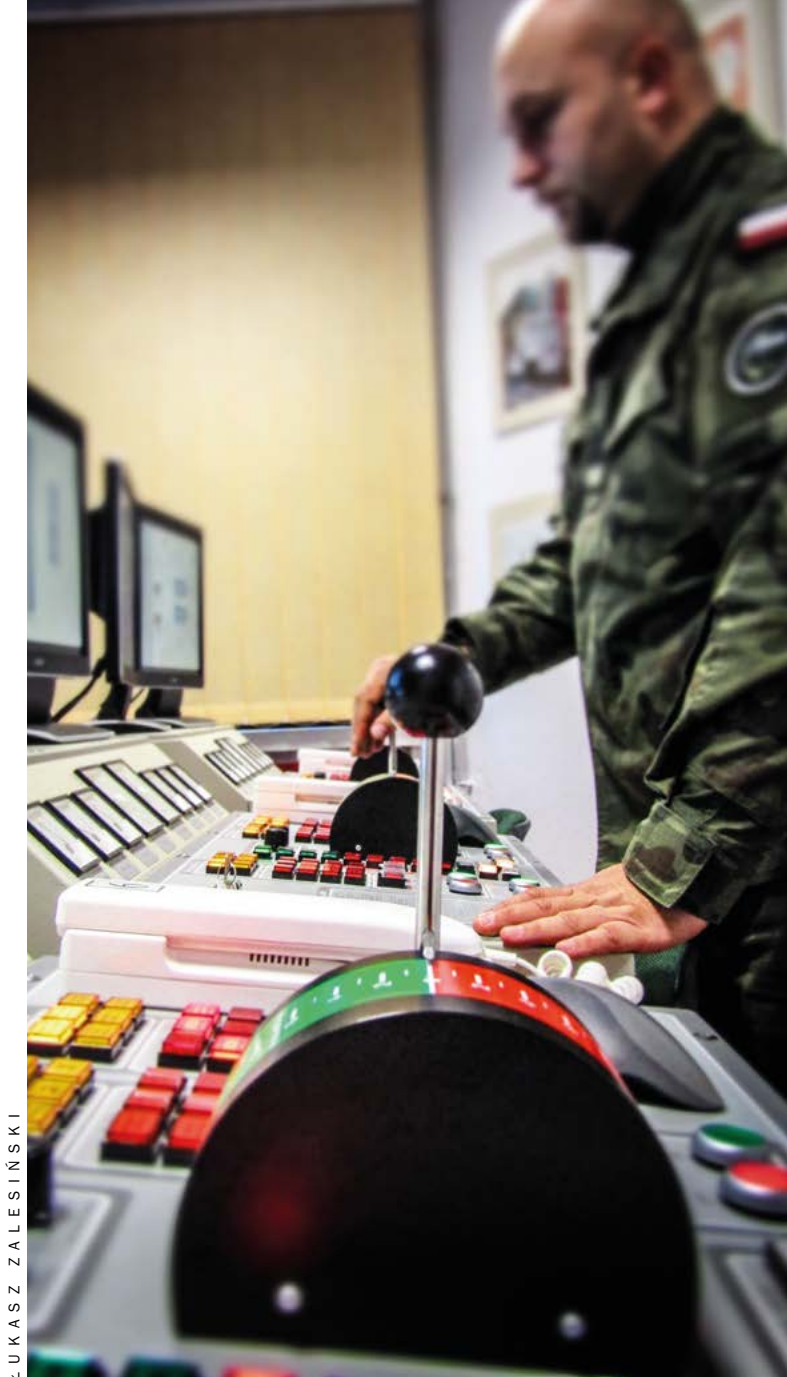
Przed wszystkim zależy nam na ludziach o dużej wiedzy i doświadczeniu morskim. W dużej mierze to osoby, które mają wiedzę techniczną lub zdolności w przedmiotach ścisłych, bo specjalności marynarskie należą do jednych z najtrudniejszych. Przy tym jednak żołnierze muszą mieć predyspozycje pedagogiczne i łatwość nawiązywania kontaktu ze słuchaczami. ■

Kmdr por. DARIUSZ CEBULKA
pełni obowiązki komendanta
Centrum Szkolenia Marynarki
Wojennej w Ustce.

roku”. Instruktor wie, co mówi. Oprócz służby w wojsku, na co dzień jeździ w obsadzie karetki pogotowia, podobnie zresztą, jak jego koledzy instruktorzy pierwszej pomocy. Dzięki temu nabierają doświadczenia. Do tej pory w pracowni kurs ukończyło 2,5 tys. osób – żołnierzy i pracowników wojska. „Wkrótce pierwsi z nich będą musieli potwierdzić certyfikat. Należy to robić co trzy lata”, zaznacza kmdr ppor. Wojciech Stępień, kierownik cyklu.

W tutejszych pracowniach szkolą się jednak przede wszystkim marynarze oraz podoficerowie służący w okrętowych siłowniach albo kandydaci do takiej służby. I to właśnie ich śladami pójdę. Ścieżka jest podobna, jak u nawigatorów. Wiedzie od technicznego abecadła do treningów wymagających specjalistycznej wiedzy. Tak więc w jednej z sal stoi potężne akwarium, do którego opuszczany jest model okrętu. To lekcja dla laików, którzy mają okazję zobaczyć, w jaki sposób jednostka w ogóle porusza się w morzu. W innej mogą obejrzeć silnik wymontowany z małego okrętu raketowego. Potem jednak poprzeczka zostaje postawiona znacznie wyżej.

Oto pracownia ze stanowiskami komputerowymi dla 16 osób. Przed oczami mają okrętową siłownię, po której mogą odbyć wirtualną przechadzkę. Klikając w poszczególne elementy, przybliżają je, oddalają, obchodzą ze wszystkich stron. Nie o spacer jednak tutaj chodzi. Siedzący w oddzielnej sali instruktor podrzuca bowiem kolejne problemy. Jak choćby teraz, kiedy wzniecił pożar jednego z silników. „Kursanci muszą go ugasić. Oczywiście w odpowiedni sposób. Nie wodą, lecz obojętnym gazem albo za pomocą dwutlenku węgla. Wcześniej muszą odciąć wszystkie inne pomieszczenia, tak żeby ogień nie był podsyćany przez dopływ tlenu, i aby pożar nie rozprzestrzenił się na inne części okrętu”, wyjaśnia kpt. mar. Sebastian Lacki, wykładowca cyklu.



ŁUKASZ ZAŁEŚIŃSKI

NA OKRĘCIE NIE MA NA TO CZASU

W sąsiedniej sali znajduje się identyczny trener, a kawałek dalej symulator siłowni okrętowej. Działa na podobnych zasadach, tyle że tam można stanąć za pulpitem sterującym. Przed oczami kursant ma dwa monitory. Na pierwszym pojawia się schemat siłowni, na drugim zbliżenie wybranego urządzenia. „Uruchomienie silników to niezwykle skomplikowany proces. Potrzeba na to kilku godzin. Pominięcie któregoś elementu może sprawić, że okręt nie ruszy”, tłumaczy kpt. mar. Lacki. Choćby takie paliwo. Należy je pobrać ze zbiornika dennego i przetoczyć przez wirówkę. „Tam odsadza się z niego wodę, oczyszcza z piasku czy rdzy, która mogła się wcześniej wykruszyć ze zbiornika”, tłumaczy wykładowca. Z wirówki paliwo trafia do zbiornika rozchodowego, a potem silników. „Samo paliwo to też ciekawa sprawa. Od tego, które używane jest w samo-

chodach, różni się zawartością parafiny. Chodzi o to, by nie zamarało, nawet jeśli będzie miało pewną zawartość wody”, wyjaśnia kpt. mar. Lacki. Na tym jednak nie koniec. „Silniki okrętu początkowo pracują na paliwie lekkim, ale kiedy osiągną odpowiednie parametry, należy przejść na ciężkie”, tłumaczy wykładowca. Pokażna dawka wiedzy. A przecież to zaledwie wycinek. „Dzięki symulatorom i trenerom marynarze spokojnie, z instrukcją w ręku mogą prześledzić wszelkie procedury. Popróbować, jak wszystko działa. I powtarzać czynności po kilka, kilkanaście razy. Na okręcie nie ma na to czasu”, podkreśla kmdr ppor. Stępień.

Ostatnim progiem wtajemniczenia jest hala silników, gdzie poszczególne elementy układanki zostają scalone. Symulator zajmuje dwa pomieszczenia w oddzielnym

CENTRUM SZKOLENIA MARYNARKI WOJENNEJ

W grudniu 1918 roku w Twierdzy Modlin powstał Oddział Zapasowy Marynarzy, który miał przygotowywać do służby szeregową obsadę załóg oraz podoficerów. Specjalistyczne zaś powierzono wykładowcom Szkoły Marynarzy w Kazuniu. W kolejnych latach obie placówki zmieniały nazwy i miejsca funkcjonowania. Marynarze uczyli się rzemiosła w Toruniu, Świeciu, Gdyni, ale również na okrętach. W 1927 roku Szkoła Specjalistów Morskich, czyli następczyni Szkoły Marynarzy, została ulokowana na pokładzie ORP „Bałtyk”, który stanął w gdyńskim porcie. Trzy lata później uczelnia przeszła pod rozkazy dowódcy Dywizjonu



Szkołnego, adepci marynarki zaś wychodzili na morze na pokładach jednostek OORP „Mazur”, „Lech”, „Kujawiak”, „Ślężak” i „Gen. Sosnkowski”.

System szkolenia marynarzy funkcjonował także po klęsce w wojnie obronnej 1939 roku. Jeszcze przed końcem roku cumujący w Wielkiej Brytanii statek handlowy SS „Kościuszko” został wcielony do marynarki i przemianowany na ORP „Gdynia”. I to właśnie na jego pokładzie zaczęła na nowo działać Szkoła Specjalistów Morskich. Wkrótce do niej dołączyła ogólnowojskowa, tzw. Kadra Marynarki Wojennej. Potem obie przeniosły się na stały ląd

i działały do końca działalności Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

W październiku 1944 roku w podporządkowanym komunistom Wojsku Polskim powstał Samodzielny Morski Batalion Zapasowy. Działał kolejno w Lublinie, we Włocławku, wreszcie w Gdańsku. Wkrótce na jego bazie powstały Szkolny Pułk Marynarki Wojennej i Szkoła Specjalistów Morskich. W 1947 roku obie jednostki znalazły przystań w Uście, a siedem lat później zostały połączone w jedną instytucję – Ośrodek Szkolenia Specjalistów Morskich. W kolejnych latach nazwa instytucji się zmieniała, wreszcie 23 lata temu została ona przemianowana na Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej. ■

SZKOLENIE W USTCE PODZIELONE ZOSTAŁO NA CZTERY CYKLE.

Pierwszy z nich to Cykl Nawigacji i Uzbrojenia Okrętowego, w którego strukturach funkcjonuje pięć zespołów dydaktycznych: nawigacji i hydrografii, uzbrojenia okrętowego, systemów wspomagania dowodzenia, inżynierii morskiej oraz broni podwodnej. Kadra ma do dyspozycji m.in. zespół symulatorów mostków nawigacyjnych, gabinet informatycznego wspomagania nawigacji i gabinet podstaw radiolokacji. Cykl Mechaniczno-Elek-

tryczny i Ratownictwa Morskiego dzieli się na trzy zespoły: eksploatacji siłowni okrętowych, zabezpieczenia technicznego siłowni okrętowych i ratownictwa morskiego. Dysponują one m.in. symulatorem siłowni okrętowej, gabinetem okrętowych mechanizmów pomocniczych, a także gabinetami do prowadzenia kursów kwalifikowanych pierwszej pomocy medycznej.

Cykl Wsparcia i Zabezpieczenia Działań Sił Okrętowych to pięć zespołów: łączności

i informatyki, rozpoznania i walki elektro-nicznej, zabezpieczenia logistycznego, obrony przed bronią masowego rażenia i obrony przeciwlotniczej. Do dyspozycji instruktorów i kursantów pozostają np. symulator GMDSS, gabinet nasłuchu radiowego, a także trenażery radiostacji, które uchodzą za unikatowe nawet w skali NATO. W strukturach ustckiego centrum znajduje się też Cykl Wychowania i Sportu oraz Lektorat Języków Obcych. ŁZ ■

budynku. W pierwszym znajduje się siłownia niewielkiego okrętu – z silnikiem głównym, pompami, sprężarkami, agregatami prądotwórczymi, wirówkami, a nawet czujkami dymu, które w razie pożaru zaleją cały system gaśniczą pianą.

„Drugie to część komputerowa. Trzy wydzielone tutaj stanowiska zajmują mechanik, wachtowy elektryk oraz instruktor”, wylicza st. chor. mar. Łukasz Kołakowski, kierownik hali silników. Pierwsi dwaj mają za zadanie uruchomić silnik i czuwać nad jego pracą. Trzeci sprawdza ich pracę, wyznacza zadania, mnoży przeszkody. „Może np. wyłączyć jedną z pomp i czekać, co zrobią kursanci”, podkreśla st. chor. Kołakowski. Tu także możliwości jest bez liku.

W Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej spędziłem kilka godzin i mam poczucie, że zaledwie się przez nie prześlizgnąłem. „W ciągu roku szkolimy około 4 tys. osób, począwszy od elewów i kadetów służby przygotowawczej, przez żołnierzy zawodowych ze wszystkich korpusów i wszystkich rodzajów sił zbrojnych, a skończywszy na słuchaczach Szkoły Podoficerskiej Marynarki Wojennej”, wylicza kmdr ppor. Biernaczyk. „Organizujemy zarówno zajęcia z musztry, jak i szkolenia dla okrętowych działów. Wszystko poparte wiedzą, doświadczeniem, odpowiednimi certyfikatami jakości kształcenia i kulturą organizacji, wynikającą z naszej tradycji oraz historii. To właśnie czyni nasz ośrodek wyjątkowym”. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

PRZEZ MÓZG DO DOSKONAŁOŚCI

W XXI wieku subiektywna ocena przełożonych, trenażery i symulatory to za mało, aby wyszkolić doskonałego oficera-przywódcę. Już niedługo rozpocznie się zagłębienie do głów przyszłych liderów.

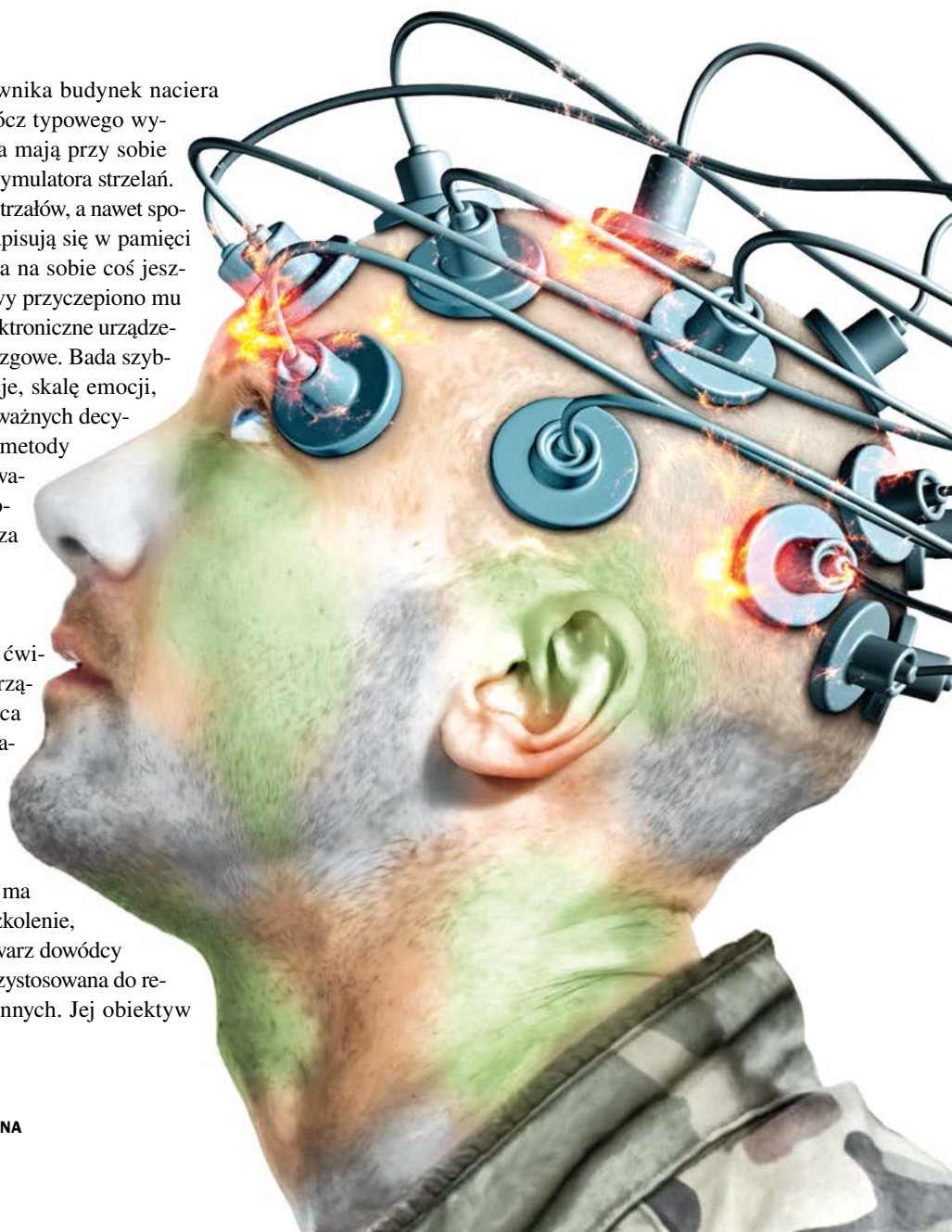
Na zajęty przez przeciwnika budynek naciera pluton. Żołnierze oprócz typowego wyposażenia i uzbrojenia mają przy sobie elementy laserowego symulatora strzałów.

Każdy ich ruch, liczba oddanych strzałów, a nawet sposób zachowania na polu walki zapisują się w pamięci komputera. Dowódca plutonu ma na sobie coś jeszcze.... Pod hełmem do skóry głowy przyczepiono mu czujniki elektroencefalografu. Elektroniczne urządzenie bezustannie rejestruje fale mózgowe. Bada szybkość reakcji na zaistniałe sytuacje, skalę emocji, które towarzyszą podejmowaniu ważnych decyzji. Czy to fantazja? Nie. Takie metody kształcenia będą niedługo wprowadzone w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu. To pierwsza sytuacja.

CZYTANIE Z TWARZY

Sytuacja druga. W trenażerze ćwiczy pluton zmotoryzowany. W urządzeniu wizualizacyjnym dowódca śledzi przebieg natarcia. Na podstawie meldunków kieruje ogniem swojego pododdziału. W mgnieniu oka musi podejmować wiele decyzji, m.in. postanowić, który wóz bojowy jakie cele ma niszczyć. Byłoby to zwyczajne szkolenie, jakich wiele, gdyby nie fakt, że twarz dowódcy bezustannie obserwuje kamera przystosowana do rejestrowania zjawisk szybkozmiennych. Jej obiektyw

FRESHIDEA, ALEXANDRE ZVEIGER/FOTOLIA, P.K./DZIAŁ GRAFICZNY



rejestruje mimikę twarzy żołnierza. Zapisuje reakcję poszczególnych mięśni, gałek ocznych, siatekówek powiek, brwi czy zmarszczek. Po co?

W pierwszym i drugim przypadku po zajęciach, za pomocą specjalnych programów komputerowych naukowcy i specjaliści medycyny, wśród nich psychiatrzy i neurologi, będą odczytywali m.in. stan emocji badanego. Ocenia szybkość jego reakcji na zaskakujące sytuacje. Odnoszą stopień pewności siebie i stanowczości, wyłapią wszelkie zawahania, włącznie z zadowoleniem lub frustracją. Na podstawie badań stwierdzą, w jakim stopniu dana osoba ma rozwinięte cechy przywódcze.

Metody badawcze, które na pierwszy rzut oka można uznać za chwyt z pogranicza science fiction, są jak najbardziej realne i już niedługo będą stosowane w procesie nauczania we wrocławskiej Akademii.

LABORATORIUM XXI WIEKU

W uczelni wraz z rozpoczętym niedawno rokiem akademickim zaczęło działać laboratorium przywództwa, w którym będą sprawdzane i kształtowane zdolności podchorążych – przyszłych oficerów, dowódców plutonów. Mają tam być wykorzystywane najnowsze osiągnięcia z dziedziny cybernetyki, optyki, elektroencefalografii, analiz medycznych i inne. Naukowcy i dydaktycy zaprosili już do współpracy doświadczonych lekarzy z miejscowego 4 Wojskowego Szpitala Klinicznego. Zamówiono też niezbędny sprzęt.

Nowatorskie badania nie mają na celu eliminowania ze studiów kandydatów na oficerów, u których zostaną stwierdzone słabsze niż u innych predyspozycje przywódcze. Chodzi o to, aby znaleźć takie metody i programy nauczania, które pozwolą na zaktywizowanie odpowiednich cech u poszczególnych osób. Dotychczas ocena przyszłego oficera opierała się na subiektywnej obserwacji przełożonych. Teraz będzie można zastosować naukowe i obiektywne kryteria.

„Uzyskamy zdolności dokładnego rozpoznawania predyspozycji i będziemy mogli umiejętnie je rozwijać, badając ich indywidualny progres”, wyjaśnia ppłk Marcin Bielewicz, prodziekan do spraw wojskowych Wydziału Zarządzania Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu.

Badanie elektroencefalografem (EEG) jest nieinwazyjną procedurą medyczną, wykorzysty-

waną dosyć powszechnie w treningach biofeedback. Dzięki niej można obniżyć poziom stresu u badanego, zwiększać koncentrację, motywację i zmysł kreatywności. Docelowo pozwala zintensyfikować poziom funkcjonowania nie tylko mózgu, lecz także całego organizmu.

Kadra naukowo-dydaktyczna wrocławskiej akademii planuje poddawać takim badaniom podchorążych wykonujących w tym samym czasie różne zadania kształtujące kompetencje przywódcze, na przykład rozwiązujących zadania logiczne, opanowujących sytuacje kryzysowe czy pracujących nad koncepcjami z dziedziny taktyki. W przyszłości wykonujących także zadania bojowe w terenie.

Jeszcze w 2017 roku w Akademii Wojsk Lądowych rozpocznie się budowa specjalnego toru przeszkód, mającego pomagać w kształtowaniu kompetencji przywódczych podchorążych. Ośrodki tego typu, o nazwie leader reaction course, są znane i stosowane w armiach USA, Wielkiej Brytanii czy Niemiec. Konstrukcje takich torów są ukierunkowane na pracę zespołową. Nie jest tam możliwe wykonanie zadań indywidualnie.

Tor ma się składać z 17 stanowisk przystosowanych do wykonywania zadań o różnej skali trudności. Mimo że nie będzie miał wiele wspólnego z powszechnie znanymi ośrodkami sprawności fizycznej, również tam szkolonym przydadzą się sprawne mięśnie. Będą działali pod presją czasu i walczyli z różnymi ograniczeniami.

Podchorążowie dostaną np. zadanie polegające na przeprowadzeniu grupowej ucieczki z obozu jenieckiego. Zespołowo będą musieli pokonać m.in. wysokie ogrodzenie hipotetycznie pod napięciem, bez komunikowania się głosem. Prowadzący szkolenie może stopniować skalę trudności, eliminując lub zmniejszając lidera grupy.

Na torze, w dynamicznym działaniu, w sposób naturalny będą się ujawniały cechy liderów. Ci, którzy nimi jeszcze nie są, podpatrując innych, szybciej zrozumieją, co trzeba zrobić, aby dobrze kierować zespołem.

IMPLEMENTACJA METOD

Akademia Wojsk Lądowych współpracuje obecnie z 40 uczelniami na całym świecie. 2 października podpisano kolejne porozumie-

Elektroencefalografia (EEG) jest nieinwazyjną procedurą diagnostyczną służącą do badania bioelektrycznej czynności mózgu.

KOMENTARZ

MARCIN BIELEWICZ:



Stare żołnierskie porzekadło mówi, że w wojsku za przywódcą idą serca, a za dowódcą tylko buty. Dlatego w procesie kształcenia staramy się, aby przyszły dowódca był w swoim pododdziale utożsamiany z przywódcą. Żeby cieszył się autorytetem i szacunkiem nie tylko formalnym, wynikającym z regulaminów, lecz także autentycznym, ze względu na jego cechy i predyspozycje. Ponieważ wśród podchorążych – kandydatów na oficerów jedni mają większe, inni zaś mniejsze pre-

dyspozycje przywódcze w procesie kształcenia, chcemy te cechy potęgować, sprawiać, żeby absolwenci potrafili być niekwestionowanymi liderami w swoich zespołach. Aby taki efekt osiągnąć, wprowadzamy najnowsze metody badawcze, których wyniki pozwolą nam dobierać najbardziej efektywne programy i metody nauczania. Mówiąc kolokwialnie – w czasie nauki będziemy podchorążym dawali wiedzę, a oprócz tego trenowali nie tylko mięśnie, lecz także umysły. ■

Ppłk MARCIN BIELEWICZ jest prodziekanem ds. wojskowych Wydziału Zarządzania Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu.

nie – ze słynną amerykańską West Point. Naukowcy z AWL-u na bieżąco śledzą wyniki i metody pracy placówek zagranicznych.

„Powołaliśmy specjalny zespół, który analizuje dokonania światowych uczelni. Po pewnych modyfikacjach najlepsze z nich implementujemy u siebie”, mówi gen. bryg. dr hab. inż. Dariusz Skorupka, rektor-komendant wrocławskiej akademii.

Dodał, że wszystko po to, aby zwiększyć jakość kształcenia. Wrocławska uczelnia wojskowa ma bowiem ambitne plany. W niedalekiej przyszłości chce stać się najlepszą szkołą dowódców w Europie.

O ile badania z zastosowaniem elektroencefalografu czy obserwacja mimiki twarzy nie są innowacyjne, o tyle wykorzystanie ich wyników do kształtowania i wzmacniania procesu budowania kompetencji przywódczych już tak. Nie ma bowiem instytucji, która szkołą, prowadzi jednocześnie naukowe badania tego procesu. Taki dualizm jest bardzo korzystny. Pozwala na natychmiastowe zmiany stosowanych metod i narzędzi kształcenia.

WRÓŻENIE Z KRWI

Pracownicy naukowcy AWL-u obserwują dokonania i trendy nie tylko w wojskowych placówkach naukowo-badawczych w świecie, lecz także w innych pracowniach i instytucjach. Zwracają uwagę na wszystkie doniesienia i prace związane z kształtowaniem przywództwa, tworzeniem doskonałych liderów.

„Nie odrzucając dotychczasowych metod i narzędzi kształcenia, będziemy sprawdzali ich skuteczność. Chcemy wprowadzać metody stosowane w innych instytucjach, eksperymentować ze sposobami kształcenia i metodami dotychczas niestosowanymi w instytucjach wojskowych, a sprawdzonymi np. w szkoleniu cywilnych menedżerów”, informuje ppłk Bielewicz.

Prodziekan opowiada o nowatorskich badaniach Austriaków. Tamtejsi naukowcy badali krew grupy żołnierzy tuż po oddaniu skoków ze spadochronem, podczas których sprawdzano u nich poziom stresu. Na podstawie wyników zawartości potasu i tlenu we krwi badanych ocenili, że skakanie z samolotu zwiększa wytrzymałość ludzi i ich predyspozycje do wykonywania trudnych zadań. Przenosząc rezultaty badań Austriaków na grunt Akademii Wojsk Lądowych, można zastanowić się, czy słusznie w polskiej uczelni skoki ze spadochronem wykonują tylko podchorążowie kierunków wojska aeromobilne i rozpoznawanie. Może byłoby wskazane włączyć je także do procesu kształcenia słuchaczy kierunku wojska zmechanizowane, skoro ma to wpłynąć na lepsze wykonywanie zadań na ziemi.

W większości są to jeszcze oczywiście rozważania czyścio akademickie. Nikt nie wykluczył jednak, że jeżeli wyniki prac naukowców z Austrii okażą się ciekawe, wkrótce i we wrocławskiej uczelni w ruch pójść igły, stazy i inne akcesoria do pobierania krwi. To jednak, w przeciwieństwie do opisanych wcześniej metod badawczych, które znajdują w uczelni zastosowanie już niebawem, można określić mianem dalszej przyszłości. ■

DOMINIK
SMYRGALA

Intensywny czas



Drugi rok kadencji ministra Antoniego Macierewicza upłynął pod znakiem trzech najważniejszych procesów: implementacji postanowień szczytu NATO w Warszawie, Strategicznego Przeglądu Obronnego oraz modernizacji i rozbudowy Sił Zbrojnych RP. Wdrożenie w życie postanowień szczytu przyniosło istotne zmiany geopolityczne w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Po raz pierwszy w historii na wschodniej flance NATO pojawiły się siły mocarstw zachodnioeuropejskich oraz innych państw sojuszników, co w istotny sposób poprawia bezpieczeństwo państw Europy Środkowo-Wschodniej. Polska jest krajem bardzo zaangażowanym w ten proces, chociażby jako gospodarz dla batalionowej grupy bojowej stacjonującej w Orzyszu w ramach wysuniętej wzmocnionej obecności NATO, której przewodzą Amerykanie. Na terenie RP również gości amerykańska Pancerna Brygadowa Grupa Bojowa, której pododdziały rotują po całej wschodniej flance. Przygotowanie odpowiedniej infrastruktury i prawnych ram współpracy było jednym z najważniejszych zadań umożliwiających to przedsięwzięcie. Polski wkład w rozwój NATO nie kończy się jednak na tym. Ministerstwo Obrony Narodowej wystawiło dwa nowe kontyngenty wojskowe, stacjonujące w ramach wysuniętej wzmocnionej obecności NATO na Łotwie oraz dostosowanej wzmocnionej obecności w Rumunii. Polscy piloci przeprowadzili także dwie zmiany „Baltic Air Policing”. Warto również wspomnieć o nowej misji szkoleniowo-technicznej NATO w Iraku, mającej na celu modernizację i szkolenie personelu w dziedzinie utrzymania posowieckiego sprzętu wojkowego, w której Polska jest państwem ramowym.

Strategiczny Przegląd Obronny to pierwsze przedsięwzięcie na taką skalę przeprowadzone przez Ministerstwo Obrony Narodowej. SPO składał się z serii warsztatów, seminariów, symulacji i gier wojennych, wliczając w to zakrojone na dużą skalę ćwiczenia dowódczo-sztabowe „Zima '17”. W efekcie, w sposób metodyczny przeanalizowano środowisko bezpieczeństwa RP, rysując realistyczne założenia do budowy strategii obronnej państwa. Wnioski z SPO, dotyczące m.in. wielkości sił zbrojnych, siły ognia, obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, stanowią podstawę przygotowywanej właśnie reformy całości systemu obrony narodowej. Kształt najważniejszego elementu, czyli systemu kierowania i dowodzenia, jest jeszcze przedmiotem dyskusji z prezydentem RP. Równolegle trwały prace mające na celu modernizację techniczną sił zbrojnych, które objęły m.in. zakup nowoczesnych pocisków manewrujących JASSM-ER do samolotów F-16, mogących razić cele w odległości 1000 km. Sfinalizowano też programy artyleryjskie (armatohaubica Krab, moździerz Rak), zaprezentowano nowy bojowy wóz piechoty Borsuk, a także podpisano umowę na dostawy modułowego systemu broni strzeleckiej (MSBS) Grot.

W dziedzinie modernizacji i rozbudowy Sił Zbrojnych RP należy wspomnieć przede wszystkim o rozwoju wojsk obrony terytorialnej, w szczególności pierwszych trzech brygad tej formacji, które powstały w województwach podlaskim, lubelskim i podkarpackim. Niedawno otwarto również oficjalnie Centrum Eksperckie Kontrwywiadu NATO w Krakowie, w którego prace już dziś zaangażowało się 11 państw członkowskich sojuszu. W efekcie podjętych w ostatnim roku działań umocniła się pozycja Polski w NATO i poprawił poziom bezpieczeństwa kraju na arenie międzynarodowej. ■



Dr DOMINIK SMYRGALA jest szefem Gabinetu Politycznego Ministra Obrony Narodowej i redaktorem naczelnym „Kwartalnika Bellona”.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

ROCZNA PENSJA

Jestem byłym żołnierzem kontraktowym. Zostałem zwolniony ze służby po orzeczeniu komisji lekarskiej o niezdolności do jej pełnienia z powodu wypadku na misji. W chwili zwolnienia miałem 12 lat wysługi. Słyszałem, że mogę dostać świadczenie pieniężne w rodzaju rocznej pensji wypłacanej z góry za rok albo co miesiąc. W wojskowym biurze emerytalnym powiedziano mi, że świadczenie takie mi nie przysługuje. Czy to prawda?

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 6 ust. 1 pkt 1, art. 95 i 96; Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z 2 kwietnia 1997 roku (DzU nr 78 poz. 483 z późn. zm.) – art. 32 ust. 1 i 2.

→ Organ emerytalny ma rację. Świadczenie, o którym mowa w pytaniu, znajduje swoje umocowanie w art. 95 pkt. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (...), który mówi, że żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, niezależnie od odprawy, przysługuje przez rok po zwolnieniu ze służby wypłacane co miesiąc świadczenie pieniężne w wysokości kwoty uposażenia zasadniczego wraz z dodatkami, należnego w ostatnim dniu pełnienia służby. Świadczenie, o którym mowa, przysługuje jednak żołnierzowi (z zastrzeżeniem ust. 2–4), który pełnił nieprzerwanie zawodową służbę wojskową przez co najmniej 15 lat, a także żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej pełnionej jako służba stała, który pełnił zawodową służbę przez okres krótszy niż 15 lat, jeżeli został zwolniony wskutek orzeczenia przez wojskową komisję lekarską niezdolności do pełnienia zawodowej służby wojskowej, w razie gdy utrata tej zdolności została spowodowana wypadkiem pozostającym

w związku z pełnieniem czynnej służby wojskowej albo chorobą powstałą w związku ze szczególnymi właściwościami lub warunkami służby wojskowej. Ustawodawca wyraźnie wskazał, że świadczenie to przysługuje żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej pełnionej jako służba stała. W omawianym przypadku zainteresowany był żołnierzem kontraktowym.

Obecna regulacja prawna w sposób oczywisty narusza konstytucyjną zasadę równości wobec prawa – tj. art. 32 ust. 1 i 2 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 2 kwietnia 1997 roku, który stanowi, że wszyscy są równi wobec prawa i wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne. Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym. W mojej ocenie wprowadzenie przez ustawodawcę podziału żołnierzy na tych, którym świadczenie pieniężne będzie przysługiwać, podyktowanego wyłącznie formą pełnienia zawodowej służby wojskowej – jest niezgodne z podstawowymi zasadami konstytucyjnymi. Należy bowiem mieć na uwadze, że w omawianym przypadku żołnierz został zwolniony ze służby z powodu wypadku na służbie, który wydarzył się na misji poza granicami kraju. Dbałość zarówno o opiekę medyczną, jak i rekompensatę finansową w takiej sytuacji powinny skłonić Skarb Państwa do wprowadzenia przepisów gwarantujących realizację prawa do świadczenia, o którym mowa w art. 95 ustawy, również żołnierzowi kontraktowemu. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PRAWA EMERYTALNE

Zawodową służbę wojskową rozpocząłem w 2011 roku i służyłem w wojsku do 2014 roku. Później odszedłem z armii, ale od października 2015 roku ponownie noszę mundur. Jakie prawa emerytalne mi przysługują?

→ Zgodnie z art. 15a ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin emerytura dla żołnierza, który został powołany do zawodowej służby wojskowej po raz pierwszy po 1 stycznia 1999 roku wynosi 40% podstawy jej wymiaru za 15 lat służby wojskowej i wzrasta według zasad określonych w art. 15 ust. 1 pkt 1 i ust. 1a-5. Mimo że służba pełniona była w różnych okresach, to ten żołnierz nabywa prawo do emerytury po 15 latach. Stanowi o tym art. 18a ust. 2 ustawy, w którym mówi się, że żołnierzowi powołanemu po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku do zawodo-

wej służby wojskowej lub służby kandydackiej emerytura przysługuje na zasadach i w wysokości określonych w tym rozdziale. Przepisu ust. 1 nie stosuje się do żołnierza: 1) pełniącego służbę kandydacką w dniu 1 stycznia 2013 roku, w przypadku powołania do zawodowej służby wojskowej bezpośrednio po ukończeniu służby kandydackiej; 2) powołanego do zawodowej służby wojskowej po dniu 31 grudnia 2012 roku, jeżeli przed tym powołaniem pełnił służbę w Policji, Urzędzie Ochrony Państwa, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, Służbie Wywiadu Wojskowego, Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej lub Służbie Więziennej, do której został powołany przed 1 stycznia 2013 roku. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku (DzU 1994 nr 10 poz. 36), tekst jednolity z 27 czerwca 2016 roku (DzU z 2016 poz. 1037) – art. 15a, art. 18a ust. 2.

ODPRAWA MIESZKANIOWA

Jestem rencistą wojskowym. W 2016 roku zostałem zwolniony ze służby z powodu uznania mnie za trwale niezdolnego do zawodowej służby wojskowej. Nie mam prawa do emerytury wojskowej, ponieważ odbyłem jedynie dziesięć lat służby kontraktowej. Komisja stwierdziła, że powodem mojego inwalidztwa jest choroba zawodowa i przyznała mi prawo do odszkodowania w wysokości 30% trwałego uszczerbku na zdrowiu. Pieniądze mi wypłacono. Czy mam jednak prawo do odprawy mieszkaniowej? Mam dwoje dzieci, żona nie pracuje.

→ Kwestię odprawy mieszkaniowej reguluje ustawa o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych RP (...). Przepis art. 47 ust. 1 ustawy wskazuje, że odprawa mieszkaniowa wynosi 3% wartości przysługującego lokalu mieszkalnego za każdy rok podlegający zaliczeniu do wysługi lat, od której jest uzależniona wysokość dodatku za długoletnią służbę wojskową, i nie może być niższa niż 45% oraz wyższa niż 80% wartości przysługującego lokalu mieszkalnego. Odprawa mieszkaniowa,

o której mowa w art. 47, przysługuje żołnierzowi służby kontraktowej, jeśli zwolnienie z zawodowej służby wojskowej nastąpiło w efekcie wydania orzeczenia przez wojskową komisję lekarską, która ustaliła, że inwalidztwo żołnierza powstało wskutek wypadku związanego ze służbą wojskową lub wskutek choroby powstałej w związku ze szczególnymi właściwościami lub warunkami tej służby, z tytułu których przysługują świadczenia odszkodowawcze

(art. 23 ust. 1 pkt. 2) ustawy). Zwolnienie autora pytania nastąpiło wskutek choroby zawodowej, z której tytułu przyznano mu prawo do świadczeń odszkodowawczych – odprawa mieszkaniowa będzie mu przysługiwać. Jej wysokość zależy od wysługi, norm oraz wskaźnika naliczanego za okres zwolnienia ze służby. W tym przypadku żołnierzowi będzie się należała odprawa na żonę i dwoje dzieci, a zatem są to cztery normy. Sposób obliczania odprawy można sprawdzić na stronie Agencji Mienia Wojskowego w Warszawie w zakładce „Dla żołnierza”. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: ustawa o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej z 22 czerwca 1995 roku (DzU nr 86 poz. 433), tekst jednolity z 29 stycznia 2016 roku (DzU z 2016 poz. 207) – art. 23 ust. 1 pkt 2, art. 47.



ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

TADEUSZ WRÓBEL

ATOMOWE PRZESILENIE

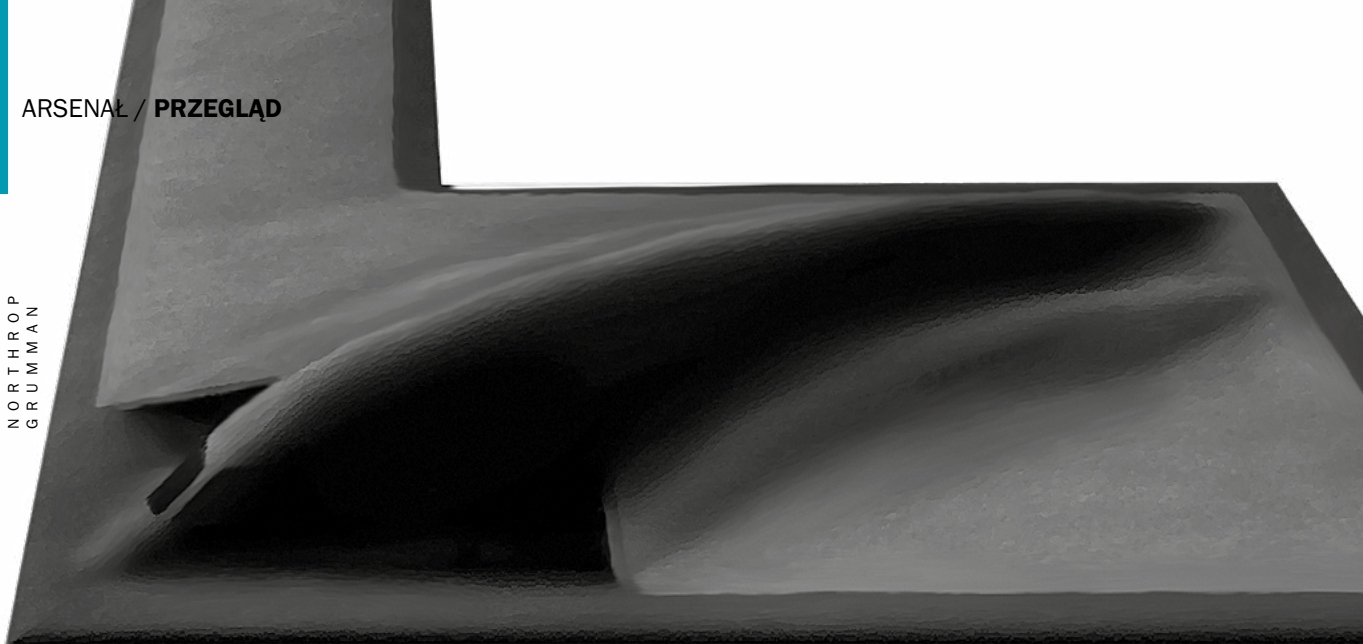
**Stany Zjednoczone rozpoczęły gruntowną
modernizację atomowego arsenału,
co będzie kosztować setki miliardów dolarów.**



Amerykański międzykontynentalny pocisk balistyczny LGM-30G Minuteman III – w służbie od 1972 roku.

IAN DUDLEY / USAF





Po zakończeniu zimnej wojny w Stanach Zjednoczonych zaprzestano inwestować w modernizację sił nuklearnych, gdyż uznano, że po rozpadzie Związku Sowieckiego nie ma takiej potrzeby. W Waszyngtonie liczone, że uda się ułożyć normalne relacje z Federacją Rosyjską. Amerykanie nie przewidzieli też szybkiego wzrostu militarnego potencjału Chin. Tymczasem oba te państwa inwestowały w nowe programy pocisków raketowych uzbrojonych w głowice nuklearne oraz ich nosicieli. Chociażby w Rosji w 2010 roku wszedł do służby strategiczny pocisk balistyczny nowej generacji na mobilnej wyrzutni RS-24 Jars. Co więcej, może on być lokowany w podziemnych silosach i na wyrzutniach kolejowych. W Rosji do służby wchodzi też atomowe okręty podwodne z nowej generacji pociskami balistycznymi, tzw. boomery.

Ogromne postępy w rozbudowie arsenału nuklearnego poczyniły Chiny. W tym roku do służby wszedł międzykontynentalny pocisk balistyczny DF-41, który podobnie jak rosyjski Jars może być wystrzeliwany z różnych wyrzutni. Chińczycy powiększają też flotę boomery. Od 2007 roku w służbie są jednostki typu 094, a niebawem dołączą do nich nowocześniejsze, typ 096.

Ze względu na tę sytuację w Stanach Zjednoczonych postanowiono, jeszcze za czasów administracji prezydenta Baracka Obamy, rozpocząć modernizację atomowego arsenału. Ówczesny sekretarz obrony Ash Carter we wrześniu 2016 roku, podczas wizyty w bazie lotniczej Minot w stanie Północna Dakota,

gdzie są jednostki z bronią nuklearną, określił atomową triadę – pociski międzykontynentalne, bombowce strategiczne i boomery – jako „opokę” narodowego bezpieczeństwa.

Rząd USA oszacował koszty modernizacji sił nuklearnych w latach 2017–2026 na 400 mld dolarów. W ciągu 30 lat potrzebny będzie na ten cel nawet bilion dolarów. Tymczasem kongresowe biuro budżetowe szacowało, że na modernizację atomowego arsenału w latach 2015–2024 wystarczy 348 mld dolarów.

SŁABY ELEMENT

Jedynym amerykańskim międzykontynentalnym pociskiem balistycznym rozmieszczonym w podziemnych silosach jest LGM-30G Minuteman III, w służbie od 1972 roku. Według informacji zamieszczonych na stronie US Air Force, zasięg tego 36-tonowego pocisku wynosi 5218 Mm, czyli 9664 km. Nieoficjalnie może być to około 13 tys. km. Zgodnie z traktatem o ograniczeniu uzbrojenia strategicznego START II, który USA podpisały 3 stycznia 1993 roku z Rosją, pomimo że ta go nie ratyfikowała, Amerykanie zmniejszyli liczbę przenoszonych przez nie głowic z trzech do jednej.

W gotowości bojowej w podziemnych silosach znajduje się 450 minutemanów III. Rozdzielone są pomiędzy 90 Skrzydło w bazie lotniczej F.E. Warren w stanie Wyoming, 91 Skrzydło w bazie lotniczej Minot i 341 Skrzydło w bazie lotniczej Malmstrom w stanie Montana. W każdym z nich są trzy dywizjony raket. Każde skrzydło ma 15 stanowisk kontrolujących wystrzelenie i 150 pocisków. Wymienione skrzydła wchodzi w skład 20 Armii Lotniczej z dowództwem w bazie



B-21 RAIDER

100 SAMOLOTÓW KOSZTOWAĆ BĘDZIE OKOŁO 550 MLN DOLARÓW. B-21 POWINNY WEJŚĆ DO SŁUŻBY W POŁOWIE PRZYSZŁEJ DEKADY

Warren, podporządkowanej dowództwu sił strategicznych (Air Force Global Strike Command) w bazie lotniczej Barksdale w stanie Luizjana.

Amerykanie mają poważny problem z lądowym strategicznym komponentem atomowej triady. LGM-30G to już niemal 50-letnie konstrukcje. Według pierwotnych planów od dawna powinny mieć następcę. Jednak wspomniany już postzimnowojenny marazm i związane z nim ograniczone nakłady finansowe spowodowały, że projekt minutemana IV pozostał tylko na papierze.

Dopiero niedawno uruchomiono program nowego międzykontynentalnego pocisku balistycznego (Ground Based Strategic Deterrent). W sierpniu tego roku ogłoszono, że do następnej jego fazy zakwalifikowały się firmy Boeing i Northrop Grumman. „Wykonaliśmy ruch do przodu w modernizacji, stacjonującej na lądzie nogi nuklearnej triady”, stwierdził sekretarz sił powietrznych Heather Wilson. Zauważył przy tym, że obsługa pochodzących z lat siedemdziesiątych XX wieku pocisków staje się bardziej kosztowna niż ich zastąpienie nowymi. Siły powietrzne oszacowały koszty wprowadzenia następcy minutemana III na około 62 mld dolarów. Jednak w ocenie specjalistów Departamentu Obrony bardziej realna jest dla tego programu kwota 85–100 mld dolarów. Ostateczny wybór dostawcy nowych pocisków międzykontynentalnych ma nastąpić w 2021 roku.

Niemniej jednak pojawiają się wątpliwości dotyczące GBSD ze względu na finanse, gdyż na początku przyszłej dekady nastąpi kumulacja wydatków na kilka kosztownych projektów zbrojeniowych, takich jak nowe latające tankowce KC-46 czy bombowce B-21 Raider. Stąd w upublicznionym we wrześniu 2017 roku raporcie Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych przedstawiono kilka innych opcji dotyczących przyszłości „lądowej nogi” atomowej triady. Jedną z nich jest anulowanie programu GBSD. Akceptacja takiego rozwiązania oznaczałaby, że do 2037 roku znikłaby lądowa część triady. Do rezygnacji ze strategicznych pocisków balistycznych wezwał były sekretarz obrony William Perry. Amerykański polityk przedstawił dwa powody. Pierwszym jest łatwość ich zniszczenia przez zaskakujący atak, a drugim groźba wznowienia wyścigu zbrojeń z Rosją. Propozycja Perry’ego nie zyskała poparcia, bo oznaczałaby ogromne osłabienie amerykańskich możliwości odstraszania. Drugą opcją prezentowaną w raporcie jest co prawda też rezygnacja z GBSD, ale z przedłużeniem czasu użytkowania systemu Minuteman III do 2050 roku. Do tego czasu Amerykanie dysponowaliby nie mniej niż 400 pociskami. Prace zaś nad następcą minutemana III podjęto by dopiero w latach trzydziestych XXI wieku.

Dwie kolejne opcje dotyczą opóźnienia wprowadzenia GBSD. W pierwszym przypadku przesunięcie tego terminu





Budowa pierwszego okrętu typu Columbia ma się rozpocząć w 2021 roku.

o trzy lata oznaczałoby spadek liczby strategicznych pocisków w latach trzydziestych poniżej pułapu 400 sztuk, ale miałyby zrekompenzować go wprowadzenie do służby nowej generacji bombowców. W drugiej opcji opóźnienie GBSD byłoby powiązane z zachowaniem w linii części starych pocisków, ponieważ w przypadku 30-letniego Minutemana III prawdopodobieństwo nieudanego wystrzelenia wynosi 1%, a 33-letniego – do 4%. Tym samym przytłaczająca większość odpalonych pocisków byłaby zdolna do zniszczenia wrogich celów.

WIEKSZA JASNOŚĆ

Bardziej klarownie rysuje się przyszłość dwóch pozostałych „nóg” atomowej triady. Obecnie Stany Zjednoczone mają 60 bombowców przystosowanych do przenoszenia broni nuklearnej i za kilka lat pojawi się ich następca. W 2015 roku bowiem Pentagon wybrał nowy przyszły bombowiec oparty na projekcie proponowanym przez firmę Northrop Grumman. W planach amerykańskiego resortu obrony przedstawionych w kwietniu 2016 roku jest zakup co najmniej stu tych samolotów. Przed kilku laty oszacowano, że jeden B-21 Raider kosztować będzie około 550 mln dolarów. Maszyny te powinny wejść do służby w połowie przyszłej dekady. Równoległe z pracami nad bombowcem jest realizowany program nowego uzbrojenia dla niego – precyzyjnych pocisków manewrujących dalekiego zasięgu.

Niezwykle ważną częścią triady są atomowe okręty podwodne typu Ohio uzbrojone w pociski balistyczne UGM-133A Trident II D5. Najstarsza z 14 jednostek weszła do służby w 1984 roku. Okręty typu Ohio będą wycofywane ze służby od 2027 roku. Od kilku lat US Navy prowadzi program ich następcy, typu Colum-

bia. We wrześniu tego roku marynarka wojenna USA podpisała z firmą General Dynamics Electric Boat kontrakt o wartości 5 mld dolarów na dokończenie tego projektu. Według obecnego harmonogramu budowa pierwszego okrętu nowego typu ma się rozpocząć w roku budżetowym 2021, a zostanie on przekazany US Navy siedem lat później. Na pierwszy patrol bojowy USS „Columbia” wyjdzie w 2031 roku. W planach jest budowa tuzina boomerów tego typu. Każdy z nich ma służyć przez 42 lata i w tym czasie wykona 124 rejsy patrolowe. Główną bronią okrętów typu Columbia będzie 16 pocisków Trident D5LE, które prawdopodobnie na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych zostaną zastąpione nowymi. Koszty programu wymiany okrętów typu Ohio mogą sięgnąć kwoty około 100 mld dolarów.

Atomowe odstraszanie to nie tylko broń nuklearna i jej nosiciele. To też systemy dowodzenia, kontroli, łączności i wczesnego ostrzegania. Kongresowe biuro budżetowe szacowało, że w latach 2015–2024 potrzeba będzie na ich modernizację 58 mld dolarów.

Na początku października 2017 roku Pentagon poinformował o podpisaniu kontraktu z Lockheed Martin Space Systems Company na opracowanie nowego powietrznego stanowiska kontroli dla odpalanych z ładów pocisków balistycznych (Airborne Launch Control System Replacement). Obecnie siły zbrojne USA wykorzystują do tego zadania 16 samolotów E-6B należących do lotnictwa morskiego. Maszyny ALCS-R będą w składzie US Air Force. Do 2036 roku mają umożliwiać wystrzelenie pocisków Minuteman III, a później ich następców, w razie gdyby przeciwnikowi udało się zniszczyć naziemne stanowiska dowodzenia. ALCS-R ma pozostać w służbie do 2075 roku. ■

PAWEŁ BEHRENDT

Flota w cieniu polityki

Czy niemającym odpowiedniego doświadczenia tajwańskim stoczniom uda się samodzielnie skonstruować okręty podwodne?

Tajwan staje przed niewyobrażalnymi dla innych państw problemami związanymi z zakupem nowych systemów uzbrojenia. Stawia zatem na rozwój rodzimego przemysłu zbrojeniowego, ma niezwykle ambitny plan samodzielnego opracowania i zbudowania okrętów podwodnych.

Przyczyną takiego stanu rzeczy są skomplikowane relacje „wewnątrzchińskie”. Chińska Republika Ludowa uznaje Tajwan (Republika Chińska) za zbuntowaną prowincję i od lat dąży do dyplomatycznej izolacji wyspy. Jeszcze pod koniec ubiegłego stulecia rząd z Tajpej bez większych problemów kupował broń we Francji czy Włoszech. W ciągu ostatnich dwóch dekad siła polityczna Chin wzrosła jednak do tego stopnia, że nikt nie chce ryzykować gniewu Pekinu, sprzedając broń Tajwanowi. Poza tym interesy z ChRL są zwyczajnie dużo bardziej opłacalne. Zawęziło to grono potencjalnych dostawców tylko do jednego państwa: Stanów Zjednoczonych. Jednak nawet Waszyngton, dążąc do jak najlepszych stosunków z Pekinem, zaczął ograniczać dostawy. Było to widoczne zwłaszcza za prezydentury George’a W. Busha i pierwszej kadencji Baracka Obamy.

Mimo zmiany nastawienia administracji Obamy pod koniec drugiej kadencji oraz spektakularnych, ogłoszonych przez Donalda Trumpa, kontraktów na niemal 1,5 mld dolarów Tajwan nie rezygnuje z rozwijania własnego przemysłu zbrojeniowego. W marcu 2016 tajwańskie ministerstwo obrony poinformowało o zwiększeniu wydatków na badania i rozwój. W ubie-

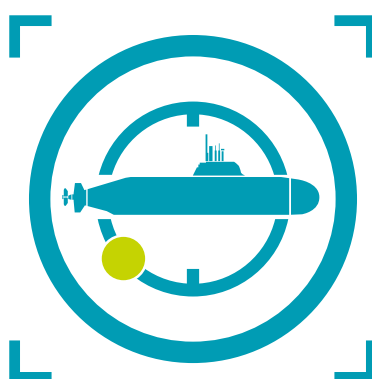
głym roku przeznaczono na ten cel o 175 mln dolarów więcej, co oznacza ponaddwukrotny wzrost w stosunku do roku 2015. W raporcie przedstawionym parlamentowi przez resort obrony poinformowano także o wspólnym z ministerstwem nauki i techniki projekcie wspól-

pracy z uczelniami technicznymi. Zakładał on doinwestowanie ośrodków badawczych kwotą niemal 12 mln dolarów. Ministerstwo obrony uzasadniło decyzję wzrostem napięcia w regionie i coraz bardziej asertywną polityką Chin. Na ministerialnej liście programów, które otrzymają wsparcie, znalazły się dalszy rozwój i modernizacja myśliwca F-CK-1 oraz kołowego bojowego wozu piechoty CM-32. Spośród niezmaterializowanych projektów poczesne miejsce zajął najciekawszy, stanowiący zarazem największe wyzwanie, samodzielnej budowy okrętów podwodnych.

ŁAŃCUCH PORAŹEK

Marynarka wojenna Republiki Chińskiej stanowi niezwykle interesującą i malowniczą zbieraninę okrętów amerykańskich, francuskich oraz rodzimych. Jej część

podwodna liczy obecnie trzy jednostki w służbie oraz jedną o nie do końca jasnym statusie. Skład i stan tej grupy są wypadkową zawirowań politycznych wokół wyspy. Pod koniec 1973 roku USA zdecydowały się wesprzeć Tajwan, przekazując dwa okręty podwodne, których używano jeszcze podczas II wojny światowej. Były to USS „Tusk” typu Balao oraz USS „Cutlass” typu Tench. Jednostki otrzymały nazwy odpowiednio „Hai Pao” (foka) i „Hai Shih” (lew morski). W tym czasie administracja Nixona prowadziła już politykę



KONTRAKT NA OSIEM OKRĘTÓW PODWODNYCH JEST WYJĄTKOWO LUKRATYWNY I NAWET OGRANICZONY W NIM UDZIAŁ MOŻE PRZY- NIEŚĆ ZYSKI

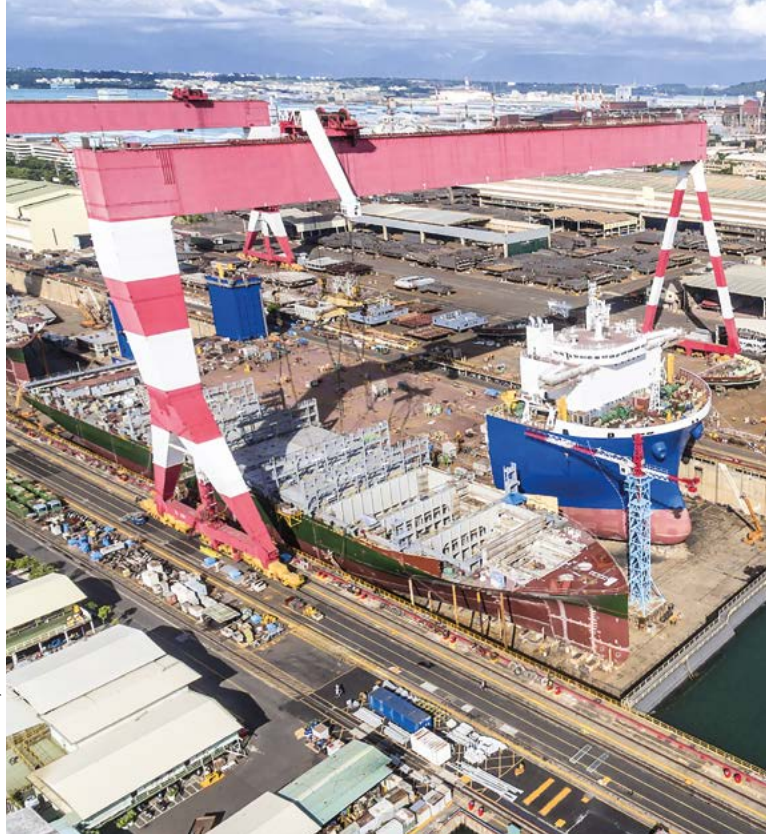


zblżenia z Chinami i aby nie drażnić Pekinu, obu okrętom przed przekazaniem zaspawano pokrywy wyrzutni torpedowych – miały służyć wyłącznie do ćwiczeń ZOP. Było to rozwiązanie tymczasowe.

Już w 1976 roku Tajwańczykom udało się kupić za pośrednictwem Włoch pewną liczbę torped i przywrócić sprawność wyrzutni. Czas jednak robił swoje i przydatność niemodernizowanych od początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku okrętów spadła niemal do zera. Obie jednostki zostały przesunięte do zadań szkoleniowych. Według ostatnich dostępnych danych „Hai Pao” nie został wycofany ze służby, ale stoi zacumowany w bazie Kaoshiung, gdzie służy do szkolenia i ewentualnie wykonuje się na nim zanurzenia na bardzo małe głębokości. Najwyraźniej „Hai Shih” jest w dużo lepszym stanie, bowiem na początku bieżącego roku ogłoszono plan modernizacji okrętu. Koszt przewidzianego na 18 miesięcy przedsięwzięcia ma wynieść 19 mln dolarów i obejmie wzmocnienie kadłuba oraz wymianę urządzeń nawigacyjnych. Prace ruszyły w lutym i po ich zakończeniu „Hai Shih” stanie się najstarszym okrętem podwodnym świata w czynnej służbie i zdolnym do walki. Obecne plany zakładają, że jednostka będzie używana do 2026 roku, kiedy skończy 80 lat.

Z ograniczonej przydatności obu okrętów podwodnych zdawano sobie sprawę od samego początku. Już w latach osiemdziesiątych rozpoczęto poszukiwania bardziej nowoczesnych jednostek. Udało się wówczas zamówić w Holandii dwa okręty zmodyfikowanego typu Zwaardvis, nazwane „Hai Lung” (morski smok) i „Hai Hu” (morski tygrys), które zostały dostarczone odpowiednio w 1987 i 1988 roku. Izolacja Tajwanu odbiła się jednak na sprawności bojowej jednostek, a zainicjowanie jakiegokolwiek programu modernizacyjnego okazało się bardzo trudne. Zresztą już w 1992 roku, wskutek protestów Chin, Holandia odmówiła przyjęcia zamówienia na kolejną parę z opcją na jeszcze dwie jednostki. Zdolność bojową „Hai Lunga” udało się jednak zwiększyć w 2008 roku, kiedy to po ponad trzech latach negocjacji amerykański kongres zgodził się na sprzedaż 32 pocisków przeciwokrętowych Harpoon UGM-84L wraz z parą pocisków ćwiczebnych oraz przystosowaniem tajwańskich jednostek do nowego typu uzbrojenia. Wartość transakcji pozostaje nieznana, szacuje się, że mogła wynieść około 200 mln dolarów.

Na początku 2016 tajwańska marynarka wojenna zainicjowała poddanie obu okrętów modernizacji. „Life extension program” (LEP), który jest szacowany na ponad 12 mln dolarów, umożliwi pozostawienie jednostek w służbie do 2030 roku, kiedy zostaną zastąpione



TOM WANG / FOTOLIA

okrętami rodzimej konstrukcji. W ramach modernizacji i dozbrojenia zwaardvisów zamówiono w USA ciężkie torpedy Mk 48 Mod6 AT. Szczegóły transakcji nie są znane, wydaje się jednak, że tym razem amerykańska administracja działała w ekspresowym tempie.

Odmowa Holandii zdopingowała Tajpej do znalezienia nowego dostawcy okrętów podwodnych. W latach dziewięćdziesiątych oraz w pierwszej dekadzie XXI stulecia sondowano możliwość zakupu jednostek w Niemczech lub Hiszpanii. Jednak ani Berlin, ani Madryt nie chciały urazić Pekinu. Niespodziewanie w 2001 roku prezydent Stanów Zjednoczonych George W. Bush zaakceptował sprzedaż Tajwanowi ośmiu konwencjonalnych okrętów podwodnych. Już wtedy zwracano uwagę na to, że takich jednostek nie budowano w USA od dobrych 40 lat i będzie to poważne wyzwanie dla amerykańskich stoczní. Niemniej Tajwan wyraził spore zainteresowanie pomysłem i z nadzieją czekał na pozytywny rozwój sytuacji. Po raz kolejny wyspiarskie państwo miało się jednak zawieść. Kiedy po 11 latach sprawa nadal tkwiła w martwym punkcie, zniecierpliwiony prezydent Ma Ying-jeou ogłosił na początku 2012 roku plan samodzielnej budowy okrętów podwodnych. Ze względu na jego dobre stosunki z Chinami liczone na możliwość pozyskania partnerów zagranicznych.

PROGRAM NABIERA KSZTAŁTÓW

Wiosną 2013 roku tajwańska marynarka wojenna zleciła przeprowadzenie analizy wykonalności programu. Raport, obejmujący kosztorys, wstępny pro-



Produkcją okrętów podwodnych zainteresowany jest największy na wyspie koncern stoczniowy CSBC.

jekt oraz badanie możliwości zakupu specjalistycznego wyposażenia za granicą, miał być gotowy w ciągu czterech lat. Koszt całego przedsięwzięcia szacowano na 4,7 mln dolarów. Lokalne media informowały natomiast, że swoje ekspertyzy zamówił także największy na wyspie koncern stoczniowy CSBC. Podkreślano przy tym, że Tajwańczykom ciągle brakuje kluczowego know-how, dotyczącego projektowania i budowy samych okrętów, a także systemów walki, a nawet wyrzutni torped. Konieczne jest zbudowanie od podstaw całego zaplecza technicznego i badawczo-rozwojowego.

Działania podejmowano zaskakująco szybko. Już w pierwszych dniach stycznia 2014 roku marynarka wojenna zleciła lokalnym stoczniom dostarczenie do połowy roku studium opłacalności projektu. Zaczęto także poważnie mówić o samodzielnej modernizacji posiadanych jednostek. Prace te mają pomóc zdobyć konieczne doświadczenie, stąd też pozornie nieracjonalny pomysł unowocześnienia „Hai Shiha”. Zaledwie kilka miesięcy później, w kwietniu, minister obrony Yen Ming poinformował parlament, że Stany Zjednoczone są chętne do wspólnej budowy okrętów podwodnych. Zapowiedział także rozpoczęcie nacisków na Waszyngton w celu realizacji zaakceptowanego w 2001 roku planu budowy w USA ośmiu konwencjonalnych okrętów podwodnych. Minister zastrzegł przy tym, że nie oznacza to rezygnacji z prób zdobycia innych zagranicznych partnerów.

Na początku następnego roku wiceminister obrony Chiu Kuo-cheng ogłosił w parlamencie zatwierdzenie

ogólnych parametrów projektu, co oznaczało oficjalne uruchomienie programu. Resort zapowiedział rozpoczęcie w 2016 roku wstępnych prac, w tym projektowych, wycenianych na około 330 mln dolarów. Łączny koszt projektu szacowany był wówczas na prawie miliard dolarów. Nie podano jednak, kiedy miałyby ruszyć budowa prototypu. Na ówczesnym etapie mówiono o zamówieniu sześciu lub ośmiu jednostek. Na przełomie lipca i sierpnia 2016 roku w sukurs marynarce wojennej przyszedł CSBC, który otworzył Centrum Rozwoju Okrętów Podwodnych (SDCC). O jego randze świadczy budżet, który tylko do końca ubiegłego roku wyniósł 95 mln dolarów, a do końca 2020 roku ma się zamknąć kwotą 133,7 mln.

Wreszcie 5 kwietnia 2017 roku szef sztabu tajwańskiej marynarki wojennej Lee Tsung-hsiao potwierdził decyzję o pozyskaniu ośmiu okrętów podwodnych rodzimej konstrukcji. Projekt techniczny powinien być gotowy już w przyszłym roku, a wszystkie jednostki mają znaleźć się w służbie do 2027 roku.

ZASADA NIEWIDZIALNEJ RĘKI

Mimo licznych problemów i podstawowych wręcz trudności tajwański program budowy okrętów podwodnych jest realizowany zaskakująco sprawnie. Dowodzi to wyjątkowo wysokiego priorytetu, jaki mu nadano, czego potwierdzeniem jest również finansowanie prac. Jednocześnie wielu ekspertów powątpiewa, czy nieposiadającym odpowiedniego doświadczenia tajwańskim stoczniom uda się wykonać tak ambitny projekt, a przynajmniej uniknąć dużych opóźnień. Zdaniem prof. Liu Fu-kuo z Uniwersytetu Chengchi tempo dotychczasowych działań oraz wyśrubowane terminy sugerują, że tajwańska marynarka wojenna otrzymała wsparcie z zagranicy albo jest go pewna. Stany Zjednoczone już zadeklarowały pomoc, a administracja Donalda Trumpa wydaje się dużo bardziej chętna niż jej poprzednicy do sprzedaży zaawansowanego uzbrojenia Tajwanowi. Niewykluczony jest także udział innych państw.

Kontrakt na osiem okrętów podwodnych jest wyjątkowo lukratywny i nawet ograniczony w nim udział może przynieść wymierne zyski. Poza tym asertywna polityka Chin zaniepokoiła już wiele państw, chociażby Francję i Japonię, które mają bardzo bogate doświadczenia w budowie okrętów podwodnych. Nie można więc wykluczyć jakiegś dyskretnego pomocy dla Tajwanu. ■

PAWEŁ BEHRENDT jest publicystą portalu Konflikty.pl oraz ekspertem Centrum Studiów Polska-Azja.

NA PIERWSZEJ LINII FRONTU

Z Dariuszem Plutą

o skomplikowanym procesie zakupów nowego sprzętu i uzbrojenia oraz o pomysłach na usprawnienie go rozmawia Krzysztof Wilewski.



Silna armia to znakomicie wyposażeni żołnierze, mający do dyspozycji nowoczesne uzbrojenie. Nic dziwnego, że sporo inwestujemy w sprzęt. Jakże kontrakty zawarliśmy w tym roku?

Od początku roku zawarliśmy 95 umów na łączną kwotę około 5,5 mld zł. Najważniejsze zakontraktowane dostawy dotyczą mobilnych modułów stanowisk dowodzenia, aparatuwni cyfrowo-transmisyjnej RWŁC-10/T, samolotów średnich do przewozu najważniejszych osób w państwie, jednostek pływających służących do zabezpieczenia technicznego i prowadzenia działań ratowniczych na morzu, pojazdów dalekiego rozpoznania Żmija, samochodów średniej ładowności o wysokiej mobilności, karabinów wyborowych Bor, gogli oraz lornetek noktowizyjnych.

W najbliższym czasie Inspektorat Uzbrojenia planuje zawarcie kolejnych 54 umów, w tym na dostawy nowoczesnych niszczycieli min Kormoran, okrętu ratowniczego Ratownik, kierowanych pocisków rakietowych AIM-120C, urządzeń IP-Krypto oraz radiostacji Harris. Największym wyzwaniem jest doprowadzenie do zawarcia umów na dostawę przeciwlotniczych i przeciwrakietowych zestawów rakietowych średniego zasięgu Wisła oraz dywizjonowych modułów ognio- wych wyrzutni rakietowych Homar.

Czy Inspektorat Uzbrojenia MON to najważniejsza instytucja zajmująca się zakupem nowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego?

Każda instytucja zaangażowana w proces pozyskiwania sprzętu wojskowego na potrzeby Sił Zbrojnych RP

jest ważna, a Inspektorat Uzbrojenia odgrywa tu rolę wiodącą.

Istnieje on już prawie siedem lat. Jaka była geneza utworzenia tej instytucji?

Inspektorat Uzbrojenia jest dysponentem środków budżetowych trzeciego stopnia i zatrudnia około 400 osób, w tym 250 pracowników wojska. Został utworzony na mocy decyzji ministra obrony narodowej z 5 listopada 2010 roku w sprawie rozformowania Departamentu Zapatrywania Sił Zbrojnych, Biura Analiz Rynku Uzbrojenia, Terenowego Oddziału Techniki Morskiej oraz Oddziału Budowy i Modernizacji Okrętów i sformowania na ich bazie Inspektoratu Uzbrojenia, który przejął również zadania Departamentu Polityki Zbrojeniowej w dziedzinach prac rozwojowych oraz nadzoru nad dokumentacją techniczną.

Czym się zajmujecie?

Naszym głównym zadaniem jest przeprowadzanie faz analityczno-koncepcyjnych i realizacyjnych w procesie pozyskiwania sprzętu wojskowego. Zajmuje się tym pięć szefostw branżowych: uzbrojenia, techniki lądowej, techniki lotniczej, techniki morskiej, dowodzenia i łączności. W te prace włączają się także komórki zamówień zagranicznych, analityczne, kontrolne, sprawozdawcze, obsługi finansowej oraz prawnej.

Spore wyzwanie...

To prawda, ale na szczęście te skomplikowane operacje regulują przepisy, które są dla nas jak dziesięć przykazań



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

biblijnych. Proces pozyskiwania sprzętu wojskowego został określony w decyzji nr 141/MON z 5 lipca 2017 roku w sprawie systemu pozyskiwania, eksploatacji i wycofywania sprzętu wojskowego dla Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. W tym dokumencie zostali wymienieni również główni uczestnicy tego procesu i określono ich role w całym systemie. Samo pozyskiwanie sprzętu odbywa się na podstawie ustawy z 29 stycznia 2004 roku „Prawo zamówień publicznych”. W przypadku wyłączenia traktatowego [art. 346 „Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej”] bazujemy na procedurach opisanych w decyzji nr 346/MON z 14 września 2015 roku w sprawie zasad i trybu udzielania w resorcie obrony narodowej zamówień o podstawowym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa. Odmienne regulacje dotyczą zamówień w ramach FMS [program „Foreign Military Sales”] czy NSPA [NATO Support and Procurement Agency, Agencja Wsparcia Zamówień NATO]. Uwzględniamy również ustawę offsetową, przepisy dotyczące bezpieczeństwa i jakości produktów oraz obrotu sprzętem wojskowym.

Z jakich faz składa się proces zakupów nowego sprzętu wojskowego?

Pozyskiwanie sprzętu wojskowego w modelowym rozwiązaniu składa się z fazy identyfikacyjnej, analityczno-koncepcyjnej i realizacyjnej. Pierwsza obejmuje wykona-

nie zadań związanych z określeniem potrzeb dla osiągnięcia określonej zdolności operacyjnej wojsk oraz definiowaniem wymagań operacyjnych. Realizacja drugiej ma na celu wskazanie optymalnego sposobu zaspokojenia potrzeb Sił Zbrojnych RP. W wyniku przeprowadzonych analiz Inspektorat Uzbrojenia opracowuje dokumenty wynikowe: studium wykonalności oraz wstępne założenia taktyczno-techniczne lub doraźną analizę rynku, które stanowią merytoryczną podstawę pozyskania sprzętu wojskowego w fazie realizacyjnej. Z kolei jej celem jest pozyskanie określonego sprzętu wojskowego, prototypu, dokumentacji technicznej lub usług.

Kto jest zaangażowany w poszczególne fazy?

Sztab Generalny Wojska Polskiego odpowiada za realizację fazy identyfikacyjnej i kieruje całokształtem przedsięwzięcia z nią związanych. Do składu grup zadaniowych powoływanych do identyfikacji potrzeb dla zdolności operacyjnych i opracowywania wymagań operacyjnych włączani są przedstawiciele m.in. Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, Dowództwa Operacyjnego RSZ, Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej i Narodowego Centrum Kryptologii. W fazie analityczno-koncepcyjnej i realizacyjnej uczestniczą głównie przedstawiciele organizatora systemu funkcjonalnego, gestorów,

centralnego organu logistycznego, Zarządu Logistyki – P4 i Zarządu Planowania Rzeczowego – P8 Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i Wojskowego Biura Zarządzania Częstotliwościami. Szef Inspektoratu Uzbrojenia może powierzyć opracowanie dokumentów merytorycznych jednostkom naukowym, uczelniom, podmiotom przemysłowym, ekspertom oraz jednostkom organizacyjnym resortu obrony narodowej.

WIZYTÓWKA

PLK DARIUSZ PLUTA

Jest szefem Inspektoratu Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej. Wcześniej był m.in. dowódcą 1 Brygady Logistycznej i szefem Zarządu Planowania Logistycznego – J4 w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. W służbie wojskowej od 1984 roku. ■

Co nowego wniosła decyzja nr 141/MON do procesu pozyskiwania, eksploatacji i wycofywania sprzętu wojskowego i usług dla Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej?

Wejście w życie tej decyzji nie spowodowało radykalnych zmian w procedurach pozyskiwania sprzętu wojskowego, które są oparte głównie na rozwiązaniach zawartych w dokumentach NATO. Doprecyzowała jednak sposób realizacji pewnych czynności. Jedną z najważniejszych zmian jest postanowienie, że sekretarz stanu w MON nie kieruje systemem pozyskiwania uzbrojenia, lecz sprawuje nadzór nad jego funkcjonowaniem. Bardzo istotne jest wprowadzenie przepisów umożliwiających



ustalenie w uzasadnionych wypadkach odmiennego sposobu pozyskiwania sprzętu wojkowego niż określony w decyzji na każdym etapie realizacji zadania – ze względów technicznych, ekonomicznych lub organizacyjnych. Wprowadzono też regulacje upraszczające dokonywanie zmian w dokumentach – we wstępnych założeniach taktyczno-technicznych lub w doraźnej analizie rynku.

Czy zmieniły się kompetencje szefa Sztabu Generalnego?

Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego został wskazany jako odpowiedzialny za rozstrzyganie kwestii spornych powstałych podczas opracowywania i uzgadniania dokumentów merytorycznych w fazie analityczno-koncepcyjnej oraz realizacyjnej, co ma ogromne znaczenie w przypadku pozyskiwania złożonych systemów, w których występuje kilku gestorów. Bardzo istotna jest również zmiana dotycząca łącznego rozpatrywania kwestii dostaw sprzętu wojkowego wraz z infrastrukturą przeznaczoną do jego montażu i związana z jego funkcjonowaniem. Szef Inspektoratu Uzbrojenia dostał uprawnienie do podejmowania decyzji o przeprowadzeniu doraźnej analizy rynku nie tylko w przypadku realizacji pilnej potrzeby operacyjnej, lecz także pozyskiwania sprzętu o niewielkim stopniu złożoności technicznej. Zmieniła się również sama definicja pilnej potrzeby operacyjnej, co polega na odejściu od powiązania jej z trybem udzielania zamówienia z wolnej ręki.

Znaczne zmiany objęły również Departament Polityki Zbrojeniowej?

DPZ zawsze odgrywał ważną rolę w systemie pozyskiwania sprzętu wojkowego. Teraz uszczegółowiono uprawnienia dyrektora tego departamentu. Wprowadzono też zmiany dotyczące oceny występowania podstawowego interesu bezpieczeństwa państwa pod względem jego umiejscowienia czasowego oraz możliwości powtórzenia części fazy analityczno-koncepcyjnej. Dyrektor DPZ odpowiada za przygotowanie materiałów oraz przedstawia ministrowi obrony narodowej rekomendacje dotyczące wyłączenia zamówienia na podstawie art. 346 „Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej”.

Poszukujemy nowych rozwiązań, czego przykładem może być utworzenie zespołu programu „Wista”

A co z programami uzbrojenia? Znikają?

Tak. W decyzji nr 141/MON odstąpiono od przepisów normujących ustanowienie i realizację programów uzbrojenia. Dano jednak możliwość dostosowania procedur do potrzeb konkretnego zadania, co wydaje się rozsądniejszym i efektywniejszym rozwiązaniem.

Czy jest w takim wypadku problem z postępowaniami rozpoczętymi przed wejściem w życie decyzji nr 141/MON?

Sekretarz stanu na wniosek szefa IU może wyrazić zgodę na realizację spraw rozpoczętych i niezakończonych przed dniem wejścia w życie decyzji na podstawie dotychczas obowiązujących przepisów. Mamy już jednak przypadki, gdy w takich sprawach chcemy zastosować nowe regulacje, co wymaga uzyskania zgody sekretarza stanu w MON.

Węzły teleinformatyczne kupujemy pięć lat, BMS – siedem, systemy dowodzenia dla wojsk specjalnych podobnie długo. Takie przykłady można mnożyć bez końca. Dlaczego niektóre przetargi trwają tak długo?

Czas trwania procedur przetargowych w dużym stopniu jest uzależniony od stopnia skomplikowania przedmiotu zamówienia pod względem technicznym. Im bardziej złożony, składający się z wielu podsystemów, tym dłuższy czas trwania procedur i wynegocjowania wszystkich postanowień umowy. Często w trakcie postępowań są też identyfikowane różnice między wymaganiami Sił Zbrojnych RP a deklarowanymi przez potencjalnych

wykonawców możliwościami ich spełnienia. Wówczas następuje czasochłonny proces przeprowadzenia analizy możliwości zmiany wymaganych parametrów taktyczno-technicznych, których spełnienie przez wykonawców jest niemożliwe lub ekonomicznie nieuzasadnione. Kolejnym czynnikiem wydłużającym procedury pozyskania sprzętu wojskowego jest duża liczba podmiotów ubiegających się o udzielenie zamówienia. Każdą ofertę należy poddać szczegółowej analizie i ocenie, a następnie przeprowadzić negocjacje z potencjalnymi wykonawcami. Zdarzają się sytuacje, kiedy składane przez wykonawców oferty ostatecznie są odrzucane z uwagi na niespełnienie wymogów formalnych. Wówczas trzeba się liczyć z koniecznością unieważnienia postępowania i powtórzenia go. Na wydłużenie czasu przetargów znaczny wpływ mają również procedury odwoławcze do Krajowej Izby Odwoławczej i do sądu.

Czyli zarzuty, że IU MON nie wyrabia się z procedurami, są niezasadne?

Funkcjonujemy w określonej rzeczywistości formalno-etatowej. Liczba osób zatrudnionych w Inspektoracie Uzbrojenia nie jest wystarczająca do wykonania zadań związanych z przygotowaniem i przeprowadzeniem procedur o udzielenie zamówień oraz nadzorem i rozliczaniem zawartych umów. Jednocześnie mnogość regulacji prawnych i stopień skomplikowania zapisów w nich zawartych uniemożliwiają przyspieszenie realizacji zadań. Poszukujemy jednak nowych rozwiązań, czego przykładem może być utworzenie zespołu programu „Wisła”. Jest to kilkunastoosobowa struktura odpowiedzialna za pozyskanie i wdrożenie systemu do Sił Zbrojnych RP, w tym przygotowanie i przeprowadzenie procedury zamówienia, a po podpisaniu umowy – za integrację systemu z otoczeniem sprzętowym, przygotowanie infrastruktury, struktury organizacyjno-etatowej, zabezpieczenia logistycznego i szkolenia. Dostrzegam potrzebę powołania kolejnych zespołów – do programów „Orka” czy pancernego.

Staramy się też czynnie uczestniczyć w pracach prowadzonych pod auspicjami Ministerstwa Rozwoju nad koncepcją nowego prawa zamówień publicznych. Mamy konkretne propozycje odnośnie do wprowadzenia regulacji dotyczących zamówień w dziedzinie obronności. Jest m.in. propozycja uelastycznienia budżetu na programy modernizacyjne niewygasającego z upływem roku budżetowego.

Dlaczego niektóre przetargi są otwarte dla wszystkich firm, a w innych mogą startować tylko podmioty państwowe albo tylko polskie?

O tym, czy do postępowania o udzielenie zamówienia będzie zaproszona ograniczona liczba podmiotów, decyduje wynik analizy prowadzonej w resorcie obrony narodowej, który musi wykazać, że w związku z danym zamówieniem konieczna jest ochrona podstawowych interesów bezpieczeństwa państwa. Wówczas wykonawcą zamówienia mogą być podmioty, które spełniają wymagania zawarte w decyzji nr 92/MON z 21 marca 2014 roku w sprawie szczegółowego trybu postępowania w zakresie kwalifikacji zamówień i oceny występowania podstawowego interesu bezpieczeństwa państwa. Samo zamówienie natomiast przeprowadza się według procedury szczególnej, wynikającej z postanowień decyzji nr 367/MON z 14 września 2015 roku. Również inne okoliczności wpływają na wybór konkretnego wykonawcy zamówienia. Takim przykładem może być wskazanie określonego podmiotu w razie zastosowania przewidzianego w prawie zamówień publicznych trybu z wolnej ręki, gdy na rynku obiektywnie istnieje jeden wykonawca mogący spełnić wymagania zamawiającego albo gdy przedmiotem zamówienia jest wznowienie lub uzupełnienia dostaw.

Jakiego rodzaju przetargów jest najwięcej?

Najwięcej jest postępowań dotyczących zamówień realizowanych na podstawie ustawy z 29 stycznia 2004 roku „Prawo zamówień publicznych”. Zgodnie z nią mogą być one wykonywane w trybach podstawowych, tj. przetargu ograniczonego albo negocjacji z ogłoszeniem. W pewnych określonych sytuacjach mogą być również realizowane w trybie dialogu konkurencyjnego, negocjacji bez ogłoszenia lub z wolnej ręki.

W jakim trybie kupujemy uzbrojenie od Amerykanów, np. rakiety JASSM?

Rakiety JASSM pozyskujemy w ramach amerykańskiego programu „Foreign Military Sales”, ale realizujemy również umowy z Agencją Wsparcia Zamówień NATO – NSPA. Umowy FMS dotyczą dostaw specjalistycznego sprzętu produkcji amerykańskiej, który jest dostępny wyłącznie w kanale międzyrządowym lub jego zakup jest finansowany ze środków pomocowych przyznanych Polsce przez rząd USA [środki Foreign Military Fund – FMF]. Za pośrednictwem NSPA pozyskujemy sprzęt, który nie jest produkowany w kraju. Dzięki niskim kosztom operacyjnym NSPA i wykorzystaniu efektu skali przy konsolidacji zamówień z innych krajów sojuszu północnoatlantyckiego, należących do organizacji NSPO [NATO Support and Procurement Organisation], kupujemy sprzęt po bardzo atrakcyjnych cenach. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

To nie przełom, to rewolucja!

**Paliwem przyszłości, następcą
bardzo toksycznej hydrazyny, może być
nadtlenek wodoru, który ta substancja
wyparła z rynku w 1945 roku.**

Kiedy pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych ubiegłego wieku inżynierowie na całym świecie rozpoczęli badania nad silnikami odrzutowymi, szybko wyodrębniły się dwa ośrodki, które mogły się pochwalić osiągnięciami – zespoły naukowców skupionych wokół Brytyjczyka Franka Whittle’a i niemieckiego konstruktora Hansa von Ohaina. I chociaż to Whittle pierwszy opatentował swój napęd, to Niemcom udało się zbudować nie tylko pierwszy wojskowy samolot odrzutowy – Heinkel He 178, lecz także myśliwiec użyty bojowo – czyli Messerschmitt Me 262. Oni też opracowali i wdrożyli do służby odrzutowe pociski dalekiego zasięgu z rodziny V.

KOSMICZNA KONKURENCJA

Niemieckie sukcesy to w dużej mierze zasługa nie tyle inżynierów lotnictwa, ile sztabu chemików, którzy wynaleźli substancje do napędzania silników raketowych. Jedną z nich był nadtlenek wodoru, który w trzyprocentowym stężeniu znany jest jako woda utleniona. Niemcy do napędzania samolotów (silniki Walter HWK R.II o ciągu 7,5 kN), a także później pocisków raketowych V2 oraz okrętów podwodnych, używali z kolei nadtlenku wodoru o stężeniu 60%. Największą jego wadą było jednak to, że zapewniał zbyt mało energii w stosunku do oczekiwań lotnictwa. Tamtejsi inżynierowie do końca II wojny światowej pracowali nad pa-

liwem o lepszych właściwościach termicznych, czyli zapewniających wyższą temperaturę spalania, a zatem i większą energię. Dużą nadzieję pokładali w hydrazynie, bardzo toksycznej cieczy, która w ciągu kilku milisekund osiąga temperaturę 800°C. Jest też bardziej wydajna, bo potrzeba jej znacznie mniej niż 60-procentowego nadtlenku wodoru.

Po zakończeniu II wojny światowej specjaliści pracujący na rzecz nazistowskiego przemysłu raketowego niejako stali się łupem USA i Rosji. I choć do Stanów Zjednoczonych trafili ci z najwyższego szczebla, z samym Hansem von Ohainem na czele, to i w Rosji znaleźli się znakomici inżynierowie, dzięki którym tamtejszy program raketowy nie odbiegał od amerykańskiego. Ze względu na to „nazistowskie wzmocnienie” nie należy się dziwić, że w obu konkurujących ze sobą państwach wybrano hydrazynę jako jedno z podstawowych paliw raketowych.

POSZUKIWANIE NASTĘPCY

Hydrazyna królowała w przemyśle kosmicznym przez prawie siedem dekad! Od kilkunastu lat Europejska Agencja Kosmiczna za strategiczny cel wyznaczyła sobie opracowanie nowego typu paliwa. Robi to ze względu na ochronę środowiska, bo hydrazyna jest zaliczana do substancji o wyjątkowej toksyczności. Nie tylko powoduje silne podrażnienie oczu, skóry i błon śluzowych układu oddechowego,





NADTLENEK WODORU



Hydrazynę może zastąpić
nadtlenek wodoru o stężeniu

98%

Stężenie przekłada się na temperaturę spalania i przy 98% osiąga ona prawie 1000°C, a gdy stężenie wynosi 89–90%, to już tylko około 700 stopni. W tym wypadku 300 stopni różnicy to nie przełom w badaniach, to rewolucja!

obrzęk płuc, bóle głowy i śpiączkę, lecz także może uszkodzić wątrobę, nerki i centralny układ nerwowy. Co więcej, to substancja bardzo rakotwórcza. Drugim powodem jest poszukiwanie bardziej efektywnych rozwiązań pod względem termicznym i ekonomicznym. Hydrazyna bowiem trochę waży, a każdy kilogram wynoszony na orbitę w rakiecie kosztuje krocie.

Hydrazynę może zastąpić nadtlenek wodoru, ale nie w stężeniu 60-procentowym, używanym przez Niemców w czasie II wojny światowej, albo 80-procentowym, który stosowali Brytyjczycy do utleniania nafty będącej paliwem kosmicznym, lecz 98-procentowym! Skąd ta zmiana? Stężenie przekłada się na temperaturę spalania i przy 98% osiąga ona prawie 1000°C, a gdy stężenie wynosi 89–90%, to już tylko około 700 stopni. W tym wypadku 300 stopni różnicy to nie przełom w badaniach, to rewolucja!

POLSKIE SUKCESY

Dla jasności, 98-procentowy nadtlenek wodoru nie jest substancją nową. Znany jest już od kilkudziesięciu lat, ale do tej pory inżynierowie nie potrafili sobie poradzić z bezpieczną produkcją na przemysłową skalę, co uniemożliwiało szersze jego zastosowanie w napędach raketowych. Wśród wielu państw pracujących nad tym zagadnieniem jest Polska. I wiele wskazuje na to, że to właśnie nam przypadnie zwycięstwo w tym wyścigu.

Firma Jakusz Spacetech (spółka córka firmy Jakusz, produkującej pojemniki przeciwybuchowe dla polskiej armii) razem z Instytutem Lotnictwa opracowała metodę bezpiecznej przemysłowej produkcji 98-procentowego nadtlenku wodoru (HTP). Chociaż specjaliści z tego konsorcjum nie chcą zdradzić szczegółów, to nieoficjalnie wiadomo, że kluczem do sukcesu okazała się próżnia, w której odbywa się destylacja składników.

Polski wynalazek to nie tylko opatentowana idea, lecz także istniejący towar, którym bardzo interesuje się Europejska Agencja Kosmiczna (ESA). Zleciła ona konsorcjum polskich podmiotów, któremu przewodzi Jakusz, a ponadto tworzą je: Instytut Lotnictwa, Instytut Przemysłu Organicznego, Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych, Instytut Materiałów Polimerowych i Barwników, Instytut Metali Nieżelaznych oraz Instytut Nowych Syntezy Chemicznych, gruntowne przebadanie polskiego HTP. Za badania, które potrwać do końca 2018 roku, ESA zapłaci ponad milion euro. Czas pokaże, czy 98-procentowa woda utleniona stanie się raketowym paliwem przyszłości. Jeśli substancja spełni oczekiwania ESA, to Polska z pariasa w zdobywaniu przestrzeni kosmicznej (bo nawet własnego satelity nie mamy) błyskawicznie awansuje do ścisłej światowej czołówki. ■



BALT MILITARY EXPO

15. BAŁTYCKIE TARGI MILITARNE



GDĄŃSK 25-27 CZERWIEC **2018** amber
expo

WWW.BALTMILITARY.PL



MTG
MIĘDZYNARODOWE
TARGI GDAŃSKIE SA

DYREKTOR PROJEKTU: **MAREK BUCZKOWSKI**
TEL. 58 554 92 13, 693 448 814, FAX 58 554 93 13
MILITARY@MTGSA.COM.PL

ARABIA SAUDYJSKA

Wielka transakcja

Departament Stanu USA wyraził zgodę na sprzedaż Arabii Saudyjskiej systemu obrony przeciwra-
kietowej THAAD za 15 mld dolarów. W grę wchodzi dostawa m.in. 44 wyrzutni, 16 stanowisk dowodzenia, siedmiu radarów i 360 rakiet. Arabia Saudyjska kupuje większość uzbrojenia od USA, niemniej postanowiła nabyć broń za ponad 3 mld dolarów również od Rosji. Największą transakcją będzie zakup co najmniej czte-

rech batalionów systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwra-
kietowej S-400 za około 2 mld dolarów. Podpisany w październiku w Moskwie protokół uzgodnień przewiduje, że w Arabii Saudyjskiej będą produkowane przeciwpancerne pociski kierowane Kornet-EM, 24-pro-
wadnicowe wyrzutnie raketowe TOS-1A, granatniki automatyczne AGS-30 oraz karabinki szturmowe AK-103 wraz z amunicją. TED ■



U S A R M Y

E L D I S
P A R D U B I C E

CZECHY

Nowe radary

**Lotnisko wojskowe
w Pardubicach zyskało nowy
zestaw radarów RPL-2000
o zasięgu do 50 km.**

RUMUNIA

Ambitne plany

Rumunia zamierza wzmocnić swój potencjał obronny i podjęła decyzję o zakupie nowych systemów uzbrojenia. We wrześniu minister obrony Mihai Fifor zapowiedział, że jeszcze przed końcem tego roku zostanie zamówiony pierwszy system obrony powietrznej Patriot. Rumunia prowadzi też rozmowy z USA w sprawie kupna

36 samolotów wielozadaniowych F-16. Tymczasem 6 października w 86 Bazie Lotniczej Locotenent aviator Gheorghe Mociorniță w Festi uroczyste przejęto ostatnie trzy z 12 F-16AM/BM odkupionych od Portugalii, wojska lądowe zaś mają otrzymać kolejnych dziesięć kołowych transporterów opancerzonych Piranha III. WR ■

Producentem jest mająca siedzibę w tym mieście firma ELDIS Pardubice Ltd. We wrześniu 2016 roku podpisała ona kontrakt na dostawę czterech RPL-2000. Pozostałe trzy będą dostarczone do listopada 2018 roku. Zostaną zamontowane na lotniskach Praga-Kbely, Čáslav i Náměšť nad Oslavou. Zestaw RPL-2000 składa się z trzech radarów – dwóch obserwacyjnych (pierwotnego i wtórnego) oraz precyzyjnego podejścia (naprowadzania do lądowania). WR ■

INDONEZJA

Kaplan MT na defiladzie

Z okazji święta indonezyjskich sił zbrojnych 5 października w Cilegon na Jawie odbyła się defilada, podczas której oficjalnie zaprezentowano nowy średni czołg Kaplan MT. Prototyp pojazdu opracowała turecka firma FNSS Savunma Sistemleri we współpracy z indonezyjską PT Pindad. W maju tego roku czołg pokazano na wystawie zbrojeniowej IDEF

w Stambule, a we wrześniu dostarczono go do Indonezji. Jak podał turecki dziennik „Daily Sabah”, Pindad zamierza wyprodukować do końca 2018 roku **20 średnich czołgów**. Kaplany zastąpią w siłach zbrojnych Indonezji francuskie wozy AMX-13.

Turecki czołg wywodzi się z bojowego wozu piechoty Kaplan, z którego wykorzystano podwozie.



F N S S

Osadzono na nim wieżę Cockerill 3105 belgijskiej firmy CMI Defence, z armatą kalibru 105 mm.

FNSS podaje, że stosunek mocy do masy wynosi 20 KM/t. Pojazd porusza się na drogach z prędkością do 70 km/h, a jego zasięg wynosi 450 km. W ■



Drugi rok programu Leopard 2PL

Wkrótce minie druga rocznica rozpoczęcia procesu modernizacji czołgów Leopard 2A4 do standardu 2PL, największego tego typu przedsięwzięcia realizowanego na rzecz Sił Zbrojnych RP. Angażuje ono kilka firm należących do Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., z Zakładami Mechanicznymi „BUMAR-ŁĄBĘDY” S.A. na czele, a także ich zagranicznych kooperantów, wśród których Rheinmetall Landsysteme GmbH ma status partnera strategicznego.

Bazowa umowa między Inspektorem Uzbrojenia MON a konsorcjum w składzie: Polska Grupa Zbrojeniowa S.A. i Zakłady Mechaniczne „BUMAR-ŁĄBĘDY” S.A. została podpisana już prawie dwa lata temu, bo 28 grudnia 2015 roku. Jej wartość brutto wynosi około 2,415 mld zł. Przewiduje ona przeprowadzenie do 30 listopada 2020 roku modernizacji 128 czołgów podstawowych Leopard 2A4 do wersji 2PL (z opcją na modernizację do 30 listopada 2021 roku kolejnych 14 sztuk).

Ważnym elementem całego programu jest uzyskanie przez polski przemysł potencjału gwarantującego wsparcie cyklu funkcjonowania zmodernizowanych czołgów, opartego na transferze technologii i z nim związanego. ZM „BUMAR-ŁĄBĘDY” S.A. mają odpowiadać także za diagnostykę, przeglądy F6 i naprawy wynikowe systemów wieżowych oraz podwozi.

Poza tym mają zostać zrealizowane dodatkowe przedsięwzięcia: modernizacja trenerów i symulatorów Ośrodka Szkolenia Leopard w Świątoszowie; dostarczenie pakietu logistycznego umożliwiającego zapewnienie wsparcia eksploatacji czołgów, takiego jak: narzędzia specjalne MES-3, modyfikacja i opracowanie w niezbędnym zakresie, ale często od podstaw, dokumentacji technicznej zmodernizowanego czołgu oraz dokumentacji technicznej symulatorów i trenerów; przekazanie pakietu szkoleniowego obejmującego szkolenie załóg wozów i instruktorów oraz personelu technicznego.

Poza Zakładami Mechanicznymi „BUMAR-ŁĄBĘDY” S.A. w realizacji programu biorą udział także inne przedsiębiorstwa Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Najważniejsze z nich to:

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. z Poznania, realizujące także naprawy zespołów napędowych;

PCO S.A., które dostarczą dwie kamery termowizyjne K LW-1 Asteria do modernizowanych celowników działonowego i przyrządu obserwacyjnego dowódcy, a także zestaw kamery KDN-1 Nyks do obserwacji przestrzeni z tyłu czołgu;

Zakłady Mechaniczne Tarnów S.A. i ZM „Bumar-Mikulczyce”, odpowiadające za produkcję i dostawy elektrycznych napędów obrotu wieży oraz układów stabilizacji uzbrojenia EWNA;

Rosomak S.A., odpowiedzialne za kompletację i dostawę elementów dodatkowego opancerzenia wieży;

Ośrodek Badawczo-Rozwojowy OBRUM Sp. z o.o. z Gliwic, mający przeprowadzić naprawy wynikowe i modernizację znajdujących się w kraju symulatorów oraz trenerów.

Proces weryfikacji stanu technicznego czołgu przejmowanego do modernizacji jest realizowany w trzech etapach. Pierwszy odbywa się w jednostce wojskowej podczas odbioru czołgu od dotychczasowego użytkownika. Drugi jest przeprowadzany w ZM „BUMAR-ŁĄBĘDY” S.A. Zakres prac obejmuje wówczas: próbę trakcyjną na dystansie 5 km, sprawdzenie stanu i działania hamulców oraz układu zawieszenia, kontrolę rolek podtrzymujących, sprawdzenie zespołu napędowego i instalacji elektrycznej, kontrolę lufy, karabinów maszynowych, układu ochrony przed bronią masowego rażenia, sprawdzenie układu dymotwórczego, układu uszczelniania do pokonywania przeszkód wodnych po dnie i akumulatorów. Realizacja trzeciego etapu ma miejsce podczas demontażu czołgu, połączonego ze szczegółową weryfikacją stanu technicznego oraz w fazie demontażu uszkodzonych systemów/zespołów/podzespołów (w zakładzie wiodącym lub u podwykonawcy).



Aktualny stan modernizacji Leoparda do standardu 2PL zaprezentowany został podczas tegorocznego XXV MSPO.



Określa się w jego trakcie stopień wyeksploatowania wybranych zespołów i podzespołów, uznanych za niesprawne podczas sprawdzeń drugiego etapu (rekomendacja – naprawa lub wymiana). Dopiero przeprowadzenie wszystkich trzech etapów weryfikacji stanu technicznego pozwala określić zakres niezbędnych prac naprawczo-remontowych.

Należy podkreślić, że kiedy Ministerstwo Obrony Narodowej przejęło czołgi od Bundeswehry (pierwsza partia w latach 2002–2003, druga 2014–2015), nie zagwarantowało sobie w zawartych porozumieniach przekazania jakiegokolwiek dokumentacji konstrukcyjnej oraz remontowej. Doprowadziło to do całkowitego uzależnienia się w dziedzinie serwisu, napraw i dostaw części zamiennych od firm niemieckich (KMW, Rheinmetall i ich poddostawcy). Należało więc z większą siłą uruchomić działania mające na celu polonizację Leopardów służących w Siłach Zbrojnych RP. Tego typu prace zostały zainicjowane w ZM „BUMAR-ŁABĘDY” S.A. i teraz we własnym zakresie są opracowywane m.in.: dokumentacja technologiczna towarzysząca procesowi demontażu, technologia wstępnej weryfikacji kompletnego czołgu, demontażu ele-

mentów podwozia oraz demontażu elementów wieży, dokumentacja towarzysząca weryfikacji stanu technicznego. W ramach przystosowania infrastruktury technicznej Zakładów Mechanicznych „BUMAR-ŁABĘDY” S.A. m.in. kupiono narzędzia specjalistyczne MES-3 (90 sztuk), podjęto samodzielną produkcję narzędzi specjalistycznych i oprzyrządowania (w tym: 12 stojaków montażowych wieży, 5 stojaków transportowych wieży, 6 kompletów stojaków montażowych podwozia, 6 kompletów stojaków do testowania power-packa, 12 stojaków transportowych celownika EMES, 12 stojaków transportowych przyrządu PERI). Zorganizowano także pięć stanowisk demontażu podwozia, pięć stanowisk demontażu wieży i dwa stanowiska szkoleniowe. Przeprowadzono również remont i modernizację hali wydziału prób poligonowych i infrastruktury zakładowego poligonu.

Śmiało można stwierdzić, że proces modernizacji czołgu Leopard 2A4 do wersji 2PL przebiega zgodnie z przyjętym harmonogramem. Nad całością prac związanych z tym ważnym dla sił zbrojnych przedsięwzięciem czuwa zespół sterujący, który został powołany 22 lutego 2016 roku w Inspektoracie Uzbrojenia MON. ■

OCHRONA INFRASTRUKTURY KRYTYCZNEJ BEZPIECZEŃSTWO GRANIC MODERNIZACJA SŁUŻB MUNDUROWYCH CYBERBEZPIECZEŃSTWO BEZPIECZEŃSTWO WENĘTRZNE

Międzynarodowa wystawa i konferencja

insec

15-16 listopada 2017, Warszawa

www.insec.ztw.pl

PATRONAT HONOROWY



Minister
Spraw Wewnętrznych
i Administracji
Mariusz Błaszczak



Arkadiusz Czarotorski
Przewodniczący Sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych

RAFAŁ
CIASTOŃ

Wiek pary



Dla marynarek wojennych i flot handlowych XIX stulecie było tym ostatnim, w które weszły pod znakiem żagla. Dzięki opatentowanej w 1769 roku przez Jamesa Watta maszynie parowej oraz pomysłowi na jej zastosowanie, na jaki wpadł amerykański inżynier Robert Fulton, napędzane początkowo kołem, a wkrótce już śrubą okręty i statki opanowały morza i oceany.

Początkowo nic nie zapowiadało sukcesu – sam Fulton nie wzbudził wystarczającego zainteresowania ani u Napoleona Bonaparte, dla którego przez pewien czas pracował, ani wśród Brytyjczyków, a po tryumfie eskadry (żaglowej) adm. Nelsona pod Trafalgarem zdecydował się porzucić Stary Kontynent i wrócić do Stanów Zjednoczonych. W 1807 roku zbudował tam pierwszy komercyjny statek parowy, służący do przewozu pasażerów między Nowym Jorkiem a Clermont. W czasie wojny z Brytyjczykami w latach 1812–1815 Fulton zaprojektował również pierwszy parowy okręt wojenny, ale nie został on ukończony przed jego śmiercią ani nawet przed końcem wojny.

Okręty parowe wchodziły do linii w Royal Navy, najpotężniejszej flocie owego czasu, od lat dwudziestych XIX wieku. A jak wiadomo, cechą wspólną wielu innowacyjnych czy wręcz rewolucyjnych wynalazków jest opór, który początkowo napotykały one we wdrożeniu. Nie inaczej było z parowcami. Ich podstawową zaletą była oczywiście zdolność do pokonywania trasy niezależnie od warunków pogodowych, tj. siły i kierunku wiatru, jednak miały również swe ograniczenia. Pierwszym był rodzaj napędu – koło boczne nie nadawało się do jednostek wojennych, było bowiem zarówno łatwe do zniszczenia, jak i ograniczało możliwość rozmieszczenia uzbrojenia. Rozwiązaniem okazała się śruba napędowa. USS „Princeton”, pierwszy napędzany nią okręt, wyszedł w morze w 1842 roku. Cztery lata wcześniej brytyjski bocznokołowiec „Sirius” jako pierwszy przeplłynął Atlantyk, nie korzystając z pomocy żagla, co zajęło mu zaledwie 18 dni.

Drugim problemem był służący do opalania kotłów węgiel. Aby móc w pełni korzystać z zalet nowego napędu, mocarstwa kolonialne, takie jak Wielka Brytania czy Francja, w późniejszym okresie także Stany Zjednoczone i II Rzesza, podjęły decyzje o rozbudowie sieci baz, gdzie jednostki mogły uzupełniać zapasy.

Początkowo wiele budowanych okrętów i statków to były jednostki o mieszanym, parowo-żaglowym napędzie. Kolejnym etapem rewolucji stało się zastosowanie opancerzenia na pokładzie okrętów, a wkrótce całkowite porzucenie drewna na korzyść żelaza i stali, co przyczyniło się także do ostatecznego odejścia od żagli. W 1859 roku Francuzi zwodowali opancerzoną jednostkę „La Glorie”. Wcześniej doraźnie opancerzano okręty w czasie wojny krymskiej. W 1862 roku, podczas wojny secesyjnej, Konfederaci opancerzyli fregatę „Merrimack”. Uzbrojona m.in. w taran (sic!), po przemianowaniu na CSS „Virginia”, zaskoczyła flotę Unii na wodach Hampton Roads, gdy w pierwszym dniu bitwy zatopiła dwa jej okręty. Sytuację uratowało dopiero przybycie pancernych jednostek Północy, m.in. „Monitora”, od którego wzięła wkrótce nazwę nowa klasa okrętów. Wiek pary i stali stał w pełni rozpoczęty.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ CYBERZAGROŻENIA

TEMIDA W SIECI

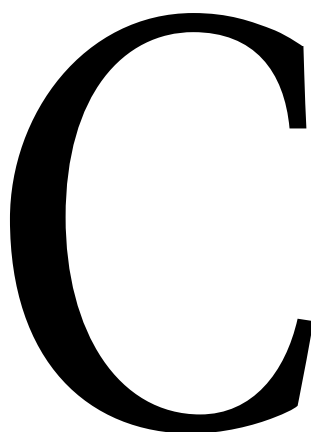
Z Wiesławem Goździewiczem

**o różnicach między cybersuwerennością a suwerennością
i narzędziach, jakie mają państwa do ich obrony, rozmawia
Krzysztof Wilewski.**



PIOTR ADAMOWICZ / FOTOLIA





zym, według Pana, jest cybersuwerenność?

Jest możliwością niezakłóconego funkcjonowania danego państwa w cyberprzestrzeni. Nie ma różnicy między suwerennością w ujęciu klasycznym a tą w cyberprzestrzeni. Jedna i druga obejmuje swobodę decydowania o systemie politycznym, społecznym, gospodarczym, kulturowym. Samostanowienie narodów jest jednym z przejawów suwerenności, a jej kluczowym aspektem jest swoboda kształtowania polityki zagranicznej.

Nie ma zatem różnic między cybersuwerennością a suwerennością?

Są, ale nie pod względem prawnym. Różnice sprowadzają się do kwestii praktycznych. Chociażby takiej jak brak terytorium w cyberprzestrzeni. Aspekt ten może obejmować tylko infrastrukturę sieciową, która fizycznie może być zlokalizowana na terenie danego państwa.

Czy kwestia cyberzagrożeń jest regulowana przez prawo międzynarodowe?

Punktem wyjścia do tego typu rozważań powinny być dwa istotne z politycznego punktu widzenia dokumenty. Deklaracja ze szczytu NATO w Newport, w której państwa sojuszu północnoatlantyckiego potwierdziły, że prawo międzynarodowe ma zastosowanie do cyberprzestrzeni w całej rościągłości, a w szczególności dotyczy to prawa konfliktów zbrojnych. Jak również to, że atak cybernetyczny... Chociaż ja nie lubię tego określenia...

A jakie Pan woli?

Incydent cybernetyczny, ewentualnie kryzys cybernetyczny. Słowo „atak” ma pewne impli-

kacje prawne, ale o tym może później. Wróćmy do szczytu w Walii. W deklaracji sojusz potwierdził, że w odpowiedzi na atak cybernetyczny, może podjąć decyzję o odpowiedzi w trybie artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego. Decyzja w tej sprawie będzie podejmowana po analizie każdego przypadku. Jeżeli chodzi o artykuł 5, NATO nie działa automatycznie.

Czyli dokładnie tak samo jak w wypadku ataku militarnego?

Tak. Decyzja o uruchomieniu artykułu 5 musi zapaść w drodze konsensusu wszystkich 29 państw członkowskich. Wielokrotnie podkreślałem, że sojusz nie zdefiniował kryteriów, które musiałby spełniać dany incydent cybernetyczny, żeby został uznany za atak zbrojny. Tutaj dochodzimy do sedna problemu. Atak zbrojny to jest bowiem sytuacja, która umożliwia działanie w ramach indywidualnej bądź zbiorowej samoobrony państwa. Czy to w trybie artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego, czy też artykułu 51 Karty Narodów Zjednoczonych. Dopiero wówczas, gdy zostanie podjęta decyzja o uznaniu incydentu cybernetycznego za atak zbrojny, użyłbym określenia „atak cybernetyczny”.

O jakie kryteria konkretnie chodzi?

Propozycja kryteriów, które mogą stanowić podstawę do uznania danego incydentu cybernetycznego za atak, jest zawarta w pierwszej wersji podręcznika tallińskiego opracowanego w 2013 roku przez Centrum Doskonalenia Obrony Cybernetycznej NATO [NATO Cooperative Cyber Defence Centre of Excellence], który dotyczy prawa międzynarodowego mającego zastosowanie w wypadku cybernetycznych działań zbrojnych. To jest propozycja. Sojusz północnoatlantycki będzie decydował o każdym przypadku osobno i może kierować się zaleceniami podręcznika tallińskiego, ale



KRZYSZTOF WILEWSKI

nie musi. To będzie decyzja polityczna każdego z państw członkowskich. I jeżeli dany incydent cybernetyczny zostanie uznany za atak zbrojny, chodzi o atak cybernetyczny porównywalny do konwencjonalnego, to z prawnego punktu widzenia będzie proste. Będzie miało wtedy zastosowanie prawo konfliktów zbrojnych, czyli cztery konwencje genewskie i pierwszy protokół dodatkowy.

A co z państwami nienależącymi do NATO?

Tutaj wzorcem postępowania jest deklaracja odnośnie do zastosowania prawa międzynarodowego w cyberprzestrzeni, którą przyjęto w 2015 roku w tzw. raporcie konsensusu oenzetowskiej rządowej grupy ekspertów ds. bezpieczeństwa systemów informatycznych. W tym dokumencie rekomendowano przyjęcie norm i zasad odpowiedzialnego zachowania państw w cyberprzestrzeni.

Przyjęto je?

Niestety prace kolejnej grupy ekspertów, które toczyły się w latach 2016–2017, zakończyły się fiaskiem. Nie było konsensusu z powodu obstrukcji ze strony Rosji i Chin.

Czy Rosja nie chciała żadnych regulacji w tej sprawie?

Nie. Ona od samego początku prac w rządowej grupie ekspertów dążyła do tego, aby ONZ rekomendowała przy-

WIZYTÓWKA

KMDR POR. WIESŁAW GOŹDZIEWICZ

W 2009 roku przydzielony został do Joint Force Training Centre w Bydgoszcy – Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO w Bydgoszcy, gdzie poza codzienną obsługą prawną prowadzi szkolenia dotyczące praktycznych aspektów międzynarodowego prawa humanitarnego i prawnych aspektów operacji wojskowych, w kontekście działań zarówno konwencjonalnych, jak i cybernetycznych oraz w przestrzeni kosmicznej.

jęcie konwencji, traktatu, który regulowałby zasady wykorzystywania cyberprzestrzeni w sposób podobny, jak czyni to Konwencja Narodów Zjednoczonych o prawie morza czy traktat o przestrzeni kosmicznej. Chodzi o to, żeby traktować cyberprzestrzeń jako wspólne dobro, ze swobodami wykorzystania i obowiązkiem niemilitaryzacji cyberprzestrzeni.

Niemilitaryzacji? Przecież te państwa mają wojskowe jednostki cybernetyczne...

Trudno się oprzeć wrażeniu, że działania podejmowane przez Rosję, a także przez Chiny oraz Koreę Północną przeczą słowom jej przedstawicieli w rządowej grupie ekspertów. Te państwa dążą do wykorzystywania militarnie cyberprzestrzeni albo wręcz do jej militaryzacji.

Jakie będą konsekwencje obstrukcji Rosji i Chin?

Na pewno na jakiś czas rozwój instrumentów prawa międzynarodowego w tej dziedzinie został zahamowany. I bez woli politycznej raczej nic się nie zmieni, bo ONZ to ciało kolegialne, a Chiny i Rosja są stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa.

Kto jest liderem w cybernetycznym wyścigu zbrojeń?

Posłużę się jedną z myśli przewodnich ostatnich ćwiczeń CWIX, odbywających się co roku w Bydgoszcy



największych w NATO manewrów systemów dowodzenia i łączności. Otóż sojusz jako taki jest silniejszy niż suma sił narodowych potencjałów jego państw członkowskich.

Taka zasada jest powtarzana jak mantra przez dowództwo NATO w sprawie zdolności militarnych, liczby żołnierzy, czołgów. Ma ona również zastosowanie do cyberbezpieczeństwa?

W mojej ocenie tak. Nie ma znaczenia, czy mówimy o siłach konwencjonalnych, czy operacjach cybernetycznych. Sojusz jako taki zawsze będzie silniejszy od jednego państwa, nawet tak dużego jak Rosja czy Chiny. Nie należy również zapominać o tym, że ewolucja podejścia NATO do działań w cyberprzestrzeni nie zaczęła się trzy lata temu, podczas szczytu w Walii. Tak naprawdę zaczęła się w 2002 roku na szczycie w Pradze, a pierwsze konkretne decyzje zapadały na tym w Rydze w 2006 roku.

Chyba jako pierwsi zareagowali Amerykanie?

Tak. Oni w 2009 roku utworzyli United States Cyber Command, US CYBERCOM, czyli amerykańskie dowództwo cybernetyczne, a rok wcześniej uznali cyberprzestrzeń za domenę operacyjną, z wszystkimi tego konsekwencjami.

Jakimi?

Amerykanie od 2008 roku nie kryją się z tym, że muszą mieć w dziedzinie cyberprzestrzeni narzędzia, a może raczej możliwości, do realizacji działań zarówno defensywnych, jak i ofensywnych.

Ale ofensywnych w rozumieniu kontruderzenia?

Tak. Polska ma podobne cele. Opracowana w 2015 roku przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego „Doktryna cyberbezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej” również przewiduje, że Polska będzie dążyła do pozyskania zdolności cybernetycznych w razie ewentualnego kontruderzenia cybernetycznego.

Czy atak w wirtualnej przestrzeni można zaliczyć do działań hybrydowych?

Jeżeli spojrzymy na to, w jaki sposób sojusz północnoatlantycki zdefiniował taką aktywność, która przewidyje wykorzystanie całego spektrum działań militarnych i niemilitarnych, mających na celu osiągnięcie określonych celów strategicznych i politycznych, ataki w cyberprzestrzeni można do nich zakwalifikować. Przykładem są wydarzenia z Estonii w 2007 roku. Motyw polityczny ataku na tamtejszą infrastrukturę teleinformatyczną był bardzo jasny – niedopuszczenie do przeniesienia pomni-

ków i cmentarzy czerwonoarmistów w mniej eksponowane miejsca.

Kto stał za tymi atakami? Mówi się, że była to oddolna inicjatywa rosyjskich hakerów.

Cóż, działania na Krymie też rzekomo zostały zainspirowane i przeprowadzone przez lokalnych patriotów. Oczywiście możemy wierzyć, że to były oddolne, indywidualne inicjatywy żołnierzy przebywających tam akurat na urlopach czy podróżujących do rodziny.

A mundury można łatwo kupić w każdym sklepie militarnym...

Właśnie. Można wierzyć we wszystko, ale trzeba zachować odrobinę zdrowego rozsądku. Osobiście więc nie wierzę, że w 2007 roku w Estonii mieliśmy do czynienia ze spontaniczną, oddolną akcją. W 2015 roku firma F-Secure, czołowy europejski producent oprogramowania antywirusowego, szyfrującego etc., opublikowała raport, w którym dość jasno wykazała związki rosyjskich hakerów z grupy o nazwie „The Dukes” z najwyższymi urzędnikami Kremla.

Jakie są obecnie największe wyzwania w dziedzinie cyberbezpieczeństwa, nie tylko dla NATO, ale chyba dla całego świata?

Przede wszystkim jest to opracowanie norm i zasad zrównoważonego, odpowiedzialnego funkcjonowania państw w cyberprzestrzeni. Ważne jest jednak, aby nie doprowadzić do przeregulowania kwestii prowadzenia operacji cybernetycznych w czasie konfliktu zbrojnego. Tutaj mamy wystarczające regulacje. Dlatego inicjatywy takie jak cyfrowa konwencja genewska uważam za przerost formy nad treścią.

Kolejnym wyzwaniem jest znalezienie równowagi między bezpieczeństwem a swobodami obywatelskimi, w szczególności prawem do prywatności. Z jednej strony mamy monitoring, dane telekomunikacyjne, a z drugiej prawo do ochrony wizerunku, korespondencji, do swobody wypowiedzi. To jest dylemat, który dotyczy nie tylko cyberbezpieczeństwa, lecz także bezpieczeństwa w ogóle.

Trzecim, według mnie chyba najważniejszym, wyzwaniem, jest doprowadzenie do sytuacji, w której jasno będziemy wiedzieli, kto stoi za danymi incydentami cybernetycznymi. Gdy nie tylko państwa, ale i podmioty sektora prywatnego będą współpracować, aby zdemaskować i ujawnić motywy działania decydentów stojących za incydentami cybernetycznymi. W efekcie już nie będzie wątpliwości, iż odpowiada za nie dane państwo, a zgromadzone dowody będą tak klarowne, że wypieranie się będzie nieskuteczne. ■



Exatel

TELEKOMUNIKACYJNE BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Dajemy klientom pełną kontrolę nad cyberprzestrzenią. Zapewniamy wsparcie na każdym etapie współpracy. Wierzymy, że właściwe zrozumienie potrzeb to podstawa dobrych relacji biznesowych. Dobrze znamy rynek teleinformatyczny.

KIM JESTEŚMY



100% Spółka
Skarbu Państwa



Nadzór Ministerstwa
Obrony Narodowej



20 lat doświadczenia
na rynku telekomunikacyjnym



20 000 km światłowodu,
druga co do wielkości sieć
w Polsce

W CZYM SIĘ SPECJALIZUJEMY



Usługi
telekomunikacyjne



Cyberbezpieczeństwo



Budowa i utrzymanie
sieci światłowodowej

DLA KOGO PRACUJEMY



Służby mundurowe



Sektor publiczny



Biznes



Operatorzy
telekomunikacyjni

www.exatel.pl

Exatel SA, ul. Perkuna 47, 04-164 Warszawa
tel.: 22 340 66 60, e-mail: bok@exatel.pl



EXATEL

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

CYFROWA AWANGARDA

Wojska cybernetyczne mają liczyć tysiąc żołnierzy.

Obronę w przestrzeni wirtualnej ma nam zapewnić nowa formacja – wojska cybernetyczne. W ostatnich latach stała się ona bowiem piątym wymiarem działań militarnych, obok lądu, wody, powietrza i kosmosu. Za ten nowy kierunek rozwoju polskiej armii ma odpowiadać biuro ds. organizacji polskich oddziałów cybernetycznych. Powstanie takiej placówki ogłosił minister Antoni Macierewicz podczas XXV Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach.

ODDZIAŁY CYBERNETYCZNE

Zadaniem biura będzie przygotowanie skutecznie działających polskich żołnierzy cybernetycznych. Jak informuje Oddział Mediów Centrum Operacyjnego MON, wojska będą dysponowały komponentem CYBEROPS, zdolnym do obrony przed atakami teleinformatycznymi prowadzonymi w cyberprzestrzeni, oraz komponentem INFOOPS, którego zadaniem będzie ochrona przed operacjami informacyjnymi (w tym psychologicznymi) prowadzonymi w tej sferze.

„Ucyfrowienie naszego codziennego funkcjonowania powoduje, że bezpieczeństwo cybernetyczne ma coraz większe znaczenie nie tylko dla wojska, lecz także dla całego społeczeństwa. Dlatego w miarę możliwości i posiadanych kompetencji będziemy współpracować z każdą in-

stytucją, również biurem ds. organizacji polskich oddziałów cybernetycznych”, mówi kmr por. Czesław Cichy z Wydziału Działań Komunikacyjnych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Na współpracę z biurem ds. organizacji polskich oddziałów cybernetycznych liczy też Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej. Gen. bryg. Wiesław Kukuła zwraca uwagę, że w erze rewolucji naukowo-technicznej zagrożenia konwencjonalnym konfliktem zbrojnym są wypierane przez te nowej generacji, jak np. wojna hybrydowa. „Z tego typu zagrożeniami powinno walczyć całe państwo. Aby skutecznie się im przeciwstawić, potrzebne są nowe narzędzia, w tym cyfrowe. Zdolności cybernetyczne muszą być rozwijane w całych siłach zbrojnych”, podkreśla generał.

Za zaopatrzenie polskiej armii w specjalistyczny sprzęt gwarantujący bezpieczeństwo cybernetyczne będzie odpowiadać nowo powołana spółka Qbit, która ma również koordynować prace spółek z Polskiej Grupy Zbrojeniowej, których produkcja wiąże się z działalnością w cyberprzestrzeni. Według słów ministra, Qbit ma być „integratorem walki i obrony w cyberprzestrzeni”.

NATOWSKIE STANDARDY

Cyberobrona jest dla sojuszu północnoatlantyckiego jednym z priorytetów, co potwierdza podpisanie dokumentu w tej sprawie w 2014 roku na szczycie w Newport.

CYBERPRZE- STRZEŃ JEST W NIE MNIEJSZYM STOP- NIU TERYTORIUM DZIAŁAŃ OPERACYJ- NYCH NIŻ LĄD, MORZE, POWIETRZE CZY KOSMOS

We „Wzmocnionej polityce cyberobrony” stwierdzono, że NATO uznaje istniejące normy prawa międzynarodowego za obowiązujące w świecie wirtualnym. Podkreślono również, że cyberataki mogą powodować zniszczenia podobne do tych, które są wynikiem działań konwencjonalnych, dlatego w takim wypadku może zostać przywołany artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego.

Podczas warszawskiego szczytu NATO w 2016 roku stwierdzono, że we współczesnym świecie cyberprzestrzeń jest w nie mniejszym stopniu terytorium działań operacyjnych niż ląd, morze, powietrze czy kosmos. Niszczenie zdolności strategicznych funkcjonowania państwa uznano za działania militarne, chociaż w takich atakach oddziały nie używają czołgów czy karabinów i nie dochodzi do aneksji czyjegoś terytorium. Minister Macierewicz zapewnił, że resort będzie działał w tej sferze na rzecz bezpieczeństwa i zdolności obronnych Polski oraz sojuszników. Na cyberbezpieczeństwo ma zostać przeznaczone z budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej 2 mld złotych.

Oddział Mediów Centrum Operacyjnego MON informuje, że wojska do działań w cyberprzestrzeni zachowają interoperacyjność z istniejącymi rodzajami wojsk sił zbrojnych. Planuje się także ścisłą współpracę ze specjalistami i ekspertami spoza resortu obrony. ■

TOMASZ OTŁOWSKI

**Nie ma już miejsca
na sentymenty. Zaczęła się
brutalna, męska rozgrywka,
niczym w klasycznym,
hollywoodzkim westernie.
Rosyjski niedźwiedź pokazał
pazury. Wielka gra mocarstw
zyskała nowy wymiar.**

ROSYJSKI CIEN WUJA SAMA

Wczesnym rankiem 25 września 2017 roku na terenie dopiero co odbitej z rąk Państwa Islamskiego (IS) gazowni Conoco, położonej na wschodnich dalekich przedmieściach aglomeracji Deir ez-Zor, dowództwo lokalnego oddziału Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF) szykowało się do rutynowej, codziennej odprawy. Jak zwykle uczestniczyli w niej także amerykańscy doradcy – żołnierze sił specjalnych, oficjalnie odgrywający rolę łączników między SDF a międzynarodową koalicją zwalczającą IS. W tym samym czasie z bazy syryjskich sił powietrznych (SyAAF) w Tadmur (Palmyra) startowały właśnie dwie syryjskie maszyny typu Su-24 oraz klucz rosyjskich samolotów szturmowych Su-25. W powietrzu, już w drodze na wschód, nad Pustynią Syryjską dołączyła do nich jako osłona para wielozadaniowych Su-35 z bazy w Hmejmim w Latakii. Zgodnie z późniejszym komunikatem ministerstwa obrony Fede-

racji Rosyjskiej celem operacji samolotów bojowych rosyjskich Sił Powietrzno-Kosmicznych (WKS FR) było wyeliminowanie „punktu dowodzenia i łączności IS w kompleksie gazowym Conoco”. Na szczęście, w chwili gdy rosyjskie bomby spadały na budynek, w którym znajdowało się lokalne dowództwo SDF, nie było już tam Amerykanów. Opuścili zagrożony rejon dosłownie kilkanaście minut wcześniej, unikając niechybnej śmierci pod gruzami zawałonego w wyniku nalotu obiektu.

PROSTA DROGA DO WOJNY

Wrzesień 2017 roku z całą pewnością przejdzie do historii jako okres, w którym doszło do ważnych (a nierzadko wręcz przełomowych) wydarzeń w wielu regionach świata. Uwagę społeczności międzynarodowej, zwłaszcza na Zachodzie, przykuwały przede wszystkim narastające rakietowo-atomowe eskcesy reżimu północnokoreańskiego, eska-





lujące napięcie w relacjach z sąsiadami KRL-D i Stanami Zjednoczonymi, a także zagrożenie terrorystyczne ze strony ekstremistów islamskich w Europie Zachodniej, wciąż utrzymujące się na wysokim poziomie. Spora część krajów europejskich z niepokojem śledziła również przygotowania i przebieg – zapowiadanych jako największe od kilku dekad – rosyjsko-białoruskich manewrów wojskowych „Zapad '17”.

Wszystko to sprawiło jednak, że nieco w cieniu, poza głównym obszarem zainteresowania mediów i szerszej opinii publicznej, znalazły się wydarzenia równie ważne, bo mające przemożny wpływ na bezpieczeństwo międzynarodowe w skali całego globu, a ponadto wpisujące się w niepokojące procesy, obserwowane od dłuższego czasu przez ekspertów. Przede wszystkim chodzi tu o narastającą w szybkim tempie rywalizację geopolityczną między Stanami Zjednoczonymi a Rosją w regionie Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Choć problem stopniowo zwiększających się różnic w interesach, a także politycznej konfrontacji między USA a FR nie jest nowy i daje o sobie znać co najmniej od chwili przejścia władzy na Kremlu przez Władimira Putina, to w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy widać wyraźne pogorszenie relacji między obydwojoma państwami, m.in. właśnie w kontekście wydarzeń w Lewancie. W sytuacji ogólnego ochładzania się wzajemnych stosunków politycznych i dyplomatycznych między mocarstwami, to właśnie w Syrii i w jej najbliższym otoczeniu mają od pewnego czasu miejsce najbardziej dramatyczne i gorące wydarzenia, w których tle przewija się coraz bardziej zażarta rywalizacja rosyjsko-amerykańska. Zdarzenia takie w znaczącym stopniu zawężają margines bezpieczeństwa w działaniach obu mocarstw i zbliżają je do granicy, poza którą znajduje się już otwarta konfrontacja militarna.

EN GARDE!

Sytuacje podobne do tej, jaka miała miejsce w syryjskich zakładach przetwórstwa gazu Conoco, zdarzają się coraz częściej – już co najmniej kilkakrotnie amerykańscy specjaliści albo żołnierze korpusu Marines operujący w północno-wschodniej Syrii znajdowali się

na celowniku rosyjskiego lotnictwa bojowego lub pod ogniem syryjskiej artylerii. Ale Amerykanie również nie są całkiem bez winy. Oddziały SDF, korzystając z precyzyjnego rozpoznania pola walki dostarczanego im przez amerykańskiego sojusznika, mogą coraz skuteczniej razić swym ogniem artyleryjskim syryjskie siły rządowe, a wraz z nimi – rosyjskich „doradców” i instruktorów.

Zirytowana skutecznością tych działań Moskwa posunęła się nawet do publicznego oskarżenia Waszyngtonu o cichą współpracę z islamistami z kalifatu, co ponoć miało się pośrednio przyczynić do śmierci gen. Walerego Asapowa, najwyższego, jak dotąd, rangą rosyjskiego żołnierza poległego w Syrii, który zginął pod koniec września tego roku w wyniku ostrzału IS, rzekomo kierowanego przez siły USA. Jakby tego było mało, niepotwierdzone doniesienia z Syrii wskazują, że trwa tam także regularne współzawodnictwo między amerykańskimi a rosyjskimi jednostkami sił specjalnych, przypominające zabawę w kotka i myszkę. Na razie bez strat w ludziach, choć ponoć bywa naprawdę gorąco, i to nie tylko ze względu na klimat.

Zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie coraz częściej doprowadzają w Syrii do sytuacji, które stawiają ich na skraju otwartej wojny. I choć wszyscy obserwatorzy wciąż chcą wierzyć, że to tylko wynik rosnącej aktywności i intensywności działań bojowych obu stron (formalnie prowadzonych wyłącznie przeciwko Państwu Islamskiemu) oraz szybko kurczącego się teatru działań operacyjnych w Syrii, to jednak uważna analiza przebiegu tych wypadków nie pozostawia złudzeń – w wielu z nich z premedytacją dążono do eskalacji sytuacji. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, jaki jest cel takich działań i co chce się w ten sposób uzyskać, tak w wymiarze militarnym, jak i politycznym.

Nietrudno sobie bowiem wyobrazić, jakie konsekwencje polityczne i propagandowe miałyby śmierć amerykańskich żołnierzy wskutek rosyjskiego nalotu bombowego lub Rosjan poległych w wyniku działań amerykańskich „doradców”. Geopolityczne skutki takiego zdarzenia byłyby z pewnością znacznie poważniejsze niż następstwa przypadkowego zestrzelenia rosyjskiego bombowca przez Turcję jesienią 2015 roku. Inaczej niż wówczas, dzisiaj sprawa dotyczyłaby bowiem bezpośrednio dwóch wielkich



Dla Rosjan wrogiem numer jeden konsekwentnie pozostają NATO, a także Stany Zjednoczone, z którymi walkę prowadzi się na całym świecie.



ZARÓWNO TRUMP, JAK I PUTIN TRAKTUJĄ GEOPOLITYCZNE INTERESY SWEGO PAŃSTWA ŚMIERTELNIE POWAŻNIE

mocarstw globalnych, praktycznie od zawsze skłóconych i dających się głęboką nieufnością oraz zazarcie rywalizujących o wpływy i pozycję w różnych punktach globu, nie tylko w Lewancie. Relacje między USA a Rosją są obecnie najgorsze od momentu rozpadu Związku Sowieckiego i zakończenia zimnej wojny, można zatem żywić obawy, iż ewentualna śmierć kilku żołnierzy jednej ze stron, spowodowana przez bezpośrednie działania drugiej, nosiłaby wszelkie znamiona „casus belli”. Ze wszystkimi tego konsekwencjami dla bezpieczeństwa międzynarodowego w wymiarze ogólnosiwiatowym.

STRATEGICZNA SZERMIERKA

Bliski Wschód, zwłaszcza Syria, nie są jednak jedynymi miejscami, gdzie rywalizacja między Moskwą a Waszyngtonem przybiera dzisiaj coraz bardziej niebezpieczne formy. Do zaostrzenia interakcji obu strategicznych adwersarzy dochodzi także w wielu innych punktach globu. Praktycznie wszędzie tam, gdzie krzyżują się interesy i oddziaływania Rosji oraz USA, mamy już dzisiaj do czynienia z radykalizacją działań z obu stron, a nierzadko i balansowaniem na granicy otwartej wojny, podobnym do tego z Syrii. Oprócz osławionych „harców” rosyjskich szturmowców nad czubkami masztów amerykańskich okrętów wojennych na wodach Bałtyku, takie niepokojące zjawiska można obserwować zarówno w Azji Południowej (Afganistan) i na Zakaukaziu (Gruzja), jak też w Europie Wschodniej (Ukraina), Środkowej (wschodnia flanka NATO) czy wreszcie w Arktyce.

Co jednak sprawiło, że relacje rosyjsko-amerykańskie – w zasadzie od zawsze niepoprawne i dalekie od stanu normalności – nagle stały się aż tak bardzo nieprzyjazne, a chwilami wręcz jawnie wrogie? Czy zasadne jest zrzuć odpowiedzialności za taki stan rzeczy wyłącznie na nową administrację amerykańską i kontrowersyjnego prezydenta Donalda Trumpa? Wszak między Moskwą a Waszyngtonem źle się zaczęło dziać już wiele lat temu. Jak się wydaje, dobrym kluczem do zrozumienia działań Moskwy w środowisku międzynarodowym jest ich analiza pod kątem geopolitycznym. Rosja bowiem konsekwentnie i skutecznie realizuje w swej strategii międzynarodowej interesy i cele wynikające wprost z uwarunkowań własnej

geopolityki, prowadząc twardą, realistyczną politykę zagraniczną. Wiele wskazuje na to, że do takiej samej polityki powróciły właśnie także i Stany Zjednoczone.

Z punktu widzenia klasycznej geopolityki, Federacja Rosyjska, będąc największym pod względem obszaru państwem świata, rozciągającym się na olbrzymich połaciach Eurazji – już tylko z tego jednego względu jest kolosem na glinianych nogach. Państwem zbyt dużym, aby dało się nim skutecznie zarządzać przez jeden centralny ośrodek władzy, krajem bez szans na w pełni efektywne wykorzystanie swojego potencjału ekonomicznego, społecznego itd. Dzieje się tak od zawsze, bez względu na to, jak – w sensie polityczno-ustrojowym – jest zorganizowane państwo rosyjskie i jego struktury. Te same fundamentalne strategiczne problemy dotyczyły bowiem Rosję zarówno za caratu, jak i w czasach istnienia Związku Sowieckiego.

Niewiele pod tym względem zmieniło się również po upadku Sowietów – tak w okresie chaosu „demokracji jelicynowskiej”, jak i o obecnie, w czasach „demokracji suwerennej” Putina. Problemy strukturalne, komunikacyjne i polityczne są nadto wzmacniane ekstremalnie trudnymi warunkami geomorfologicznymi na sporej części obszaru państwa i równie surowym klimatem, a ostatnio także dramatycznie złą sytuacją demograficzną. Co więcej, dzisiejsze oparcie ekonomii Rosji na produkcji i eksporcie surowców naturalnych, głównie ropy naftowej i gazu, sprawia, że najmniejsze nawet perturbacje na światowych rynkach, skutkujące spadkiem ceny, odbijają się negatywnie na dochodach do kasy państwowej. Blokują też niezbędne reformy gospodarki w kierunku zwiększenia jej innowacyjności i zróżnicowania struktury wewnętrznej.

W efekcie tak niekorzystnych uwarunkowań strukturalnych każda władza w Rosji od zawsze musiała uciekać do przodu, aby pozostać u steru rządów. Różnie to wyglądało w zależności od okresu historycznego i konkretnych uwarunkowań strategicznych: raz był to intensywny podbój ziem ościennych (rozszerzający władztwo Moskwy na nowe tereny, a więc tym samym pogłębiający i multiplikujący dotychczasowe problemy), innym razem podejmowano próby wcielania w życie nieludzkich ideologii. Zawsze jednak władarze Kremla musieli utrzymywać swych pod-

danych – obywateli w ciągłej presji i strachu przed zagrożeniem zewnętrznym, realnym bądź wymaginowanym, mobilizującym zdwojenie wysiłków jednostek na rzecz państwa oraz uzasadniającym nadzwyczajne prerogatywy dla władzy i nadzwyczajne środki jej sprawowania. Spowodowało to, że Rosjanie od dawna uważają się za odrębną cywilizację (w czym duże zasługi miała oryginalna koncepcja Rusi jako „trzeciego Rzymu” i przekonanie o nadzwyczajności moskiewskiego prawosławia), do tego nieustannie zagrożona przez cały świat zewnętrzny. Niebezpieczeństwem tym należało przeciwdziałać, utrzymując odpowiednio duży potencjał militarny i tworząc jak największe „strefy buforowe” między rosyjskim „heartlandem” a źródłem zagrożeń, tradycyjnie już (od XVI wieku) upatrywanym przez Rosjan głównie na Zachodzie.

Nie inaczej jest i dzisiaj – obecne władze FR celowo i z premedytacją eksploatują wszystkie utrwalone w świadomości Rosjan stereotypy dotyczące roli i pozycji ich kraju w świecie, także w kontekście ciągłego zagrożenia z Zachodu. Wrogiem numer jeden konsekwentnie pozostają NATO, a także Stany Zjednoczone, z którymi walkę prowadzi się na całym świecie. Według Kremla, interes geopolityczny Rosji wymaga bowiem, aby wrogów osłabiać wszędzie tam, gdzie to możliwe – w Europie, ale też w Iraku i Afganistanie, w Azji Wschodniej, a nawet na Kubie, gdzie przy okazji testuje się nowe technologie militarne (broń soniczna?) i skutecznie torpeduje odwilż na linii Hawana – Waszyngton.

Należy też poszukiwać sojuszników i sprzymierzeńców dzielących rosyjską percepcję rzeczywistości globalnej, a także tworzyć strategiczne przyczółki w postaci baz i instalacji militarnych w kluczowych regionach świata. Szczególne znaczenie w tym kontekście mają dla Rosji te regiony Eurazji, które dają szansę na prowadzenie kolejnych tras przesyłu surowców energetycznych, jak Europa Południowa i Bałkany, ale także Kaukaz czy właśnie Lewant (a szerzej – cały Bliski i Środkowy Wschód).

Geopolityczne aksjomaty determinują również ciągłe dążenie Rosji do odgrodzenia się od potencjalnych adwersarzy obszarem Europy Wschodniej i Środkowej, uważanym w Moskwie za „naturalną” rosyjską strefę wpływów. Stąd też konsekwentnie stały sprzeciw Rosji wobec rozszerzania sojuszu północnoatlantyckiego na wschód, artykułowany zwłaszcza pod koniec ubiegłego wieku, a także wobec obecnej rozbudowy jego potencjału na wschodniej flance. Z tego również wynika sprzeciw wobec zmiany geopolitycznego kursu, podjętej przez Ukrainę w 2014 roku. I skryte marzenie o restauracji status quo sprzed 50 lat, gdy wpływy Moskwy sięgały aż po Łabę – choć według niektórych doradców kremlowskich, np. Aleksandra Dugina, ideałem byłby

stan podobny do tego z 1815 roku, kiedy to rosyjscy Kozacy poili swoje konie w Sekwanie u stóp paryskiej katedry Notre Dame.

ZIMNO, CORAZ ZIMNIEJ...

Warto w tym kontekście odnotować, iż w geopolityce Rosji pojawił się ostatnio nowy element, który znacząco wpływa na zmianę sposobu myślenia władzy Kremla o pozycji FR. Dotychczas bowiem jednym z aksjomatów rosyjskiej myśli strategicznej było przekonanie o braku zagrożeń na kierunku północnym – wieczne zamarznęta i niedostępna Arktyka i tereny podbiegunowe miały gwarantować bezpieczeństwo, przynajmniej w konwencjonalnym ujęciu zagrożeń militarnych. Teraz, wskutek szybko postępującego ocieplenia klimatu na półkuli północnej, oznaczającego rosnącą dostępność obszaru Arktyki dla żeglugi morskiej, ta zasada przestaje obowiązywać. Coraz częściej jest to przyczyną zwiększonej drażliwości i asertywności Moskwy wobec Europy Północno-Wschodniej, tym bardziej że wiele państw skandynawskich, nawet tych formalnie neutralnych, już otwarcie flirtuje z NATO, co w połączeniu ze wzmacnianiem wschodniej flanki sojuszu tworzy całkowicie nową jakość strategiczną w całym regionie.

Niemniej jednak wydarzenia ostatnich lat – rosyjska agresja na Gruzję, aneksja Krymu czy niemal jawne zaangażowanie Rosji po stronie separatystów z Donbasu oraz militarna eskapada do Syrii – dobitnie pokazały, że Władimir Putin traktuje geopolityczne interesy swego państwa niezwykle poważnie. I jako twardy realista nie blefuje, kiedy dąży do umocnienia pozycji swego kraju. Dopóki jednak miał przeciwko sobie wyłącznie miękkich liderów zachodnich, wierzących w „objawienia” Fukuyamy o „końcu historii”, dopóty mógł maskować swe prawdziwe cele i zamiary, umiejętnie wplatając je w działania propagandowe i medialne.

Obecnie, gdy w Białym Domu zasiada konserwatywny i autentycznie realizujący swe przedwyborcze zapowiedzi Donald Trump, maski opadły. Zaczęła się brutalna, męska rozgrywka, niczym w klasycznym, hollywoodzkim westernie. Trump – ten „homo novus” amerykańskiej polityki – zdaje się chyba znacznie lepiej wyczuwać prawdziwe intencje i geopolityczne tło działań Putina niż jego poprzednicy na urzędzie prezydenta USA. Stąd tak zdecydowane działania Amerykanów w Syrii, Europie Środkowej i Wschodniej czy Skandynawii. Rosjanie trafili wreszcie na równego, godnego siebie przeciwnika, a globalna wielka gra mocarstw zyskała nowy wymiar. Trzeba mieć tylko nadzieję, że ta geopolityczna rozgrywka, toczona na pustyniach Syrii, stepach wschodniej Ukrainy i w lodach Arktyki, nie przerodzi się w gorący konflikt zbrojny. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Cena niepodległości

Iraccy Kurdowie jeszcze nigdy nie byli tak blisko utworzenia własnego państwa, ale cena, którą przyjdzie im zapłacić za niepodległość, może się okazać bardzo wysoka.

Irbil, iracki Kurdystan. Jeszcze niedawno biegnącą wokół starożytnej cytadeli ulicę Qalat blokował kolorowy tłum. Młodzież przybrana w narodowe barwy Kurdystanu przypominała raczej grupę rozradowanych kibiców celebrujących zdobyte trofeum, niż demonstrantów znanych ze stolic Europy. Mężczyźni z flagami wchodzili na dachy trąbiących ciężarówek bądź popisywali się na specjalnie udekorowanych motocyklach. Wtórowały im kobiety, których bujne włosy opadały na policzki z wymalowanymi flagami Kurdystanu. W powietrzu przebiegały się skandowane hasła „Chcemy niepodległości, nie wojny!”, „Tak dla niepodległego Kurdystanu!”, „Naprzód wolny Kurdystan!”. W pewnym momencie do tłumy dołączyli patrolujący miasto peszmergowie. Mimo że społeczność międzynarodowa na kurdyjskie referendum niepodległościowe patrzyła z dystansem, tamtej wrześnieowej nocy świętował cały Irbil.

Pamiętająca imperium Sumerów cytadela była świadkiem wielu historycznych wydarzeń. Niezależnie jednak od tego, kto stanowił władzę w tym regionie, nie było wymarzonego przez

Kurdów państwa. Niewiele brakowało, by sen o niepodległości ziścił się tuż po pierwszej wojnie światowej, ale podpisany w 1923 roku traktat lożański włączył obiecaną Kurdom ziemię w tureckie granice. Pomijając istniejącą niespełna rok Republikę Mahabadzką (państwo Kurdów powstałe i zarazem upadłe w 1946 roku na terenie Iranu), cień nadziei na niepodległe państwo pojawił się dopiero kilkadziesiąt lat później w sąsiednim Iraku. Po pierwszej wojnie w rejonie Zatoki Perskiej Kurdowie zyskali autonomię (ta istniała fikcyjnie od lat siedemdziesiątych), a po 2003 roku jako równorzędny partner Zachodu uczestniczyli w budowie nowego Iraku. Dzięki determinacji oraz wsparciu sojuszników, konstytucyjnie usankcjonowali istnienie Kurdyjskiego Rządu Regionalnego, co w praktyce pozwoliło stworzyć struktury przypominające państwo. To właśnie w 2005 roku ówczesny prezydent autonomii Dżalal Talabani ogłosił pierwsze referendum niepodległościowe. Mimo dwóch milionów głosów oraz sięgającego 99% poparcia głosowanie pozostało nieformalne, a jego wyniki zbojkotowano na arenie międzynarodowej.

MICHAŁ ZIELIŃSKI





Ubrudzone tuszem palce stały się symbolem referendum. W ten sposób oznaczano osoby biorące udział w głosowaniu.

Paradoksalnie, nowe możliwości przyniosła Kurdom ekspansja tzw. Państwa Islamskiego. Kiedy w 2014 roku armia iracka ustępowała pod naporem nacierających terrorystów, oddziały peszmergów przy wsparciu sił międzynarodowej koalicji zdołały utrzymać terytorium należące do Kurdyjskiego Rządu Regionalnego, a nawet powiększyć je o blisko 40%. W efekcie pod kontrolę Kurdów trafił m.in. Kirkuk wraz ze znajdującymi się wokół niego szypami naftowymi. Bagdad już w tym czasie ostro potępił ruch Kurdów, jednak ze względu na ekstremalnie trudną sytuację w regionie słowa te nie miały żadnego pokrycia.

PRAWO NIE DLA KURDÓW

Wiele tygodni przed wyznaczonym na 25 września referendum iracki Kurdistan ogarnął prawdziwy szal. Za organizacją tego głosowania stał Masud Barzani, aktualny prezydent autonomii i zarazem lider największej kurdyjskiej partii – Demokratycznej Partii Kurdystanu. Przekładane od 2014 roku referendum miało stać się faktem i wszystko wskazywało na to, że Barzani nie ugnie się pod naciskiem swoich przeciwników. Mimo że jego działania budziły mieszane odczucia także wewnątrz autonomii, ostatecznie zyskał poparcie opozycyjnej Patriotycznej Unii Kurdystanu

oraz większości Kurdów zamieszkujących Iran, Syrię i Turcję. Z drugiej strony grzmiał Bagdad. Grzmiała Ankara. Grzmiał Teheran. Nawet Stany Zjednoczone, wieloletni sojusznik irackich Kurdów, wyraziły sprzeciw.

„Dlaczego mamy zwlekać? Jeżeli będziemy czekać na pełną stabilizację regionu, stracimy bardzo dużo czasu. Zławsza że to nasz ruch może przyczynić się do tej stabilizacji”, mówił niewzruszony Masud Barzani w wywiadzie dla telewizji France 24. „Osobiście nie słyszałem z Zachodu żadnego głosu potępienia referendum. Nasi sojusznicy wyrażają jedynie swoje zaniepokojenie. Podobnie jak Iran czy Turcja. Czy to przestępstwo, że Kurdowie w demokratyczny i pokojowy sposób chcą zdecydować o swojej przyszłości? Mówimy tutaj o prawach człowieka. Dlaczego mają one nie dotyczyć Kurdów?”, argumentował Barzani.

Pomimo licznych sprzeciwów oraz nacisków zarówno regionalnych, jak i światowych mocarstw, referendum ostatecznie przeprowadzono. Do urn poszło ponad 3,3 mln z 4,5 mln uprawnionych do głosowania obywateli autonomii. Przez cały dzień kobiety i mężczyźni stawiali się w szkołach, komisariatach oraz innych placówkach publicznych, które na ten czas zostały przeobrażone w punkty do głosowania. Ponad 92% głosujących

JESZCZE NIEDAWNO BIEGNĄCĄ WOKÓŁ STAROŻYTNEJ CYTADELI ULICĘ QALAT BLOKOWAŁ KOŁOROWY TŁUM

opowiedziało się za niepodległym państwem oraz włączeniem w jego granice regionów spornych. Obawy o zamachy terrorystyczne oraz zamieszki okazały się bezpodstawne, jednak nie obyło się bez poważnych incydentów. Podczas jednego z nich, w Kirkuku, zastrzelono nastolatka usiłującego wywiesić kurdyjską flagę.

Fakt, że rząd w Bagdadzie nie zmienił stanowiska i uznał referendum za niekonstytucyjne, nie jest zaskoczeniem. „Decyzje dotyczące kształtu oraz przyszłości Iraku muszą być podejmowane przez wszystkich jego obywateli. Jeżeli Kurdowie chcą dialogu, muszą unieważnić głosowanie oraz jego wyniki”, mówił iracki premier Hajdar al-Abadi. Za jego słowami stała groźba blokady lotniczej autonomii, jeżeli Irak nie odzyska kontroli nad jej zewnętrznymi granicami. Kurdowie pozostali nieugięci. Mimo odmiennych pomysłów na państwo oraz różnic światopoglądowych pomoc zadeklarowała działająca na terenie Turcji Partia Pracujących Kurdystanu (PKK), uznawana przez Ankarę za organizację terrorystyczną, oraz operująca na irańsko-irackim pograniczu Partia Wolności Kurdystanu (PAK).

ZWIĄZANI Z BAGDADEM

W opustoszałym holu międzynarodowego lotniska w Irbilu zebrało się kilkunastu pasażerów. Większość z nich to obcokrajowcy, którzy chcą opuścić iracki Kurdystan i przez Bagdad wrócić do swoich domów. Mężczyzna stojący za lotniskowym barem sili się na uśmiech, wydając jedyną tej nocy herbatę. Ochrona próbuje zabić leniwie płynący czas, kontrolując wszystkie bagaże jeszcze dokładniej niż zwykle. Obsługa paszportowa kilkakrotnie upewnia się, czy można opuścić Irbil na zagranicznych dokumentach. W związku z niewypełnieniem ultimatum i nieprzekazaniem przez Kurdów kontroli nad granicami wszystkie loty międzynarodowe zostały zawieszone na trzy miesiące. Decyzja ta uderza zarówno w gospodarkę regionu, jak i życie prywatne jego mieszkańców, ale nie wpływa na stanowisko Kurdyjskiego Rządu Regionalnego.



Wieczorem centrum Irbilu zostało opanowane przez zwolenników Barzaniego, przeważnie byli to młodzi ludzie, często nastolatki.

„Kurdowie nie chcą alternatyw. Kurdowie chcą niepodległości, a referendum jest dużym krokiem w jej kierunku. Rząd w Bagdadzie może zaoferować jedynie rozwiązania pozwalające zatrzymać autonomię wewnątrz Iraku. Tego chce również społeczność międzynarodowa, która boi się, że działania Kurdów dadzą odwagę innym społecznościom dążącym do powołania własnych państw”, tłumaczy kurdyjskie stanowisko Kamaran Palani z Instytutu Badań nad Bliskim Wschodem w Irbilu. Zapytany o terytoria sporne, przywołuje art. 140 irackiej konstytucji. Zgodnie z jego treścią referendum na terenach, do których roszczą sobie prawa Kurdowie, także w Kirkuku, powinno odbyć się przed końcem 2007 roku. Do głosowania nigdy nie doszło. „Konstytucja została złamana kilkakrotnie. Dla przykładu, iracki rząd zobowiązał się do przekazywania 17% budżetu dla autonomii, jednak od lutego 2014 roku zawiesił wszystkie wypłaty”, dodaje Kamaran Palani.

Żadna ze stron nie kryje już, że za kryzysem w relacjach Irbil-Bagdad stoją pieniądze. Ze złóż wokół Kirkuku wydobywa się około miliona baryłek ropy dziennie, co przekłada się na blisko połowę eksportu irackiej ropy naftowej. Jednocześnie w podzielonym etnicznie Kirkuku część Arabów oraz większość Turkmenów ekonomicznie jest





Siły peszmergów liczą około 200 tys. bojowników. Tylko część z 36 brygad podlega bezpośrednio Kurdyjskiemu Rządowi Regionalnemu. Zwierzchnictwo nad większością oddziałów sprawują lokalne partie – KDP lub PUK.

związana z Bagdadem. Miejscowi przedsiębiorcy obawiają się, że za niepodległość Kurdystanu zapłacą nie tylko utratą wpływów, lecz także w ramach zemsty może dojść do kasacji ich majątków. Niebagatelne znaczenie ma też stanowisko Iranu, który dysponuje realną siłą militarną, operującą na terenie swojego sąsiada. Znienawidzone przez Kurdów bojówki Al-Haszd asz-Szabi (Siły Mobilizacji Ludowej, brały udział m.in. w walkach o Mosul), złożone głównie z szyickich ochotników, liczą około 100 tys. członków. Blisko 10 tys. stacjonuje na przedmieściach Kirkuku.

BILIONY BARYŁEK

Mieszkańcy autonomii obawiają się dalszej eskalacji, ale też zdają sobie sprawę, że drugiej szansy na utworzenie własnego państwa mogą już nie dostać. „Może wciąż dałoby się żyć z Irakiem, ale dlaczego nie być niepodległym krajem? Bez pieniędzy z Bagdadu żyjemy z dnia na dzień, nie oszczędzamy niczego. Dlatego nie mamy wiele do stracenia, możemy zbudować swój kraj. Jesteśmy gotowi na wszystko, nawet jeżeli oznacza to poświęcenie naszych żołnierzy”, zapowiada Zana Salach, 30-letni sprzedawca chust z Irbilu. Wtórzy mu Peszmerga (oprócz nazwy oddziałów jest to też popularne w irackim Kurdystanie imię), tłumacz języka angielskiego pracujący dla zagranicznych koncernów: „Działanie na własną rękę będzie na pewno trudne, ale my się z tym mierzymy od kilku lat. Od 2014 roku Bagdad nie wysłał nam ani jednego dinara. Jeżeli nie chce się z nami dzielić, to nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy być jednym krajem. Kurdystan jest bogaty w surowce, rządząc nim sa-

modzielnie, lepiej to wykorzystamy”. Faktem jest, że iracki Kurdystan to najbogatszy i zarazem najbardziej stabilny region Iraku. W utrzymaniu tego statusu niebagatelne znaczenie ma eksport ropy do sąsiedniej Turcji i dalej, do Europy. Obecnie wartość umów handlowych zawartych pomiędzy Irbilem a Ankarą wyceniana jest na kwotę przekraczającą 10 mld dolarów rocznie. Na miejscowym rynku coraz silniejszą pozycję zdobywa również rosyjski Rosneft. Zgodnie z zawartymi w tym roku porozumieniami Rosjanie nie tylko uzyskali dostęp do rurociągów przekazujących ponad 700 tys. baryłek ropy dziennie, lecz także dostali zgodę na eksploatację lokalnych złóż. Zasoby te mogą wynosić nawet 45 bln baryłek ropy naftowej oraz blisko 6 trylionów m³ gazu.

Zarówno Kurdowie, jak i rząd w Bagdadzie wielokrotnie podkreślali, że nie dążą do militarnej konfrontacji. Mimo to w połowie października armia iracka przy wsparciu bojówek Al-Haszd asz-Szabi interweniowała na terytoriach spornych, zyskując kontrolę m.in. nad Kirkukiem. Premier Iraku, Hajdar al-Abadi zapowiedział, że operacja będzie kontynuowana aż do odzyskania pełnej kontroli nad zewnętrznymi granicami autonomii. Jego działania zyskały poparcie Turcji oraz Iranu. Waszyngton i Moskwa milczą.

Los niepodległego państwa i status Kirkuku nie został jeszcze przesądzony, jednak decyzja o przeprowadzeniu referendum przy braku realnego wsparcia z zewnątrz osłabiła Kurdów. Kurdyjski Rząd Regionalny wciąż dysponuje zaprawionymi w boju oddziałami Peszmergów, ale wszystko wskazuje na to, że tym razem przyszłość autonomii zależy jedynie od trudnej sztuki dyplomacji. ■

M-346 szkolenie dla przyszłości



M-346: to najbardziej opłacalna, zaawansowana technologicznie platforma do szkolenia pilotów samolotów najnowszych generacji. Eksploatowana we Włoskich Siłach Powietrznych, w Republice Singapuru i Izraelskich Siłach Powietrznych, a w produkcji także dla Polskich Sił Powietrznych.

Leonardo Company jest światowym liderem w projektowaniu, produkcji i wsparciu wojskowych samolotów szkoleniowych.

W ciągu ostatnich 50 lat, w ponad 40 krajach, na wszystkich kontynentach, na 2 tysiącach samolotów wyprodukowanych przez Leonardo, wyszkoliło się ponad 20 tysięcy pilotów wojskowych i cywilnych.

Zainspirowani wizją, ciekawością świata i kreatywnością wielkiego mistrza i wynalazcy – w Leonardo tworzymy technologie przyszłości.

ROBERT SENDEK

Mała wojna o małą zatokę

Z powodu nieporozumień granicznych Słowenia i Chorwacja, kraje członkowskie Unii Europejskiej i NATO, znalazły się na krawędzi wojny. Chodzi co prawda o wojnę dyplomatyczną, ale słowa i groźby, jakie w ostatnim czasie padły z obu stron, są mało dyplomatyczne.

MOONBEE / DOMENA PUBLICZNA



W połowie września 2017 roku głośno było na Bałkanach o sprawie Davora Domazeta-Lošy, emerytowanego admirała chorwackiej marynarki i członka rady bezpieczeństwa narodowego Chorwacji. Otóż komentując stosunki chorwacko-słoweńskie, admirał powiedział w jednym z wywiadów, że „od strony geostrategicznej Słowenia to taki brelok doczepiony do Chorwacji” oraz że „w ciągu 48 godzin chorwacka piechota mogłaby dojść do Lublany”. Prezydent Grabar-Kitarović uznała, że takie konfrontacyjne wypowiedzi członka rady bezpieczeństwa są nie do przyjęcia, tym bardziej że i bez tego stosunki Chorwacji z jej północnym sąsiadem są napięte. Na wniosek pani prezydent admirał został usunięty z rady.

Ciekawy jest kontekst całej sprawy, wypowiedź chorwackiego admirała padła bowiem w reakcji na równie kontrowersyjną inicjatywę słoweńskiego posła i członka słoweńskiej komisji obrony Žana Mahnič. Otóż Mahnič, deputowany z ramienia Słoweńskiej Partii Demokratycznej, opozycyjnej wobec rządzącej krajem koalicji, na czele której stoi premier Miro Cerar, zwołał w parlamencie posiedzenie komisji obrony pod hasłem „Wdrażanie wyroku sądu arbitrażowego za pomocą wojska”. W wywiadach tłumaczył później, że wcale nie marzy o wojnie z Chorwacją, niemniej jednak chciałby się dowiedzieć, czy rząd słoweński ma gotowy scenariusz na wypadek, gdyby wojsko musiało pomóc policji we wprowadzaniu w życie wyroku sądu arbitrażowego. W takim kontekście irytacja chorwackiego generała jest nieco bardziej zrozumiała, choć nie usprawiedliwia ostrych słów o marszu na Lublanę. Zresztą zwołane

przez Mahnič posiedzenie nie doszło do skutku, gdyż zostało zbojkotowane przez trzy partie koalicyjne, tworzące obecny rząd Miro Cerara.

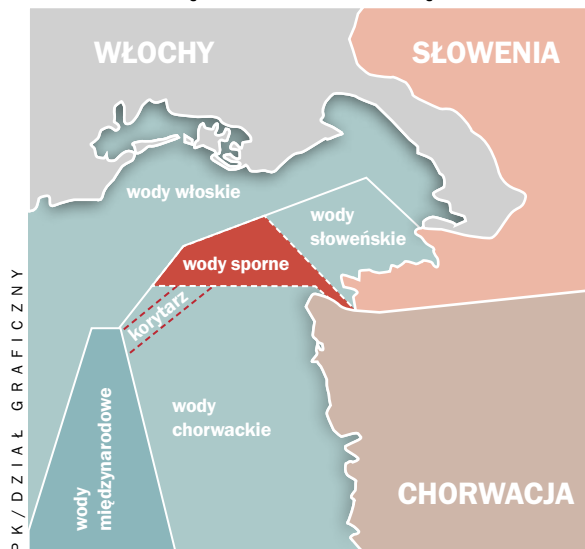
ZATOKA NIEZGODY

Rosnące w ostatnim czasie napięcie między Chorwacją a Słowenią, którego kulminacją były wzmianki o możliwym zaangażowaniu wojska, dotyczy długotrwałego sporu granicznego, w który są zaangażowane oba kraje. Chodzi głównie o dwie kwestie związane z przebiegiem granicy morskiej między Słowenią a Chorwacją. Pierwsza dotyczy przynależności Zatoki Pirańskiej, druga natomiast – dostępu Słowenii do wód międzynarodowych. Sama zatoka to niewielki, liczący około 20 km², akwen w północnej części Adriatyku na wodach granicznych między Słowenią a Chorwacją. Słoweńcy uważają, że niemal cała Zatoka Pirańska powinna należeć do nich, chcieliby również utworzenia korytarza, pozwalającego statkom słoweńskim przepływać z wód międzynarodowych do portu w mieście Koper bez konieczności załatwiania spraw administracyjnych w Chorwacji. Zdaniem Chorwatów natomiast, powołujących się na konwencję ONZ o prawie morza, granica powinna przebiegać w taki sposób, by dzieliła Zatokę Pirańską równo na pół, środkiem akwenu. Co do korytarza, to Chorwaci odrzucają możliwość jego utworzenia, gdyż musiałoby się to odbyć kosztem wielkości wód chorwackich.

Sprawa nie jest łatwa, tym bardziej że do tych głównych kwestii związanych z przebiegiem granicy morskiej dochodzą również skomplikowane problemy dotyczące przebiegu granicy lądowej. Nie są one jednak tak



ROZGRANICZENIE WÓD TERYTORIALNYCH MIĘDZY SŁOWENIĄ A CHORWACJĄ



**Zgodnie z decyzją
Trybunału z 2017
roku Słowenia uży-
wała większą
część Zatoki
Pirańskiej i kory-
tarz morski łączący
słoweńskie wody
terytorialne z mię-
dzynarodowymi.**

nagłośnione jak konflikt wokół Zatoki Pirańskiej i dotyczą niewielkich obszarów, rzędu kilku hektarów, np. wokół szczytu zwanego przez Chorwatów Sveta Gera lub przez Słoweńców Trdinov vrh.

CHLUPOT HISTORII

Spór o rozgraniczenie wód terytorialnych między Słowenią a Chorwacją zaczął się praktycznie tuż po rozpadzie Jugosławii, na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wcześniej podział wód terytorialnych między republikami tworzącymi jedno państwo nie był potrzebny. Próby rozwiązania konfliktu podejmują kolejne rządy obydwu państw. W lipcu 2001 roku niemal się to udało. Obydwie strony podpisały wówczas porozumienie, zgodnie z którym Słoweńcy rezygnowali z pretensji do jednej trzeciej Zatoki Pirańskiej i uznawali granicę morską Chorwacji z Włochami, Chorwaci zaś zgadzali się na utworzenie na własnych wodach korytarza dla statków słoweńskich. Parlament słoweński ratyfikował wówczas umowę, jednak deputowani chorwaccy odrzucili możliwość głosowania w tej kwestii, oskarżając premiera Ivice Račana o to, że po prostu oddał Słoweńcom sporne wody.

Sprawa mocno się skomplikowała w 2008 roku. Chorwaci prowadzili w tym czasie negocjacje związane z przystąpieniem kraju do Unii Europejskiej. Kwestia granic pojawiała

się wtedy wielokrotnie. Ponieważ między obydwoma stronami dochodziło do częstych scysji z tego powodu, a Chorwaci nie wykazywali ochoty do rozwiązania problemu, Słoweńcy po prostu zablockowali rozmowy akcesyjne. Grozili także, że zablokują przystąpienie Chorwacji do NATO. Dzięki mediacji unijnej w listopadzie 2009 roku udało się osiągnąć konsensus. Premier Chorwacji Jadranka Kosor oraz premier Słowenii Borut Pahor podpisali porozumienie, które kwestię granic oddawało do rozstrzygnięcia pod arbitraż międzynarodowy. Obie strony zapewniły, że będą respektować wyrok sądu. Przewidziano termin sześciu miesięcy, podczas których obydwie strony zobowiązały się podjąć wszelkie środki w celu wprowadzenia wyroku w życie.

PIRANLEAKS I WYROK

Rozsądzeniem sporu miał się zająć Stały Trybunał Arbitrażowy w Hadze. W jego składzie znalazło się trzech cudzoziemców oraz Chorwat i Słoweńiec, nominalnie niezależni od władz swego kraju. Tymczasem w lipcu 2015 roku doszło do skandalu: upubliczniono nagrania, na których Jernej Sekolec, słoweński sędzia zasiadający w haskim trybunale, omawia z przedstawicielką rządu w Lublanie Simoną Drenik taktykę, która pozwoliłaby Słowenii osiągnąć korzystny wyrok. Afera, którą szybko nazwano Piranleaks, wywołała



NAPIĘCIE W ZATOCE PIRAŃSKIEJ NIE MALEJE, CZEGO WYRAZEM SĄ INCYDENTY MIĘDZY CHORWACKIMI RYBAKAMI I SŁOWEŃSKĄ POLICJĄ



Davor Domazet-Lošo, emerytowany admirał chorwackiej marynarki, wywołał burzę, mówiąc, że: „od strony geostrategicznej Słowenia to taki brelok doczepiony do Chorwacji”.

oburzenie Chorwatów, bo stawiała pod znakiem zapytania bezstronność sądu arbitrażowego.

Rewelacje Chorwatów Słoweńcy uznali za prowokację, jednak zarówno sędzia, jak i przedstawicielka słoweńskiego rządu, których rozmowę opublikowano, podali się do dymisji, co potwierdziło tezę, że coś jest na rzeczy. Efekt był natychmiastowy: argumentując, iż wyrok Trybunału najpewniej będzie zmanipulowany, parlament chorwacki przegłosował wystąpienie z arbitrażu. Zoran Milanović, ówczesny premier Chorwacji, oznajmił wtedy, że ewentualna decyzja sądu arbitrażowego nie będzie dla tego kraju obowiązująca.

Trybunał obradował jednak nadal, przyznając, że choć Słowenia złamała pewne punkty porozumienia, to cały proces arbitrażowy nie został jednak zaprzeczony. Zdymisjonowanego sędziego zastąpił, wyznaczony przez przewodniczącego sądu Gilberta Guillaume’a, nowy członek Trybunału Norweg Rolf Einar. Ponieważ Chorwaci wycofali swojego przedstawiciela, jego miejsce zajął z kolei Szwajcar Nicolas Michel. Postępowanie toczyło się do 29 czerwca 2017 roku, kiedy wydany został wyrok, który właściwie potwierdził słuszność pozycji zajmowanych przez obie strony. Słoweńcy nie kryli zadowolenia, Chorwaci natomiast uznali, że słusznie wycofali się z procesu arbitrażowego. Decyzja Trybunału uznawała bowiem niemal wszystkie żądania i pretensje Słowenii – zgodnie z wyrokiem kraj ten uzyskał większą część Zatoki Pirańskiej, a ponadto korytarz morski o szerokości 2,5 Mm, łączący słoweńskie wody terytorialne z międzynarodowymi.

SPORY I ROKOWANIA

Wobec chorwackiego bojkotu sprawa nadal jest w zawieszeniu. Słoweńcy mają za sobą wyrok Trybunału, który próbują wyegzekwo-

wać. Temperamenty konfliktu nie obniżają wypowiedzi polityków. Premier Chorwacji Andrej Plenković w swym wystąpieniu na forum ONZ w połowie września zapowiedział, że nie ma zamiaru przestrzegać wyroku. W protestie słoweński premier Miro Cerar odwołał zapowiedzianą wcześniej wizytę w Zagrzebiu, Słoweńcy zagrozili także zablokowaniem Chorwacji drogi do strefy Schengen oraz OECD.

W całej kwestii nieoczekiwanie pojawił się wątek polski. Otóż w sierpniu Miro Cerar poparł nałożenie sankcji na Polskę za – jak to ujął – nieprzestrzeganie praworządności. Właściwym jednak adresatem tej wypowiedzi nie był, zdaniem analityków, rząd polski, bo Słoweńcy nie mają żadnego interesu w uszkodzeniu naszego kraju. Chodzi o to, że w ten sposób słoweński premier usiłuje skłonić Brukselę do wywarcia nacisku na rząd Chorwacji, by ten zaczął przestrzegać wyrok arbitrażu.

Tymczasem napięcie w Zatoce Pirańskiej nie maleje, czego wyrazem są incydenty między chorwackimi rybakami i słoweńską policją. Chorwacka prasa przytaczała wypowiedzi tych pierwszych, którzy obawiają się, że może dojść do lokalnego konfliktu. W czerwcu bieżącego roku były szef słoweńskiej dyplomacji Dimitrij Rupel mówił, że Słowenia powinna wysłać do zatoki swój okręt patrolowy „Triglav”, a także rozważyć zakup kolejnych jednostek do obrony wód terytorialnych. W prasie słoweńskiej zaczęły się pojawiać artykuły pod wiele mówiącymi tytułami, np. „Czy nasza marynarka obroni Zatokę Pirańską?”. Na razie obie strony mają czas do 29 grudnia na wprowadzenie w życie wyroku arbitrażowego. Żadna jednak nie chce ustąpić. Koniec roku może być więc na Adriatyku bardzo gorący. ■



WALDEMAR J.
DZIAK

Nieskuteczne sankcje

Czterdzieści lat zajmuję się problematyką związaną z Koreą Północną. Przez ten czas badałem m.in., jaki wpływ na nią miały kolejne rezolucje Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz sankcje wprowadzane zarówno przez Narody Zjednoczone, jak i poszczególne państwa, USA, Japonię i Koreę Południową. Uważam, że były one nieskuteczne. Reżim północnokoreański nauczył się funkcjonować w takich warunkach i znalazł skuteczne sposoby niwelowania negatywnych skutków obostrzeń. Dlatego nie ma co liczyć, że nowe restrykcje zmienią jego politykę czy zmuszą do poważnych negocjacji, a tym bardziej rezygnacji ze zbrojeń atomowych.

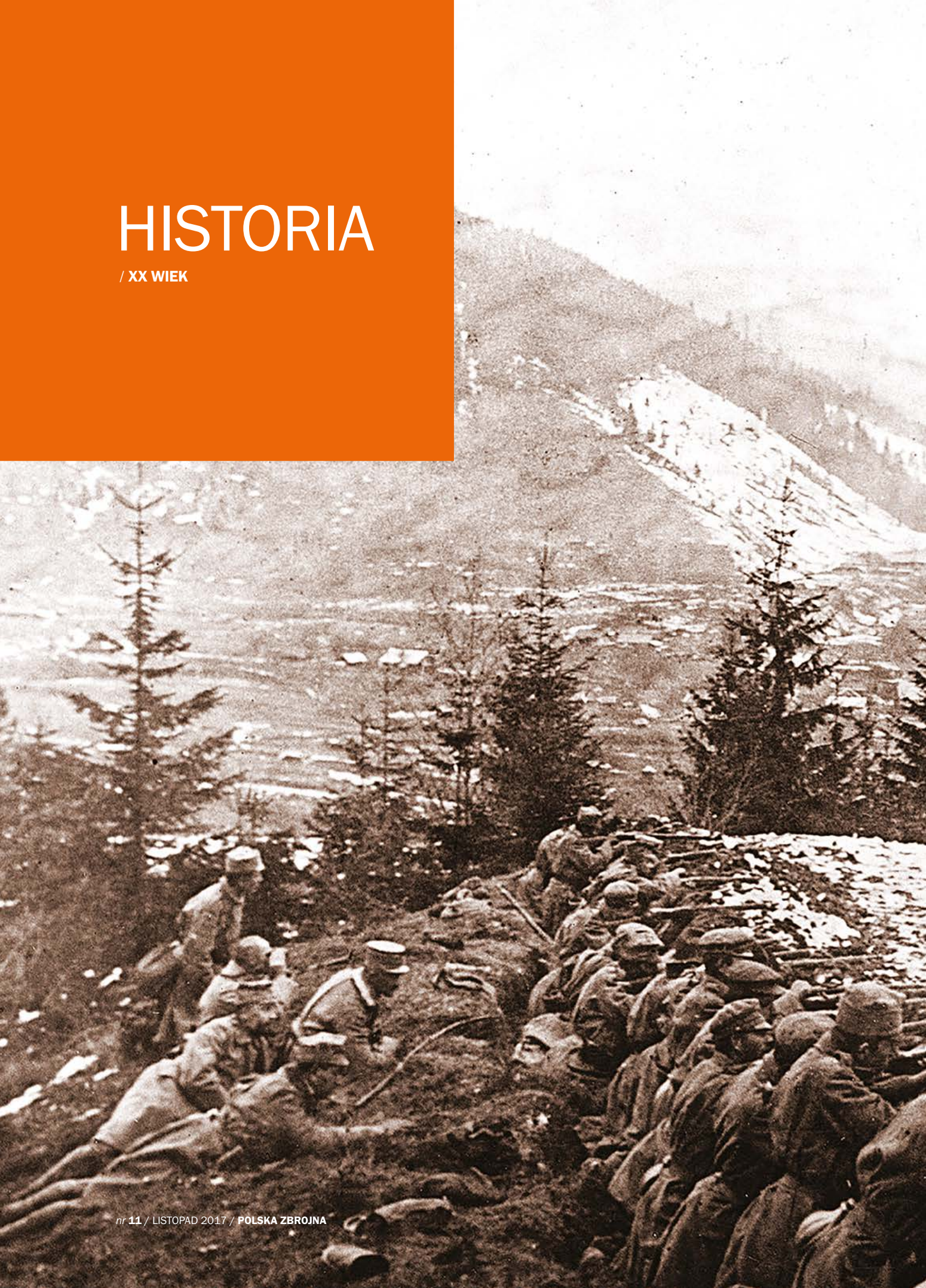
Dlaczego tak się dzieje? Moim zdaniem to skutek niekonsekwencji społeczności międzynarodowej. Nie wszystkie państwa w jednakowym stopniu przestrzegają sankcji wobec Pjongjangu. Chiny i Rosja podchodziły do nich sceptycznie, utrzymując, że one tylko rozjuszą reżim. Wpływ na taką postawę miały też ich własne doświadczenia. Chiny w przeszłości były pod prężeniem sankcji. Teraz jest nimi objęta Rosja za działania przeciwko Ukrainie. Bardziej do przestrzegania restrykcji przykłada się Zachód, ale tu też mamy przykłady braku konsekwencji. Korea Południowa uważa na przykład, że z blokady powinna być wyłączona pomoc humanitarna. Niektóre kraje, niestety również Polska, tolerują zatrudnianie przez różne firmy tysięcy północnokoreańskich pracowników, a większość zarobionych przez nich dewiz trafia do kasy reżimu. Przemyka się oczy na niezgodny z prawem dyplomatycznym wynajem do celów komercyjnych pomieszczeń na terenie północnokoreańskich ambasad. W efekcie pomimo formalnie obowiązujących restrykcji gospodarka Korei Północnej się rozwija. Eksperci południowokoreańscy szacują, że w 2016 roku jej produkt krajowy brutto wzrósł o 4%, czyli o więcej niż w większości państw Unii Europejskiej.

Najważniejsza dotąd dla Korei Północnej była przychylność Chin. Te co prawda ostatnio zaostrzyły sankcje, ale ich negatywne skutki będą odczuwalne na północy Półwyspu Koreańskiego dopiero za jakiś czas. Tymczasem świat go nie ma, bo Pjongjang w szybkim tempie udoskonala broń nuklearną i przenoszące ją rakiety. Na dodatek reżim nie jest już tak zależny od zagranicy jak przed laty w kwestii transferu technologii i dostawy urządzeń, bo stworzył własną bazę przemysłową. Moim zdaniem, żeby sankcje były skuteczne, najpierw trzeba zdefiniować, co chcemy przez nie osiągnąć i dostosować do tego odpowiedni zestaw narzędzi. Potem potrzebna jest konsekwencja w ich egzekwowaniu. ■

Prof. zw. dr hab. WALDEMAR JAN DZIAK jest pracownikiem naukowym Instytutu Studiów Politycznych PAN.

HISTORIA

/ XX WIEK



PIOTR KORCZYŃSKI

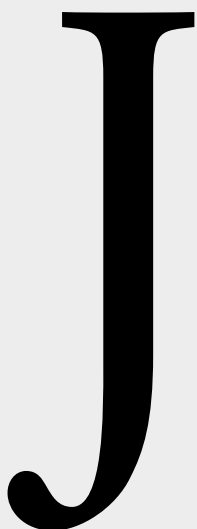
ROGATA DUSZA

Niezwykły duchowny wśród żołnierzy i wyjątkowy
podpułkownik wśród kapelanów.



Ksiądz Józef Pasa
mówił o sobie,
że jest starym
legunem.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)



Jedno z kluczowych słów w historii Polski to „legiony”. W Legionach Polskich z okresu wielkiej wojny tworzyła się elita wojskowa i polityczna odradzającego się państwa. W ich szeregach dokonywano czynów bohaterskich, ale rodziły się też konflikty ideowe i polityczne, które zaważyły na historii całej II Rzeczypospolitej. Te dwa bieguny – żołnierskiego poświęcenia i niepokornego leguna – ogniskował w sobie kapelan Legionów Polskich ksiądz Józef Panaś.

KSIEŻOWSKI WYPAS

Epizod związany z odrębnymi tradycjami mundurowymi w I i II Brygadzie Legionów znakomicie pokazuje, jakim człowiekiem był ksiądz. W I Brygadzie noszono wyłącznie maciejówki, a w II – rogatywki, co często prowadziło do różnych scysji i żartobliwych docinek. Panaś wywodził się z II Brygady, nosił więc rogatywkę. Pewnego dnia, jak wspomina kapelan, „gdy na dawnych pozycjach 2 Pułku Piechoty byłem zajęty porządkowaniem cmentarzy, jakiś żołnierz z 1 Pułku Piechoty przyszedł do mnie i podziwiając moją rogatywkę, zagadnął (udając, że nie widzi, iż ma do czynienia z księdzem): »Dlaczego, obywatelu, diabeł ma tylko dwa rogi, a wy macie aż cztery?«. »Prosta rzecz«, odparłem, »bo z diabłem nie mam nic wspólnego, a nie chcę być podobnym do osła, który całkiem nie ma rogów, podobnie jak wy, obywatelu«”.

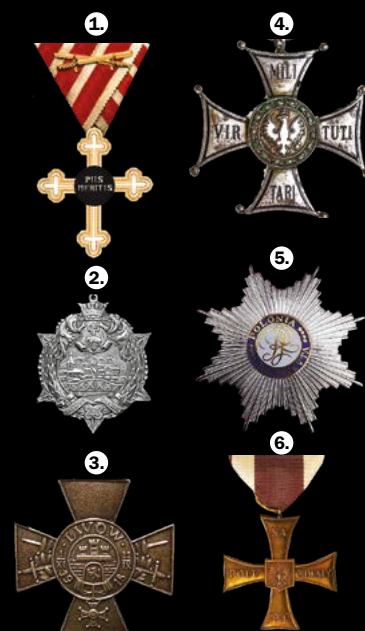
Przyszły kapelan legionistów przyszedł na świat 23 listopada 1887 roku w Odrzykoniu pod Krosnem, w rodzinie chłopskiej Szymona i Tekli z domu Guzek. Rodzice, chociaż należeli do biedniejszych gospodarzy we wsi, nie szczędzili środków na edukację syna. W 1907 roku Józef ukończył z wyróżnieniem C.K. Gimnazjum w Przemyślu. Następnie wstąpił do tamtejszego Wyższego Seminarium Duchownego i w 1911 roku przyjął święcenia

kapłańskie. Kolejne lata poświęcił posłudze wikarego w Dublanach i katechety w Dobromilu. Związał się wówczas z ruchem ludowym i wstąpił do PSL-u. Jednocześnie działał prężnie w Polskim Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” i w Drużynach Bartoszewych.

Wybuch I wojny światowej zastał go w Niemczech, gdzie Panaś pełnił posługę duszpasterską wśród polskich robotników. Po wielu perypetiach (był m.in. aresztowany przez policję niemiecką pod zarzutem szpiegostwa) wrócił do Polski i 30 sierpnia 1914 roku z grupą chłopów z Drużyny Bartoszewej wstąpił do Legionu Wschodniego gen. mjr. Adama Pietraszkiewicza. Okazało się, że jednostka ma już na etacie kapelana – ojca Damiana Węgla. Ksiądz Panaś jednak nie odpuścił: „Oświadczyłem więc, że mi na posadzie kapelana tak mocno nie zależy, a jestem zdrow i jeszcze nie stary, więc każdą wyznaczoną mi służbę chętnie będę pełnił”. W ten sposób rozpoczął służbę w Legionach jako prowiantowy IV Batalionu por. Józefa Szczepana. „Każdy ksiądz ma trochę kwalifikacji na kwestarza, a że znajdowaliśmy się w moich rodzinnych stronach, gdzie znałem wszystkich proboszczów i wiele dworów, toteż moim chłopcom nie najgorzej się powodziło”, wspominał Panaś. Legioniści jeszcze długo pamiętali ten „księżowski wypas”.

BOHATERSKA, NIEPOTRZEBNA OMYŁKA

We wrześniu 1914 roku Legion Wschodni podzielono na dwa pułki piechoty i dwa szwadrony kawalerii. Wtedy Panaś został mianowany kapelanem 2 Pułku Piechoty. Nie cieszył się długo tym stanowiskiem, gdyż z powodu odmowy przysięgi na wierność cesarzowi Austrii, 21 września Legion został rozwiązany. Ksiądz znalazł się w grupie około 800 legionistów, którzy zdecydowali się



ORDERY I ODZNACZENIA, KTÓRE OTRZYMAŁ KSIĄDZ JÓZEF PANAS

1. Krzyż Zasługi dla Duchownych Wojskowych II klasy na białoczerwonej wstędze
2. Gwiazda Przemysła
3. Krzyż Obrony Lwowa
4. Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari (dwukrotnie)
5. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (2 maja 1922)
6. Krzyż Walecznych (czterokrotnie)

DZIĘKI JEGO STARANIOM LEGIONY POLSKIE ODZYSKAŁY DAWNY KOŚCIÓŁ GARNIZONOWY – PÓŹNIEJSZĄ KATEDRĘ POLOWĄ WOJSKA POLSKIEGO

złożyć przysięgę. Był nawet jednym z mówców na wiecu żołnierskim w Rabce, gdzie podkreślał potrzebę istnienia oddziałów polskich za wszelką cenę. Powstał wówczas 3 Pułk Piechoty, w którym Panaś został kapłanem. I tak losy kapłana z Odrzykonina na długi czas związane zostały z II Brygadą Legionów, w skład której z czasem wszedł 3 Pułk.

Ksiądz Józef Panaś towarzyszył swoim żołnierzom w całej niezwykle trudnej kampanii w Karpatach, Bukowinie i Besarabii. Szczególnie mocno utkwiała mu w pamięci bohaterska, ale jego zdaniem bezsensowna, szarża pod Rokitną 13 czerwca 1915 roku, co znajduje odzwierciedlenie w jego pamiętniku: „Ułani jechali spokojnie, wśród doliny poprzez łąn złocistej bujnej

pszenicy, sięgającej koniom po grzbiety. W powietrzu panowała zupełna cisza. Szwadron [...] dostał się na skraj wsi popod pagórek, na którego szczycie stały trzy wiatraki. Nagle od podnóża wzgóрка zerwał się szwadron jakby stado spłoszonego ptactwa i pognął co sił w stronę wiatraków”.

Kapelan jak zauroczony patrzył na piekło, które nagle rozpełtało się na wzgórz: „Śliczny to był widok rozsiałych jeźdźców i koni, lecz równocześnie zawrzała straszna burza artylerii, karabinów maszynowych i ręcznych. Na nieszczęsny szwadron spadł grad ognia i żelaza, i to nie tylko od rosyjskiej, lecz także austriackiej artylerii, którą za późno zawiadomiono o szarży”. Opis hekatomby ułanów rtm. Zbigniewa Dunina-Wąsowicza



ksiądz Panaś kończy konkluzją: „Szarża ta była piękną i bohaterską, ale w każdym razie niepotrzebną omyłką, gdyż to samo zadanie mogła lepiej i z mniejszym ryzykiem wykonać piechota po odpowiednim przygotowaniu artyleryjskim”.

Po bitwie, 15 czerwca na cmentarzu w Barańczy poległym ułanom urządzono uroczysty pogrzeb. Trumny postawiono w rzędzie, na czele ustawiono tę z ciałem rtm. Dunina-Wąsowicza, owiniętą polskim sztandarem. Ksiądz Panaś celebrował mszę żałobną, po której wygłosił do legionistów krótką przemowę: „Pomódlmy się za dusze naszych braci, którzy dowiedli, że polski żołnierz każdy rozkaz spełnić potrafi, chociaż mu wypada iść na pewną śmierć i prośmy Boga, aby krew ich za darmo przelaną nie była”.

NICZYM BIBLIJNY TOBIASZ

W sierpniu 1915 roku Józef Panaś został szefem referatu spraw duszpasterskich przy komendzie Legionów, gdzie za zgodą komendanta Józefa Piłsudskiego uporządkował m.in. sprawy metrykalne poległych legionistów i ułożył regulamin dla wojskowych kapelanów. Przez cały okres służby w Legionach niestrudzenie prowadził, często nawet w trakcie walk frontowych, ekshumacje tymczasowych mogił poległych legionistów i pilnował, by spoczęli na specjalnie przygotowanych cmentarzach wojennych.

Pełnił w tym czasie również obowiązki kapelana 4 Pułku Piechoty III Brygady Legionów Polskich, z którym w czasie rosyjskiej ofensywy znalazł się na Wołyniu i wziął udział w krwawej bitwie pod Kukłami 21 października 1915 roku. W dzienniku ksiądz Panaś zapisał: „Pobojowisko w Kukłach wygląda strasznie, pierwszy raz w życiu widziałem taką masę trupów [...]. Całe pole zasłane było pruskimi pikelhaubami [...]. Legionistów padło także bardzo wielu, bo około setki. Grzebanie umarłych szło uciążliwie. Nie miał kto kopać grobów, tak że trzeba było schować stulę do kieszeni, a wziąć rydel do garści i naśladować biblijnego Tobiasza”.

W czasie jednego z rosyjskich ataków, 10 listopada 1915 roku, pod Polską Górą ksiądz Panaś został lekko ranny. Kiedy rozpoczął się rosyjski ostrzał, trwał pogrzeb kilku poległych

**ARESztOWANY
W PRZEMyŚLU
I TORTUROWANY
PRZEZ NKWD
WE LWOWIE.**

**WEDŁUG WERSJI
PODANEJ PRZEZ
SOWIECKICH
ŚLED CZYCH,
4 MAJA 1940
ROKU POPEŁNIŁ
SAMOBÓJSTWO**

legionistów, tak że kapelan musiał co chwilę wskakiwać do grobu i osłony przed odłamkami szukać pod ciałami nieboszczyków. Wreszcie jeden z odłamków ranił go lekko w bok, co – jak sam przyznał – go ucieszyło, bo pomyślał: „Tak, nareszcie pojedę na urlop”.

Do służby ksiądz powrócił na początku grudnia. Tymczasem aż do czerwca 1916 roku, czyli do czasu nowej ofensywy rosyjskiej, front na Wołyniu stał w miejscu. Kiedy walki wznowiono, Panaś został w zastępstwie kapelanem 5 Pułku Piechoty i wziął z nim udział w bitwie pod Kostiuchnowką. Wtedy zanotował w swym dzienniku: „Fontanny błota, ziemi i piasku powstające przy wybuchu granatów osiągają olbrzymią wysokość kilkudziesię-

sięciu metrów. Wobec potęgi i grozy tych wysłanników śmierci wydaje się maleńkim nie tylko człowiek, lecz nawet potężne stuletnie sosny, które tuzinami rozlatują się na drzazgi”. Nie byłby jednak ksiądz Panaś sobą, gdyby nie znalazł w tej ciężkiej chwili jakiegoś pozytywu: „Nauczyć się dobrze modlić można nie tylko na morzu, lecz także przy bliskim terkocie nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego, który bardziej denerwuje ludzi, aniżeli nawet wybuch ciężkich granatów”.

NATURA LEGUŃSKA

1 grudnia 1916 roku ksiądz Panaś był w szeregach oddziałów legionowych, które uroczystie wjechały do Warszawy. Tutaj dzięki jego staraniom Legiony Polskie odzyskały dawny kościół garnizonowy – późniejszą katedrę połową Wojska Polskiego. 18 grudnia ksiądz otrzymał od władz niemieckich polecenie wystania dwóch kapelanów do obozów jenieckich na terenie Niemiec, w których przetrzymywano żołnierzy polskiej narodowości. Panaś razem z księdzem Władysławem Antoszem pojechali nieść pociechę uwięzionym rodakom w rosyjskich mundurach. Już na terenie Niemiec, 20 grudnia, dowiedział się, że mianowano go superiorem połowym Legionów Polskich, co oznaczało, że został zwierzchnikiem kapelanów i duchownych we wszystkich brygadach legionowych.

W czasie kryzysu przysięgowego w lipcu 1917 roku, podobnie jak na początku swej służby w Legionie Wschodnim, opowiedział się za pozostaniem II Brygady Legionów przy państwach centralnych. W połowie września został superiorem Polskiego Korpusu Posiłkowego. Postanowienia traktatu brzeskiego szybko zweryfikowały jednak jego postawę. W lutym 1918 roku znalazł się wśród tych oficerów, którzy postanowili przebiec się na drugą stronę frontu i połączyć z I Korpusem Polskim w Rosji.

Został internowany przez Austriaków i stał się jednym z głównych oskarżonych o zdradę monarchii. Dzięki interwencji u cesarza Karola I Habsburga legata papieskiego, księdza Rattiego, przyszłego papieża Piusa XI, Panaś został 30 września 1918 roku ułaskawiony i wraz z innymi oficerami polskimi wyszedł na wolność. Już w listopadzie organizował obronę Przemyśla przed Ukraińcami, a następnie wyjechał do Lwowa, w którego obronie brał udział do maja 1919 roku. Za czyny bojowe został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy i czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Od 1919 roku ksiądz ppłk Józef Panaś objął stanowisko dziekana duszpasterstwa wojskowego przy dowództwie Wojska Polskiego w Małopolsce Wschodniej. Od września tego roku był dziekanem Okręgu Korpusu VI

Lwów, a od listopada 1921 roku dziekanem Okręgu Korpusu X Przemyśl.

Kolejny zwrot w jego życiu nastąpił w 1926 roku. 17 maja podczas mszy w intencji ofiar walk w czasie przewrotu majowego, koncelebrowanej przez biskupa połowego WP Stanisława Galla w katedrze połowej Wojska Polskiego, ksiądz Panaś publicznie zerwał ze swego munduru odznaczenia nadane mu przez marszałka Józefa Piłsudskiego: „Pała one moją pierś i wstydzą. Nie mogę nosić ich nadal, bo te same widzę na piersiach tych, co się splamili rozlewem krwi bratniej...”. Za to wystąpienie został przeniesiony w stan spoczynku, a obóz piłsudczykowski zyskał w niepokornym kapelanie jednego z czołowych przeciwników politycznych. Jego najwięksi oponenci, nie wyłączając marszałka Piłsudskiego, zawsze jednak podkreślali nieposzlakowaną uczciwość i cywilną odwagę księdza.

Oprócz działalności politycznej w ruchu ludowym (był jednym z najbliższych współpracowników Wincentego Witosa) poświęcił się Panaś tworzeniu ruchu spółdzielczego na polskiej wsi.

Po wybuchu II wojny światowej ksiądz przebywał we Lwowie. Od 1940 roku współorganizował konspirację Związku Walki Zbrojnej pod okupacją sowiecką. Wszedł także w skład powstałego we Lwowie Komitetu Społeczno-Politycznego. W marcu 1940 roku został aresztowany w Przemyśle i był torturowany przez NKWD we Lwowie. Według wersji podanej przez sowieckich śledczych, 4 maja 1940 roku popełnił samobójstwo – rzucił się podczas śledztwa z okna. Prawdopodobnie po zamęczeniu został przez kogoś wyrzucony...

Do końca swych dni, mimo konfliktu z piłsudczykami, ksiądz Józef Panaś nie zapomniał, że jest starym legunem. Na zakończenie swego dziennika opisał jedną z wizyt w szpitalu wojskowym w Suchej w 1917 roku, gdzie leczono m.in. polskich legionistów. Ordynator zobaczył legionowy mundur księdza, więc podkreślił, że mniej ma kłopotu z dziesięcioma żołnierzami austriackimi niż z jednym legionistą:

„I tak ostatniej zimy było w zakładzie dwóch naszych chłopców posiadających razem tylko półtorej nogi i trzy ręce. Mimo to potrafili się dostać do strychu sąsiedniej kamienicy, skąd zabrali sanki sportowe i pojechali na wycieczkę, która byłaby się dobrze skończyła, gdyby nie to, że gdzieś w karczmie podchmieleli sobie nieco i podczas powrotu wjechali sankami do rowu. Tutaj stało się nieszczęście, bo wszystkie cztery protezy uległy nadwyrężeniu. Nie umiając dać sobie z nimi rady, musieli więc w rowie czekać na litościwą pomoc. Taka to jest natura »leguńska«”. Ksiądz ppłk Józef Panaś rozumiał tę naturę jak nikt, bo miał odwagę i waleczność we krwi. ■

J E R Z Y M A J K O W S K I „ C Z A R N Y ”

#RycerzeBialoCzerwonej

Przez 63 dni Jerzy Majkowski „Czarny” bił się w powstaniu warszawskim o wolną Polskę.
Przez kolejne dziesięciolecia swoją pracą i postawą potwierdził, że tamta walka
nie poszła na marne, a on jest jednym z tych, którzy tę wolną ojczyznę budowali.

My też możemy do nich dołączyć!

CHCIAŁEM BYĆ TYLKO ŻOŁNIERZEM

Z Jerzym Majkowskim

**o powstańczym życiu, wybuchu czołgu pułapki i kanałach
rozmawia Piotr Korczyński.**

Do Armii Krajowej trafił Pan z harcerstwa. Czy można stwierdzić, że był Pan już doświadczonego konspiratorem? Podobno harcerstwo dobrze przygotowywało do służby.

To dobre pytanie. Jeżeli chodzi o przesłanki ideologiczne, to nie ma żadnych wątpliwości. Jeśli natomiast chodzi o przygotowanie bojowe, to na pewno było ono niewystarczające. Należałem do Szarych Szeregów i byłem zawiśnikiem, więc jeszcze nie żołnierzem, choć szybko nim zostałem w powstaniu. Przede wszystkim mieliśmy przygotowanie typowo harcerskie, czyli za sobą zdobywanie poszczególnych sprawności, kurs sanitarny, wyjazdy w teren itp. Ale ponadto byliśmy zobowiązani do działań w tzw. małym sabotażu i ćwiczeń z bronią, głównie z pistoletem ręcznym. Dość często wyjeżdżaliśmy do Milanówka i innych podwarszawskich miejscowości. Tam, w okolicznych lasach ćwiczyliśmy z użyciem drewnianych karabinów. W jednym z mieszkań w Warszawie spotykaliśmy się ze starszym drużynowym, „Białym Jankiem”. On przynosił pistolet, najczęściej visa, i do znudzenia ćwiczyliśmy jego roz-

kładanie i składanie. Harcerstwo zaszczerpiło nam przede wszystkim chęć walki i to była jego zasadnicza rola. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do jej sensu.

W szeregi powstańcze wstąpił Pan w wieku 16 lat. Miał Pan jeden bardzo istotny atut – własny pistolet, co pozwalało od razu zostać żołnierzem „liniowym”.

Rzeczywiście, wraz z moim przyjacielem Staszkiem Nagłowskim mieliśmy dwa pistolety, które otrzymaliśmy od mojej mamy. Broń należała do wujka, a ukryta była w piecu kaflowym. Z pewnością ułatwiła nam „mianowanie” na żołnierzy, ale argumentem była też nasza służba w Szarych Szeregach. Potrzebą chwili było również zwiększanie stanów osobowych oddziałów bojowych, gdyż, jak wiemy, w pierwszych godzinach walki wielu żołnierzom nie udało się dotrzeć do swych kompanii czy batalionów. W związku z tym przyjęto nas bardzo chętnie i pierwszego dnia wręczono mi butelki z benzyną oraz granaty – filipinki. A wspomniany pistolet to był głównie „fason”, bo pokazywałem go kolegom. Prawdziwą broń, automatyczny mauzer, otrzymałem 4 sierpnia.



WIZYTÓWKA

PROF. DR HAB. N. MED. JERZY MAJKOWSKI

Rocznik 1928, w czasie okupacji harcerz Szarych Szeregów (hufiec Wola). Po wybuchu powstania warszawskiego, od 2 sierpnia 1944 roku żołnierz 2 kompanii „Anna” Batalionu NOW-AK „Antonii”. Po kapitulacji jeniec stalagów XI B Fallingbomel i VI J Dor-

sten. Po wyzwoleniu rozpoczął służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie w Hameln. W lipcu 1945 roku został odkomenderowany do Polskiego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Hohenwepel i Maczkowie. Świadectwo dojrzałości uzyskał 25 lutego

1947 roku. W czerwcu 1947 roku powrócił do kraju, gdzie rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie profesor zwyczajny medycyny, neurolog; członek Prezydium Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. ■

Bardzo szybko się z nim oswoiłem i tutaj przydatna okazała się zaprawa na drewnianym karabinie z harcerstwa.

We wspomnieniach podkreśla Pan, że w kompanii „Anna” znalazł się przypadkowo. Wielu weteranów, którzy także walczyli w „obcych” oddziałach, wspomina, że często czuli się nie-swojo. A jak u Pana przebiegało zaaklimatyzowanie się w kompanii „Anna”?

Osobiście nigdy nie odczułem, ani na początku, ani później, jakiegokolwiek obcości. Od razu stałem się równorzędnym żołnierzem. Znalazłem się w oddziale bardzo zintegrowanym, zarówno pod względem wojskowym, jak i politycznym. Byłem też swojakiem z dzielnicy. Najmocniej jednak zjednoczyła nas wspólna walka, zwłaszcza później, na Starówce.

A jaki był stosunek cywilów do powstańców? Często podkreśla się euforię warszawiaków na początku powstania, która pod koniec zmieniała się wręcz we wrogość.

O wrogości raczej bym nie powiedział. Z pewnością była euforia. Na przykład na wspomnianej Wolskiej 18, kiedy z butelkami z benzyną czatowali na czołgi, mieszkańcy zapraszali nas do mieszkań, częstowali ciastem i kawą. Wszędzie wisały biało-czerwone chorągwie. Niestety na Woli, jak wiemy, szybko to minęło, gdyż 4–5 sierpnia Niemcy zaczęli wrzucać granaty do piwnic, w których chronili się ludzie przed bombardowaniem, a następnie doszło do masowych rozstrzeliwań, jak w fabryce Franaszka czy szpitalu zakaźnym tuż obok, na Wolskiej. My o tym wiedzieliśmy, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z rozmiarów masakry.

Po wycofaniu się z Woli na Stare Miasto większych przejawów niechęci do powstańców nie zauważałem, do jednego momentu. To było pod koniec walk na Starówce. By powstrzymać Niemców, zawsze budowaliśmy dwie barykady – pierwszą na linii walki, a kilkanaście metrów dalej – drugą. Po którymś ze szturmów niemieckich tę pierwszą barykadę trzeba było naprawić. Dostałem rozkaz, by „załatać” ją razem z cywilami. Zszedłem więc do piwnicy na ulicy Piwnej. Zauważyłem tam m.in. kilku mężczyzn w sile wieku, więc mówię: „Proszę państwa, otrzymałem rozkaz naprawienia barykady. Proszę czterech lub pięciu mężczyzn do pomocy”.

Harcerstwo zaszczepiło nam przede wszystkim chęć walki. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do jej sensu

Ani jeden się nie poruszył, cisza. Powtórzyłem, że to rozkaz i proszę wychodzić. Nic. Wtedy po raz pierwszy wyciągnąłem tę swoją „piątkę” i podniosłem do góry. Chyba nie strzeliłem, nie pamiętam tego... Dopiero po tej demonstracji cztery osoby wyszły ze mną do barykady. To był dla mnie dość nieprzyjemny moment.

13 sierpnia 1944 roku został Pan ranny w wybuchu transportera Borgward IV na ulicy Kilińskiego. Do dziś trwa dyskusja, czy była to pułapka, czy nieszczęśliwy wypadek.

Początkowo uważałem, jak wszyscy, że jest to czołg pułapka. Z tym że nie widziałem skutków jego wybuchu, gdyż byłem nieprzytomny przez dwa dni i leżałem w szpitalu. Jednak z perspektywy czasu inaczej patrzę na to tragiczne zdarzenie. Jak wiemy, to nie był czołg pułapka, tylko transporter ładunków wybuchowych do wielokrotnego użycia. Na Starym Mieście niemieckie czołgi mogły dostać się do centrum tylko przez ulicę Podwale, gdyż była szeroka. 13 sierpnia do naszej pierwszej barykady na Miodowej podjechały dwa – nośnik ładunków, o którym mówimy, i czołg Pantera, który oddał jeden strzał w głąb Podwale. Ten ostatni trafił w drugą barykadę i odjechał, a Borgward zatrzymał się na Miodowej. Rzucono w niego butelkami z benzyną, ale nie spowodowało to większych uszkodzeń. W pewnym momencie z transportera uciekł obsługujący go żołnierz. Ktoś od nas wszedł do środka i stwierdził, że nie ma tam

żadnych środków wybuchowych, min czy innych pułapek. Po kilku godzinach przyjechało dwóch żołnierzy z kompanii motorowej „Orleń”. Oświadczyli, że mają rozkaz zobaczyć, co jest w środku transportera i go uruchomić. Rozebrano więc kawałek barykady i wtedy oni wjechali transporterem na Starówkę; pokrzyłi przez chwilę po uliczkach i zatrzymali się przy barykadzie wewnętrznej, na styku ulic Kilińskiego i Podwala. Ja byłem na drugim piętrze budynku przy Kilińskiego 3. Miałem za sobą dyżur na barykadzie i spałem. Jeden z kolegów zaczął mnie budzić: „Jurek, zdobyliśmy czołg, choć zobaczmy!”. Wstałem z siennika i podeszedłem do okna, przy którym stało kilku kolegów. Zobaczyłem rozentuzjasmowany tłum ludzi. Widziałem też, jak rozbierano część barykady na Kilińskiego, by transporter mógł pojechać dalej. Chwilę obserwowałem, jak próbował się zmieścić w barykadzie i wreszcie przejechał, uderzając przodem o bruk, w tym momencie oderwała się od niego jakaś skrzynia; zobaczyłem błysk, wybuchu już nie słyszałem. Po dwóch dniach przebudziłem się w szpitalu. Stałem się otworzyć oczy, ale nic nie widziałem! Pomyslałem, że przez ten błysk wybuchu straciłem wzrok!

To musiało być dla Pana straszne przeżycie.

Tak, nigdy później nie byłem tak przerażony, jak wtedy. Na szczęście okazało się, że to tylko zaschła krew ze złamanego nosa zakleiła mi oczy...

Dzisiaj tłumaczę sobie, że miejsce wybuchu transportera było przypadkowe, a Niemcy chcieli rozsądzić pierwszą, główną barykadę, która zagradzała im Podwałę. Gdyby im się to udało, wtedy wjechałyby czołgi, a za nimi weszłaby piechota. I tego 13 sierpnia przedarliby się na Stare Miasto, by zrobić to samo, co na Woli. Zabrzmiałoby to paradoksalnie, ale cena, którą zapłaciliśmy za to, że mina wybuchła nie na pierwszej barykadzie, tylko na wewnętrznej, była stosunkowo niewielka, w porównaniu z tym, co mogło się stać.

Według najbardziej wiarygodnych wyliczeń Roberta Bieleckiego, od wybuchu transportera zginęło około 110 żołnierzy, a ludności cywilnej nieco więcej. Udokumentowano łącznie 210 nazwisk lub pseudonimów. Można sądzić, że liczba zabitych waha się od 250 do 300. Myśmy wtedy szacowali, że było około 500 ofiar śmiertelnych, ale to było przesadzone.

Na którym odcinku Pańskiego szlaku bojowego było najcięższe?

Trudno to porównywać. Na Woli byliśmy bardzo krótko i nie prowadziliśmy wielu bezpośrednich walk z nieprzyjacielem. Najgorszy był ostrzał z tzw. Grubej Berty i bombardowania lotnicze, ale wtedy to trwało krótko. Na Starym Mieście natomiast szybko zaczęły się zażarte walki. Do tego doszło narastające zmęczenie. Był to dla mnie najtrud-

niejszy okres w ciągu tych trzech tygodni. Pobyt w Śródmieściu był już nieporównywalnie lżejszy. Po walkach na Starówce nasze oddziały były bardzo wykrwawione i tutaj mieliśmy właściwie „wypoczynek”. Ale część ludzi zdolna do walki otrzymała rozkaz wsparcia walczących i ja znalazłem się w tej grupie. Dołączono nas do kompanii zbiorczej mjr. Włodzimierza Zawadzkiego „Bartkiewicza”. Obsadziliśmy Prudential, ale to już nie były tak ciężkie zmagania. Pamiętam, że po przejściu na Śródmieście wydawało nam się, że znaleźliśmy się w raju. Ludzie normalnie ubrani i czysti... Lecz, prawdę mówiąc, ja wtedy głównie odsypiałem bezsenne noce na Starówce. Później znalazłem się na ulicy Traugutta, przy wylocie na Czackiego, ale intensywność walki nie była już tak wielka, jak na Starym Mieście. Na nasze nastroje wpływała też wiadomość, że zostaliśmy objęci konwencją genewską i Niemcy nie mogą nas już rozstrzeliwać jako „bandytów”.

A jak Pan wspomina kanały?

Nie wspominam ich jakoś wyjątkowo źle. Podchodziliśmy do nich dwa razy: pierwszy raz w nocy z 31 sierpnia na 1 września, ale to był błędny rozkaz o wycofywaniu się. Drugi raz stanęliśmy nad kanałem na rogu ulic Długiej i Miodowej następnej nocy, z 1 na 2 września, i wtedy znalazłem się w czołówce schodzących. Nie powiedziano nam, gdzie są klamry, za które można się chwycić. W efekcie wpadłem do kanału. Zdażyłem tylko podkurczyć nogi i... spadłem kilka metrów w dół na coś miękkiego. Okazało się, że to mój poprzednik, na szczęście dla mnie najgrubszy żołnierz w kompanii, ps. „Złotko”, więc miałem upadek amortyzowany. On tylko jęknął, ale też nic mu się nie stało.

Najgorsze w kanale było echo wywoływane przez ostrzał artyleryjski. Odnosiło się wrażenie, że pociski bezpośrednio spadają na miejsce, w którym się stoi. Ponadto byliśmy ostrzegani, że Niemcy wrzucają granaty przez otwarte włazy i te odgłosy wiązałyśmy z tym faktem. Dodatkowo, co kilka minut musieliśmy przystawać, by przewodnicy sprawdzili kierunek marszu według wyrysowanych strzałek, ale my tego nie wiedzieliśmy; trzeba było też zachować wyjątkową ciszę w czasie przechodzenia pod włazami, by nie ściągnąć Niemców z granatami. To wszystko mocno szarpało nerwy. Jak wyszliśmy, co najbardziej zapamiętałem, to nogi mieliśmy do kolan oblepione jakby w smole...

Miał Pan też wyjątkowe szczęście.

Zdecydowanie tak, i co warto podkreślić, związane było ono z tym, że służyłem w bojowym, by nie powiedzieć elitarnym, oddziale, w którym mieliśmy do siebie zaufanie i byliśmy bardzo zgrani. I to nam zostało też po kapitulacji, w niewoli, a nawet w dalszym, często niełatwym powojennym życiu. ■

Charakterystyczne
nakrycie głowy –
kapelusz alpejski
ozdobiony piórem
czarnego kruka –
alpini noszą
od końca
XIX wieku.



Włosi należą do prekursorów, jeśli chodzi o tworzenie wyspecjalizowanych jednostek przeznaczonych do działań w górach. W 1872 roku w majowym numerze wojskowego pisma „Rivista Militare” ukazał się artykuł kpt. Giuseppe Perrucchettiego, w którym zaproponował on wzmocnienie obrony północnej granicy kraju, gdzie znajdują się Alpy, oddziałami złożonymi z mieszkańców tego regionu. Oficer argumentował, że ludzie żyjący w górach będą najlepiej wiedzieć, jak w nich walczyć, a dodatkową motywacją stanie się dla nich świadomość, że bronią własnej ziemi i swych rodzin. Dekretem królewskim nr 1056 z 15 października 1872 roku aktywowano pierwszych 15 kompanii, każda po 120 żołnierzy. W następnym roku sformowano jeszcze dziewięć kompanii. Tereny górskie północnych Włoch podzielono na siedem dystryktów wojskowych. Tak narodziły się jednostki znane jako alpini.

W 1875 roku powiększono liczebność kompanii piechoty górskiej do 255 ludzi, w tym było pięciu oficerów. Wówczas też 24 kompanie, których podstawową bronią były karabiny Vetterli wzór 1870, rozdzielono pomię-

TADEUSZ WRÓBEL

Spod znaku kruczego pióra

Do elity włoskich wojsk lądowych zaliczane są od dziesięcioleci jednostki przeznaczone do działań w górach.

dzy siedem batalionów, rozmieszczonych po jednym w każdym z dystryktów. Dwa lata później utworzono pierwszych pięć baterii artylerii górskiej. Do 36 zaś zwiększono liczbę kompanii piechoty, zgrupowanych w dziesięć batalionów.

Na tym nie skończyła się rozbudowa nowej formacji. W listopadzie 1882 roku podwojono liczbę kompanii i batalionów. Te ostatnie otrzymały wyróżniające nazwy, wskazujące, jakiego terenu jednostka ma bronić podczas wojny. Bataliony włączono do sześciu nowo powstałych pułków alpini. Cztery z nich, 1 PAIp (Mondowi), 2 PAIp (Bra), 3 PAIp (Fossano) i 4 Alp (Turyn), miały po trzy bataliony, a dwa, 5 PAIp (Mediolan) i 6 PAIp (Conegliano), po cztery. Zwiększono też liczbę baterii artylerii górskiej.

W 1887 roku doszło do kolejnej reorganizacji. Z części 6 PAIp w Conegliano utworzono nowy, 7 PAIp, natomiast pozostali żołnierzy Szóstego przeniesiono do Werony. Sformowano też dwa dodatkowe bataliony, by każdy z pułków, poza Piątym, czterobatalionowym, miał ich trzy. W 1887 roku w Turynie powstał 1 Pułk Artylerii Alpejskiej, mający dziewięć baterii, każda z czterema działami. W tym samym roku w Rzymie powołano Inspektorat Oddziałów Alpejskich (Ispettorato delle truppe alpine). W latach osiemdziesiątych XIX wieku ostatecznie wykrystalizowało się charakterystyczne nakrycie głowy alpini – kapelusz alpejski ozdobiony piórem czarnego kruka. To dlatego żołnierze piechoty górskiej zyskali przydomek „Czarne Pióra”. Niebawem oficerowie zaczęli nosić wyróżniające białe orle pióro. Kapelusz alpini miał czarny kolor. Elementem umundurowania tych jednostek była ciemnoniebieska tunika z zielonymi mankietami oraz w tym samym kolorze płomieniami (fiamme verdi) na patkach kołnierza. Zieloną lamówkę miały też jasnoniebieskoszare spodnie. W 1906 roku alpini jako pierwsi w armii włoskiej otrzymali nowe umundurowanie w kolorze szarozielonym. Wówczas pojawił się używany do dziś model kapelusza wykonanego z szarego filcu.

Do jednostek alpejskich wprowadzono pod koniec lat osiemdziesiątych XIX stulecia karabin Vetterli-Vitali wzór 70/87. Od 1892 roku zaczęto go zastępować nowocześniejszą bronią – Carcano wzór 91, ale już pięć lat później wymieniono ją na wzór 91TS, który pozostał w użyciu do końca II wojny światowej. W tym okresie w kompaniach alpejskich pojawiły się muły. Na początku XX wieku zaś do uzbrojenia weszły pierwsze karabiny maszynowe, najpierw Maxim wzór 1906, a potem Maxim-Vickers wzór 1911.

W 1908 roku powstały dwa nowe bataliony, które weszły w skład 4 i 7 PAIp, ale już w następnym roku z tego ostatniego wydzielono dwa, które wraz z trzecim nowo sformowa-

nym utworzyły 8 PAIp w Udine. 1 października 1910 roku powołano jeszcze jeden batalion dla uzupełnienia Siódmego.

W przededniu wybuchu I wojny światowej Włosi mieli więc osiem pułków piechoty górskiej z 26 batalionami. Rezerwę stanowiło 75 kompanii zorganizowanych w 22 bataliony.

W 1909 roku w miejscowości Vicenza powstał 2 Pułk Artylerii Alpejskiej, który tak jak Pierwszy miał 12 baterii armat górskich kalibru 65 mm zorganizowanych w cztery grupy. W listopadzie 1914 roku w Bergamo sformowano 3 Pułk Artylerii Alpejskiej. Tym samym, przystępując do wojny, Włochy miały 36 baterii artylerii górskiej.

WIELKIE JEDNOSTKI

W czasie wojny liczba jednostek piechoty alpini wzrosła do 311 kompanii zorganizowanych w 88 batalionów, w których służyło co najmniej 80 tys. żołnierzy. Każdy z czynnych batalionów wystawił jeden pierwszo- i jeden lub dwa drugoliniowe bataliony rezerwowe. Artyleria górską rozrosła się do 175 baterii w ramach 67 grup. Tak wielka rozbudowa spowodowała, że do jednostek alpini zaczęto wcielać poborowych nie tylko z Alp, lecz także z górzystych terenów Półwyspu Apenińskiego.

Po zakończeniu wielkiej wojny liczbę batalionów piechoty i artylerii zredukowano. Jednak w 1919 roku sformowano nowy, 9 PAIp. Następną dużą reorganizacja jednostek alpejskich została przeprowadzona w pierwszej połowie lat trzydziestych XX wieku. W 1934 roku powstały cztery dywizje alpini – 1 DAIp Taurinense, 2 DAIp Tridentina, 3 DAIp Julia i 4 DAIp Cuneense. W następnym roku zaś 5 DAIp Pusteria. Z tego powodu utworzono dziesiąty pułk, który otrzymał numer 11. Bardzo krótko (1936–1937) działał 12 PAIp, który był jednostką złożoną z batalionów wydzielonych do Pusterii z innych dywizji i wysłanych do Afryki Wschodniej podczas wojny z Abisynią. W latach trzydziestych w armii włoskiej było 31 batalionów alpini z 93 kompaniami oraz dziesięć grup artylerii z 30 bateriami.

W 1941 roku z jednostek rezerwowych pięciu dywizji powstała 6 DAIp Alpi Graie. Przywódca faszystowskich Włoch Benito Mussolini, chcąc zwiększyć liczbę dywizji piechoty, zmniejszył w nich liczbę pułków piechoty z trzech do dwóch. W tym okresie pułk alpini miał trzy bataliony. Dywizyjny pułk artylerii tworzyły trzy grupy (dywizjony). Poza tym w strukturze dywizji były jeszcze batalion saperów oraz poddziały logistyczne, medyczne i karabinierów. Według etatu było to w sumie 573 oficerów oraz 16887 podoficerów szeregowych. Dywizja miała około 5 tys. mułów i 500 pojazdów.





Alpejczycy uzbrojeni w ciężki karabin maszynowy Fiat-Revelli Mod. 1935.

LUDZIE ŻYJĄCY W GÓRACH NAJLEPIEJ WIEDZĄ, JAK W NICH WALCZYĆ, A DODATKOWĄ MOTYWACJĄ JEST DLA NICH ŚWIADOMOŚĆ, ŻE BRONIĄ WŁASNEJ ZIEMI I SWYCH RODZIN

Po zawarciu przez rząd marszałka Pietra Badoglio rozejmu z aliantami, na początku września 1943 roku, Niemcy rozbroili większość jednostek alpejskich. Jednak niebawem alpini pojawili się zarówno w armii kolaborującej z Niemcami Włoskiej Republiki Socjalnej (4 DAIP Monte Rosa), której przywódcą był Mussolini, jak i siłach włoskich u boku aliantów (bataliony Piemonte i Monte Granero).

W latach 1949–1953 sformowano pięć brygad alpini, były to Julia, Taurinense, Tridentina, Cadore i Orobica. W 1972 roku wszystkie jednostki górskie znalazły się w składzie IV Korpusu Armijnego Alpejskiego.

Po zakończeniu zimnej wojny zredukowano liczbę brygad alpini. W 1991 roku rozformowana została Orobica, w 1997 roku Cadore i w 2002 roku Tridentina. Nazwę tej ostatniej nadano wówczas nowo utworzonemu dowództwu dywizji, w której skład wchodzi brygady Julia i Taurinense. Każda z nich ma trzy pułki piechoty, które faktycznie są batalionami. Współcześni alpini dysponują m.in. lekkimi pojazdami opancerzonymi Lince, sześciokołowymi transporterami Puma i gąsienicowymi Bv206.

Brygadowy pułk artylerii ma tylko jedną grupę z holowanymi haubicami FH-70 155 m. Poza tym w strukturze brygady są jeszcze jednobatalionowy pułk saperów i dwubatalionowy pułk logistyczny. Oprócz brygad istnieją też, stanowiący równowartość batalionu, pułk spadochronowy alpini, dwubatalionowy pułk łączności i centrum szkolenia.

GÓRALE NA WOJNIE

Choć jednostki górskie utworzono z myślą o obronie północnej granicy Włoch, to chrzest bojowy przeszły one w ekspedycjach zamorskich i wojnach kolonialnych. W 1887 roku sformowano złożony z ochotników czterekompanijny 1 Afrykański Batalion Alpini, który wysłano do Erytrei z powodu napięcia w stosunkach z Abisynią. Jednostka powróciła do kraju w końcu kwietnia następnego roku. Jej straty wyniosły 14 ludzi, którzy padli ofiarą chorób tropikalnych. Gdy wybuchła pierwsza wojna z Abisynią, alpini znowu przybyli do Erytrei.

Wysłano tam odtworzony 1 Afrykański Batalion Alpini i cztery baterie artylerii. Włoscy górale ponieśli ogromne straty 1 marca 1896 roku podczas bitwy pod Aduą. Z 924 alpini, którzy po komendą ppłk. Davide'a Meniniego wyruszyli z Włoch, przeżyło około 90. Po tej bitwie pierwszego żołnierza piechoty górskiej odznaczono złotym medalem za męstwo. Otrzymał go pośmiertnie dowódca 4 kompanii kpt. Pietro Cella, który bronił ze swymi ludźmi strategicznego wzgórza, dając czas na ucieczkę włoskim niedobitkom.

W pierwszej dekadzie XX wieku alpini nieśli pomoc na terenach południowych Włoch nawiedzonych przez niszczycielskie trzęsienia ziemi. Górale znowu udali się do Afryki, gdy wybuchła wojna włosko-turecka. Od października 1911 roku do sierpnia 1914 roku w Libii walczyło kilka batalionów i grup artylerii z jednostek górskich.

Podczas I wojny światowej włoskim alpini przyszło walczyć na terenach, do obrony których ich stworzono. Front włosko-austrowęgierski ciągnął się wzdłuż wysokich szczytów gór i lodowców alpejskich. Toczone tam walki przeszły do historii jako „wojna w śniegu i lodzie”. Walczące w Alpach wojska starały się zadać przeciwnikowi jak największe straty, m.in. ostrzałem artyleryjskim wywołując lawiny. Alpini nie tylko walczyli, ale też budowali niezbędną do działań wysokogórskich infrastrukturę: drogi, kolejki linowe, ścieżki, tory kolejowe, składy i koszary. Podczas wojny alpini złożyli ogromną daninę krwi – 35 tys. zabitych i zaginionych oraz około 80 tys. rannych.

W okresie międzywojennym 5 DAłp Pusteria została wysłana do Afryki Wschodniej, gdzie w 1935 roku faszystowskie Włochy napadły na Abisynię. Jednostka powróciła do kraju wiosną 1937 roku. W Abisynii zginęło ponad 200 alpini.

10 czerwca 1940 roku Benito Mussolini przystąpił do wojny po stronie hitlerowskich Niemiec. Wśród sił włoskich, które zaatakowały Francję, były cztery dywizje alpini: Cuneense, Tridentina, Taurinense i Pusteria. Walki zakończyły się rozejmem. Później, do stycznia 1942 roku, Taurinense stacjonowała w okupowanej przez Włochy części południowej Francji.

Tymczasem Benito Mussolini, starając się dorównać sukcesom odniesionym przez Niemców, postanowił zaatakować z terenu okupowanej Albanii sąsiednią Grecję. Wojna rozpoczęła się 28 października 1940 roku. Wśród włoskich sił inwazyjnych była dywizja Julia, która poniosła duże straty w pierwszych tygodniach walk. Konflikt od początku nie przebiegał tak, jak planował dyktator. Sytuacja na froncie przyczyniła się do tego, że przed końcem 1940 roku do Albanii przerzucono jeszcze dywizje Cuneense, Tridentina i Pusteria. Wojna z Grecją zakończyła się w kwietniu 1941 roku, gdy do walki włączyli się Niemcy.

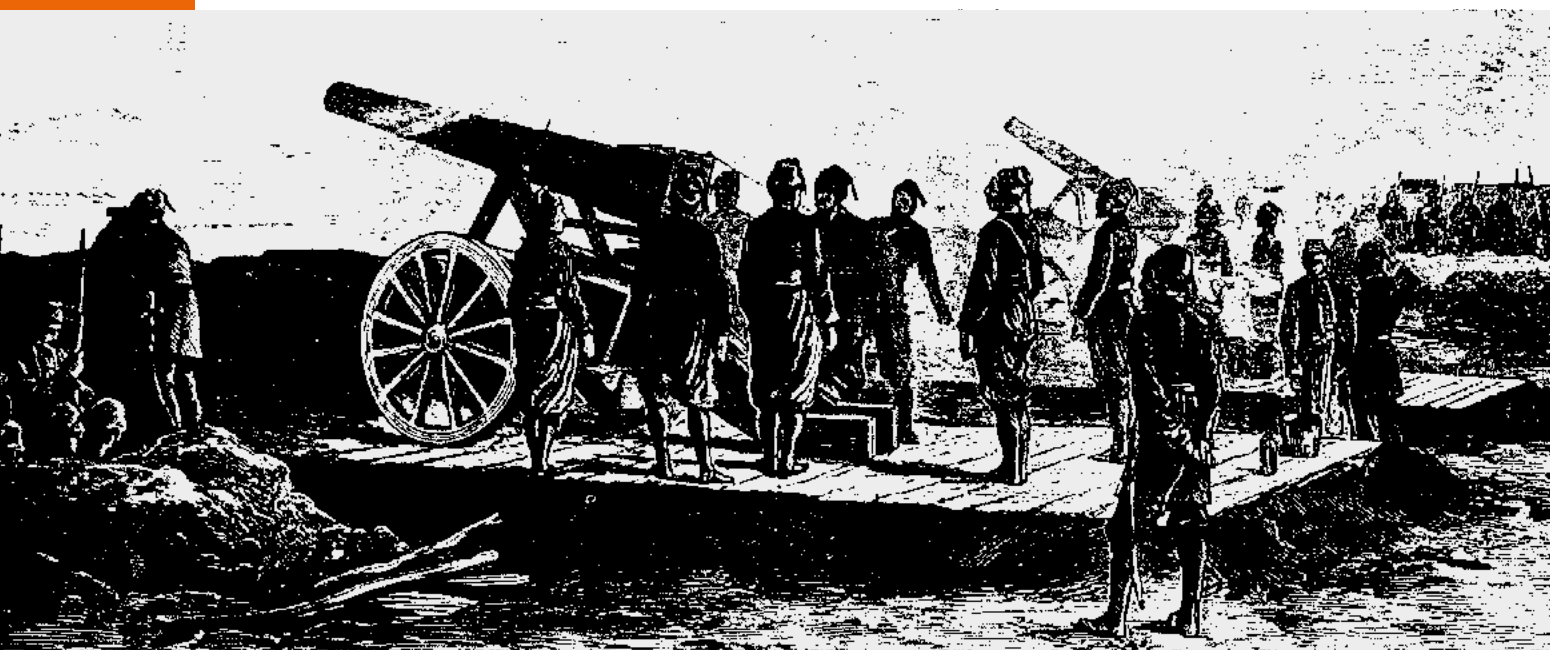
Do tego czasu jednostki alpini odnotowały 14 tys. zabitych i 25 tys. zaginionych. Niektóre z nich wysłano do sąsiedniej Jugosławii, również będącej pod okupacją niemiecko-włoską. W Czarnogórze rozmieszczono w 1942 roku dywizję Alpi Graie.

W latach 1940–1941 walki między Brytyjczykami a Włochami toczyły się w Afryce Wschodniej. W składzie włoskiej 65 Dywizji Piechoty „Granatieri di Savoia” był batalion alpini Uork Amba. Jego żołnierze zostali przetrzebieni w lutym i marcu 1941 roku w bitwie o strategiczną przełęcz w rejonie miasta Keren w Erytrei. Zginęło 323 spośród 916 alpini z Uork Amba, a rany odniosło 460.

Benito Mussolini postanowił dołączyć do Niemców, którzy rozpoczęli wojnę ze Związkiem Sowieckim. Od sierpnia 1941 roku na front wschodni zaczęły przybywać jednostki włoskiego korpusu ekspedycyjnego. W następnym roku siły te zwiększyły się do trzech korpusów. W lipcu 1942 roku stworzono z nich 8 Armie.

Na front wschodni trafił 57-tysięczny korpus alpejski w składzie trzech dywizji – Tridentina, Julia i Cuneense. Być może zakładano, że Włochom przyjdzie walczyć w górach Kaukazu. Tymczasem wysłano ich na równiny nad Donem. Alpini nie mieli dostatecznej liczby potrzebnych na takim terenie pojazdów (w korpusie było ich 1600), broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej oraz środków łączności. Także ich umundurowanie nie było przystosowane do rosyjskiej zimy. Pomimo to Włosi utrzymali pozycje do połowy stycznia 1943 roku. Sowieci jednak przełamali front. W czasie odwrotu korpus alpejski został zniszczony. Z dywizji Cuneense przetrwało 1300 żołnierzy. Z dywizji Tridentina ocalała mniej niż jedna trzecia z 15 tys., a z Julii – niecała jedna dziesiąta. Korpus, który liczył wówczas 63 tys. żołnierzy, odnotował straty wynoszące około 41 tys. zabitych i zaginionych oraz ponad 10 tys. rannych. Niedobitki alpini powróciły do Włoch, gdzie żadna z trzech dywizji nie została odtworzona przed zawarciem rozejmu.

W 1942 roku dywizje Alpi Graie i Taurinense przerzucano do Jugosławii, do walki z rosnącymi w siłę partyzantami. W listopadzie tegoż roku Pusteria i część Alpi Graie wzięły udział w operacji zajęcia nieokupowanej części Francji. Pierwsza z dywizji pozostała tam do września 1943 roku, kiedy ją rozbrojono. W tym czasie Alpi Graie była na stanowiskach obronnych w rejonie portu La Spezia. Część żołnierzy dywizji Taurinense, którą rozejm zastał na Bałkanach, dołączyła do jugosłowiańskich partyzantów i walczyła w składzie dywizji Garibaldi. W ostatniej fazie wojny alpini przyłączyli się zarówno do aliantów, jak i Niemców. ■



ROBERT SENDEK

OBALIĆ KSIĘCIA

W styczniu 1859 roku polscy oficerowie dowodzeni przez Wincentego Wierzbickiego przygotowywali zamach na nowego księcia Mołdawii, Aleksandra Jana Cuzę. Spisek został jednak wykryty.

Półowa XIX wieku to czas dla Polski nieszczerólny. Po klęsce powstania listopadowego oraz w związku z wydarzeniami Wiosny Ludów (1848) tysiące Polaków biorących udział w ruchach niepodległościowych zdecydowało się na emigrację. Udawali się głównie na Zachód, ale wielu wybrało Południe – na Węgry, a potem do europejskich posiadłości imperium tureckiego.

Turcja osmańska, najważniejszy rywal carskiej Rosji w południowo-wschodniej Europie, była dla polskich uciekinierów ziemią obiecaną: oferowała schronienie i możliwość podjęcia walki ze zniechędzonym caratem. W służbie sułtana znalazło się wielu prawdziwych patriotów. Chcąc uniknąć ekstradycji do Rosji oraz umożliwić sobie karierę wojskową, wielu przechodziło na islam. Konwertytami zostali m.in. gen. Józef Bem, Konstanty Borzęcki, Antoni Iliński. Do najbarwniejszych postaci, które w Turcji zrobiły karierę, należał Michał Czajkowski, powstaniec listopadowy, żołnierz i polityk, a jednocześnie wzięty literat. Jako przedstawiciel Hotelu Lambert działał na Bałkanach

od początku lat czterdziestych XIX wieku. W 1851 roku przeszedł na islam i rozpoczął służbę u sułtana, a już dwa lata później otrzymał godność paszy (generała), przybrał też imię Mehmed Sadyk.

Między Turcją a carską Rosją w 1853 roku zaczął się konflikt o posiadłości na Bałkanach. Przerodził się on w walkę mocarstw europejskich o powstrzymanie imperialnych zakusów Rosji i przeszedł do historii jako wojna krymska. Wielu Polaków liczyło na to, że sukcesy armii tureckiej będzie można wykorzystać dla sprawy polskiej. Sadyk Pasza zajął się wówczas organizowaniem w Dobruży oddziału, do którego wstępowały miejscowi Kozacy, ale także Polacy, tworzący w nim kadre oficerską, Bułgarzy, Wołosi oraz inni chrześcijańscy mieszkańcy Turcji. Do najbliższych współpracowników Czajkowskiego należał podówczas Wincenty Wierzbicki (niektóre opracowania podają imię Tomasz), kapitan, znany także jako Murad Bej. W 1854 roku Czajkowski wraz ze swym oddziałem wkroczył do Bukaresztu, gdzie przez dwa tygodnie, do czasu



Grzegorz Sturda – Muhlis Pasza (z lewej) miał być osadzony na tronie Mołdawii. Jednak 17 stycznia 1859 roku zebrani w Jassach delegaci wybrali nowym władcą Mołdawii płk. Aleksandra Jana Cuzę (z prawej), byłego ministra wojny.



RYCINA Z „THE ILLUSTRATED LONDON NEWS” UKAZUJĄCA GRZEGORZA STURDZĘ DOWODZĄCEGO W WOJNIE KRYMSKIEJ



przybycia głównych wojsk gen. Omera Paszy, był komendantem miasta. Obracając się jako przedstawiciel sułtana wśród arystokracji rumuńskiej, Czajkowski zawiązał liczne znajomości osobiście lub za pośrednictwem swych wysłanników, działających w obydwu księstwach rumuńskich, Mołdawii i Wołoszczyźnie. W ten sposób poznał m.in. Grzegorza Sturdzę, bojara mającego ambicje zdobycia w Mołdawii władzy książęcej.

KSIĄŻĘ Z PRZYDOMKIEM CIELAK

Grzegorz Sturda jest postacią malowniczą, choć nieco kontrowersyjną. Wywodził się z mołdawskiego rodu bojarzkiego Sturdzów, którego przedstawiciele pełnili w przeszłości najwyższe mołdawskie funkcje państwowe i urzędnicze. Był synem księcia Michała, który na tronie mołdawskim zasiadał w latach 1834–1849. Grzegorz należał do największych ekscentryków swojej epoki: pasjonat sportu, a jednocześnie miłośnik astronomii, do późnego wieku odznaczał się niezwykłą siłą. Zresztą o swą krzepę dbał ponoć od najmłodszych lat. Z tego właśnie powodu przyłgnął do niego przydomek „Książątka Cielak” (rum. Beizadea Vițel). Podobno Sturda za młodu, w trakcie ćwiczeń zwykł wykorzystywać w charakterze sztangi z ciężarkami... cielaka, którego podnosił i opuszczał na ramionach.

Dykteryjka ta i dość lekceważący przydomek kompletnie pomijają walory intelektualne księcia. Sam Michał Czajkowski, który osobiście miał okazję poznać Sturdzę, pisał o nim, iż był to oficer „głębokiej i rozległej nauki wojсковей, używający zachowania między swoimi współrodakami, waleczny, człowiek porządku i energii niezaprzeczanej”. W karykaturze przedstawiano go jako człowieka

Wschodu: w turbanie, z szerokim pasem, za którym załknięty jest jatagan. Powszechnie bowiem wiadano o jego służbie w armii sułtańskiej, gdzie od 1852 roku nabierał doświadczenia wojskowego i zdobywał oficerskie szlify. W czasie wojny krymskiej, już jako Muhlis Pasza, został, m.in. dzięki poparciu Michała Czajkowskiego, szefem sztabu Omera Paszy. Mimo wszystko człowiek ten był dzieckiem swej epoki, pełnym sprzeczności, i prócz zalet, takich jak lotny umysł, miał także wady, mianowicie nieposkromione ambicje. Nie zwykł przy tym przebierać w środkach dla osiągnięcia założonego celu.

SOJUSZ BOJARA Z PASZĄ

Po zakończeniu wojny krymskiej w 1856 roku znajomość Czajkowskiego ze Sturdzą przerodziła się w swoiste przymierze, oparte na wspólnocie interesów. Sadyk Pasza spodziewał się, że popierając starania bojara o objęcie tronu Mołdawii, uzyska w nim sojusznika, który będzie użyteczny dla sprawy polskiej. Życzliwość władcy pogranicznego księstwa mołdawskiego wiele spraw mogła bowiem ułatwić: przemyt ludzi z Rosji i do Rosji, rekrutację ochotników, zdobycie broni i wyposażenia itp.

Dysponując rozległymi znajomościami w Stambule oraz niemałymi kwotami, przekazanymi przez samego księcia, Polacy uruchomili w połowie 1858 roku akcję zdobycia „poparcia” dla kandydata do urzędu. W Turcji osmańskiej był praktykowany nieformalny zwyczaj kupowania stanowisk, znaczne sumy zostały w związku z tym przeznaczone dla członków tureckiego rządu za ich „przychylność” dla mołdawskiego bojara. Sturda starał się wówczas o tytuł kajmakama (namiestnika), co miało być etapem wstępu





WIELU POLAKÓW LICZYŁO NA TO, ŻE EWENTUALNE SUKCESY ARMII TURECKIEJ W WOJNIE KRYMSKIEJ BĘDZIE MOŻNA WYKORZYSTAĆ DLA SPRAWY POLSKIEJ



Do najbarwniejszych postaci, które w Turcji zrobiły karierę, należał Michał Czajkowski, powstaniec listopadowy, żołnierz i polityk, a jednocześnie wzięty literat. W 1851 roku przeszedł na islam i rozpoczął służbę u sultana, otrzymał godność paszy (generała), przybrał też imię Mehmed Sadyk.

nym przed zdobyciem właściwej władzy księżęcej. Z różnych względów plan ten spalił jednak na panewce – Sturdza nie otrzymał tureckiego wsparcia.

W Mołdawii trwała tymczasem kampania wyborcza, w trakcie której rozmaite stronnictwa wysuwały własnych kandydatów na stanowisko księcia. Sam Sturdza mocno zaangażował się w walkę polityczną, w której szczególnie zaciekle rywalizował... z własnym ojcem, Michałem. O poparcie dla Grzegorza zabiegali także polscy spiskowcy, działający wśród delegatów do mołdawskiego zgromadzenia, mającego wybrać nowego księcia.

PECHOWY SPISEK

Sturdza zadbał o zaplecze i w październiku 1858 roku ściągnął do stołecznych Jass Wierzbickiego – Murad Beja, swego adiutanta z czasów wojny krymskiej, a jednocześnie łącznika z rezydującym w Stambule Czajkowskim. Zaraz po przybyciu Wierzbicki rozpoczął kampanię werbunkową, rozgłaszając, że poszukuje ludzi do formowanego „legionu polskiego”. Sprawę ułatwiały pieniądze, które dostał od Sturdu. Ochotników znalazło się niemało – w styczniu 1859 roku oddział liczył około 450 osób. Wśród bliskich współpracowników Wierzbickiego było wielu przebywających wówczas w księstwach naddunajskich oficerów polskich, m.in. Maurycy Ostoja Chodylski, Antoni Malczewski czy Jan Mokrański, którzy nadzorowali tworzenie oddziału. W tym samym czasie część spiskowców zajmowała się zdobywaniem broni i wyposażenia oraz przygotowywaniem amunicji.

Przewidywano, iż sformowany oddział będzie po elekcji Sturdu czymś w rodzaju osobistej gwardii i posłuży do

utrwalenia władzy nowego księcia. W zamian Sturdza obiecał, że Polakom przypadną w udziale czołowe stanowiska wojskowe, sam Wierzbicki liczył na godność naczelnego dowódcy armii mołdawskiej. Na 25 stycznia 1859 roku zaplanowano koncentrację oddziału w majątkach Sturdu. Spiskowcy mieli następnie wraz z podburzonym chłopstwem rumuńskim ruszyć na Jassy i pomóc w elekcji księcia. Wydarzenia przybrały jednak nieoczekiwany obrót. 17 stycznia 1859 roku zebrani w Jassach delegaci wybrali nowym władcą Mołdawii płk. Aleksandra Jana Cuzę, byłego ministra wojny, który we wcześniejszych rokowaniach praktycznie nie był wspominany jako kandydat do tronu. Zaskakująca sytuacja skłoniła spiskowców do zmiany planów. Sturdza w porozumieniu z Wierzbickim podjął decyzję, by sformowany oddział wykorzystać do obalenia księcia Cuzy i że następnie sam osiadzie na tronie.

Spisek został jednak wykryty. Doszło do tego ponoć w wyniku zdrady, choć historycy rumuńscy utrzymują, że władze księstwa już wcześniej wiedziały o trwających przygotowaniach. Zaczęły się aresztowania, przesłuchania, a następnie proces, który zakończył się w październiku 1859 roku. O udział w spisku i próbę wywołania powstania oskarżono około 50 osób, reszta zbiegła lub nie została złapana. Ze spiskowcami rozprawiono się jednak dość łagodnie, ostatecznie do rewolty przecież nie doszło. Zostali skazani na dziewięć miesięcy aresztu, a więc tyle, ile przesiedzieli w trakcie śledztwa. Trzech zostało skazanych na 20 batów, ale książę Cuza uchylił tę karę, zalecając wszystkim spiskowcom opuszczenie kraju. Sam Sturdza wyparł się swego udziału w spisku, dzięki czemu mógł zachować mandat deputowanego. ■



Poznaj nową
ofertę **Promo**

Planując podróż
wcześniej zawsze
oszczędzasz!

Korzystaj ze zniżek,
nawet **do 55%**
od ceny bazowej



14:20

TADEUSZ WRÓBEL

Niedoceniona konstrukcja

Sowiecki T-26 był najliczniej wyprodukowanym na świecie czołgiem w okresie międzywojennym.

Czołowym producentem pojazdów pancernych w okresie międzywojennym była brytyjska firma Vickers. Na bazie zakupionych od niej licencji niektóre państwa opracowywały własne konstrukcje. W tym gronie był Związek Sowiecki. 28 maja 1930 roku podpisał on umowę na dostawę sześciotonowych czołgów Vickers Mk. E (nabyła je też Polska). W ramach kontraktu do Związku Sowieckiego dostarczono 15 wozów dwuwieżowych typu A, uzbrojonych w dwa karabiny maszynowe Vickers kalibru 7,7 mm, oraz dokumentację techniczną do uruchomienia ich produkcji na miejscu.

PIERWSZE WERSJE

Zamówione u Vickersa czołgi dostarczono w latach 1930–1932. W tym samym czasie Sowieci zaczęli prace nad nowym wozem, w którym wykorzystano rozwiązania z konstrukcji brytyjskiej. Jednocześnie wprowadzono wiele własnych pomysłów, np. cylindryczne wieże czołgu, któremu nadano oznaczenie T-26, były wyższe niż oryginał. Karabiny kalibru 7,7 mm zastąpiono czołgową wersją rodzimej konstrukcji karabinu maszynowego DT-29 kalibru 7,62 mm. Zmodyfikowany został przód kadłuba. Napęd stanowił chłodzony powietrzem silnik benzynowy GAZ-T-26 o mocy 90 KM, który był kopią silnika montowanego w wozach Vickers Mk.E. Pierwsze T-26 miały zbiornik paliwa o pojemności 182 l, ale szybko zaczęto montować większy, 290-litrowy. Nie obyło się bez problemów. So-

wieckie huty nie były w stanie dostarczyć stali pancernej takiej jakości jak brytyjska. T-26 w wersji 1931 miały kadłub nitowany z pancierzem o grubości od 6 mm do 13–15 mm (przód i boki kadłuba oraz wieży). Jednak część zbudowano z płyt dziesięciomilimetrowych z powodu braku grubszych. To w połączeniu z niskiej jakości stalą powodowało ich słabą odporność.

Niezależnie od produkcji dwuwieżowego T-26 konstruktorzy pracowali nad nowymi wersjami. Jednym z kierunków prowadzonych prac było wzmocnienie uzbrojenia. Pierwsze próby dotyczyły zamontowania w prawej wieży armaty PS-1 (Hotchkiss-PS) kalibru 37 mm lub B-3 kalibru 37 mm. Czołg ten jest określany jako



Pojazdy T-26 chrząst bojowy przeszły podczas hiszpańskiej wojny domowej.



wersja 1932. W następnym roku pojawił się jednowieżowy T-26 uzbrojony w armatę 20K wzór 1932 kalibru 45 mm o długości 46 kalibrów (później była to wersja wzór 1932/34). Z armatą sprzężony był karabin maszynowy DT-29.

DALSZE MODYFIKACJE

Sowieci nieustannie modyfikowali konstrukcję T-26. Od 1937 roku część czołgów dozbrojono w dodatkowe karabiny maszynowe – z tyłu wieży i przeciwlotniczy (około 470 w latach 1939–1940). Poprawiano również celowniki. Wersje 1938 i 1939 otrzymały panoramiczny celownik dowódcy oraz radiostację. Jednak najbardziej widoczną zmianą było wprowadzenie w 1938 roku nowej, stożkowej wieży, ale bez zmiany uzbrojenia. Wzmocniono jej opancerzenie, podobnie jak przodu kadłuba. Czołg w wersji 1939 wyposażono w zmodyfikowany silnik o nieco większej mocy, wynoszącej, według różnych źródeł, od 93 do 96 KM. Wersje 1938 i 1939 miały spawany kadłub, którego ściany, tak jak wieży, były pochylone.

Innymi wersjami T-26, których produkowano dużo, były tzw. czołgi chemiczne, wyposażone w miotacze ognia. Pierwszy był ChT-26, na bazie wersji 1931, z uzbrojeniem w jednej, małej wieży. Wyprodukowano ich 605. Następny był ChT-130, na bazie T-26, wersja 1933 z miotaczem ognia zamontowanym w miejscu armaty. Wyprodukowano 401 tych wozów. Z kolei 269 sztuk ChT-133 powstało na bazie wersji 1938 ze stożkową wieżą. Ostatni był ChT-134 na podstawie wersji 1939. W tym przypadku zachowano armatę, a miotacz ognia zamontowano w kadłubie. Powstały tylko dwa takie wozy. Kilkadziesiąt ChT-130 przerobiono w pojazdy zdalnie sterowane. Tak postąpiono z podobną liczbą T-26 wersji 1933. Ogółem powstało około 130 wozów TT-26 i TU-26.

Z czasem dwuwieżowe czołgi zaczęto przebudowywać w pojazdy specjalistyczne. 151 z nich zmieniono w ciągniki artyleryjskie T-26T. Później przerobiono na nie jeszcze 60 wozów dwuwieżowych, a 53 – na czołgi chemiczne ChT-26.

Prowadzono też prace nad samobieżnymi działami na platformie T-26. Pierwsze było Su-1 z armatą pułkową wzór 1927 kalibru 76,2 mm.

Choć początkowo chciano zamówić ich sto, to ostatecznie prace przerwano i postawiono na czołg wsparcia artyleryjskiego T-26A z armatą czołgową kalibru 76 mm. Jednak ten projekt zakończył się po wyprodukowaniu tylko sześciu pojazdów.

Kolejnym samobieżnym działem było Su-5. Powstały pojazdy Su-5-1 z armatą wzór 1902/30 kalibru 76,2 mm, Su-5-2 z haubicą wzór 1910/30 kalibru 122 mm oraz Su-5-3 z moździerzem wzór 31 kalibru 152 mm. Ostatecznie zamówiono 30 seryjnych wozów z haubicą. Na etapie prototypu zakończył się projekt samobieżnego działu przeciwlotniczego Su-6. Najpierw testowano wersje z armatą 3-K wzór 1931 kalibru 76 mm, a potem z 37-milimetrową.

Na bazie T-26 powstały też transportery piechoty, amunicji i paliwa, czołgi saperskie i zdalnie sterowane. Szacuje się, że powstało ponad 50 projektów różnych wersji czołgów i pojazdów specjalistycznych. Jednak mniej niż połowa została wdrożona do produkcji. Ta formalnie zakończyła się 1 stycznia 1941 roku, ale problemy z uruchomieniem wytwarzania nowego czołgu T-50 spowodowały, że tuż po wybuchu wojny z Niemcami zbudowano jeszcze 114 dwudziestek szóstek. Do tego w 1941 roku 130 dwuwieżowych T-26 przebudowano w jednowieżowe.

Istnieje problem z ustaleniem ostatecznej liczby wyprodukowanych T-26, ponieważ są bardzo duże rozbieżności pomiędzy planami a danymi o czołgach przekazanych Armii Czerwonej. Władimir Bieszanow w książce „Pogrom pancerny 1941” szacuje, że powstało ich ponad 11 tys. Stąd pomimo strat w walkach z Finami, Japończykami i Polakami oraz dostaw do Chin, Hiszpanii i Turcji, w dniu wybuchu wojny z Niemcami Sowieci dysponowali, według niego, 9998 egzemplarzami T-26.

T-26 W BOJU

Chrzest bojowy przeszły T-26 podczas hiszpańskiej wojny domowej (1936–1939). Zaczęto je dostarczać armii republiki od jesieni 1936 roku. Na Półwysep Iberyjski trafiło co najmniej 281 wozów w wersji 1933. Na polu bitwy okazały się lepsze niż czołgi niemieckie i włoskie. T-26 były w armii hiszpańskiej do lat pięćdziesiątych XX wieku.

Dwa bataliony T-26 w lipcu i sierpniu 1938 roku uczestniczyły w walkach z Japończykami w rejonie jeziora Chasan. Poza tym Sowieci użyli czołgów chemicznych ChT-26 oraz szybkich BT-5 i BT-7. Pomimo przewagi ponieśli porażkę, a kilkadziesiąt maszyn zostało zniszczonych lub uszkodzonych. W następnym roku dwudziestki szóstki uczestniczyły w wielomiesięcznych starciach z armią japońską nad rzeką Chalchyn-Gol, na pograniczu Mandżurii i Mongolii. Tym razem sukces odnieśli Sowieci.

1 września 1939 roku Niemcy zaatakowały Polskę. 17 września na jej wschodnie ziemie wkroczyli sowieccy agresorzy. W siłach inwazyjnych było ponad 1600 sztuk T-26. W walkach Sowieci stracili kilkanaście z nich. Ponad 300 czołgów zostało unieruchomionych z przyczyn technicznych.





T-26 wzięły udział w wojnie przeciwko Finlandii. Na początku jednostki Leningradzkiego Okręgu Wojskowego miały ich około 850. W trakcie wojny dosłano nowe jednostki i czołgi prosto z fabryk. Podczas wielomiesięcznego konfliktu Armia Czerwona straciła bezpowrotnie kilkaset T-26. Co najmniej kilkadziesiąt wpadło w ręce Finów.

Gdy 22 czerwca 1941 roku Niemcy uderzyli na Związek Sowiecki, T-26 był podstawowym czołgiem Armii Czerwonej. Sowieccy dowódcy uważali wówczas dwudziestkę szóstkę za przyzwoitą konstrukcję. Dopiero w powojennych wspomnieniach zaczęli odnosić się do tych wozów krytycznie. W ten sposób starali się wytłumaczyć z kompromitującej klęski, jaką ponieśli wojska pancerne Armii Czerwonej w pierwszych miesiącach wojny, mimo gigantycznej przewagi liczebnej nad Wehrmachtem. Władimir Bieszanow uważa, że jest to opinia nieprawdziwa. Według niego, T-26 mógł skutecznie przeciwstawić się niemieckim

PzKpfw I, PzKpfw II, PzKpfw 35(t) i PzKpfw 38(t), a te cztery typy stanowiły prawie połowę niemieckich czołgów na froncie wschodnim latem 1941 roku. Armata T-26 mogła też na pewnym dystansie być groźna dla PzKpfw III i PzKpfw IV. Opinię, że czołgi te nie były złe, potwierdzają wyniki niektórych bezpośrednich starć.

Według Bieszanowa, problemem w 1941 roku nie były parametry techniczne T-26 i innych lekkich sowieckich konstrukcji, lecz fatalne dowodzenie i słabe wyszkolenie załóg, niedostateczne zabezpieczenie techniczne oraz bałagan w zaopatrzeniu (braki paliwa). Znaczenie miało też ofensywne ugrupowanie sił Armii Czerwonej, która sama szykowała się do ataku na Niemców.

Wozy T-26 były używane na froncie wschodnim jeszcze w 1942 roku. Wraz ze zwiększonymi dostawami nowych czołgów – T-26, które przetrwały, przesuвано do jednostek tyłowych. Duża ich liczba była w siłach stacjonujących na Dalekim Wschodzie. Stąd też, gdy w sierpniu 1945 roku Związek Sowiecki wypowiedział wojnę Japonii, w ostatniej ofensywie Armii Czerwonej podczas II wojny światowej użyto setek dwudziestek szóstek.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Odzyskać pilotów



Wyszkolenie żołnierza zawsze było przedsięwzięciem niezwykle kosztownym. Jednakże wraz z postępem technicznym wielkość środków pochłanianych przez trening wojskowych profesjonalistów rosła i tendencja ta utrzymuje się również obecnie. Zawodowiec prezentujący wysoki poziom umiejętności jest więc zbyt drogi, by można było niefrasobliwie szafować jego życiem. Nowoczesne armie bardzo szybko zrozumiały to w odniesieniu do pilotów wojskowych. To właśnie oni stali się pierwszą grupą, dla której zbudowano specjalistyczne systemy ratowniczo-ewakuacyjne. O ile podczas I wojny światowej przypadki lądowania samolotów za linią wroga w celu podjęcia zestrzelonych kolegów wynikały z koleżeństwa, o tyle już w czasie kolejnego konfliktu globalnego stworzono specjalne struktury odpowiedzialne za ratownictwo personelu

lotniczego. Istniały one zarówno w siłach zbrojnych aliantów, jak i w państwach Osi. Po 1945 roku, w toku tzw. wojen lokalnych, skuteczność stosowanych rozwiązań znacząco wzrosła, przede wszystkim za sprawą wprowadzenia śmigłowców, które umożliwiły podejmowanie ewakuowanych bezpośrednio z ziemi lub wody. Doskonalono również procedury taktyczne, w wyniku czego akcje ewakuacyjne nabrały bardzo dużego rozmachu. Świetnie dowodzi tego przykład z 2 czerwca 1995 roku. Tego dnia Serbowie zestrzelili nad Bośnią, przy użyciu zestawu rakietowego 2K12 Kub, amerykański myśliwiec F-16. Jego pilot kpt. Scott O'Grady przeżył, katapultując się z trafiającej maszyny, i zdołał przetrwać tydzień na wrogim terytorium. 8 czerwca ewakuowali go marines z 3 Batalionu Piechoty Morskiej. W akcji uczestniczył pluton piechoty transportowany przez dwa śmigłowce CH-53, dwa śmigłowce bojowe AH-1W Cobra oraz cztery samoloty uderzeniowe AV-8B Harrier II. W gotowości utrzymywano dalsze siły lotnicze, które miały wejść do działań, gdyby zespół ewakuacyjny potrzebował wsparcia. Było to łącznie 14 samolotów bojowych i zabezpieczających.

Nie zawsze jednak istnieją możliwości i potrzeba, by akcji nadawać tak duży rozmach. Podczas kampanii bengalskiej w 1971 roku piloci pakistańskiego 14 Dywizjonu stacjonującego w Dakce utracili możliwość działania po zbombardowaniu przez lotnictwo indyjskie pasa startowego w macierzystej bazie. Pododdział miał co prawda jeszcze 11 sprawnych myśliwców F-86E Sabre, ale nie mogły one poderwać się w powietrze. W takiej sytuacji 8 grudnia 1971 roku piloci otrzymali rozkaz załadowania się na pokład transportowego samolotu Twin Otter, który odleciał do Birmy. Stamtąd przetransportowano ich do Pakistanu Zachodniego, gdzie byli potrzebni. W Bengalu „uziemienni” lotnicy mogli zostać użyci jedynie w charakterze piechurów, i to kiepsko wyszkolonych.

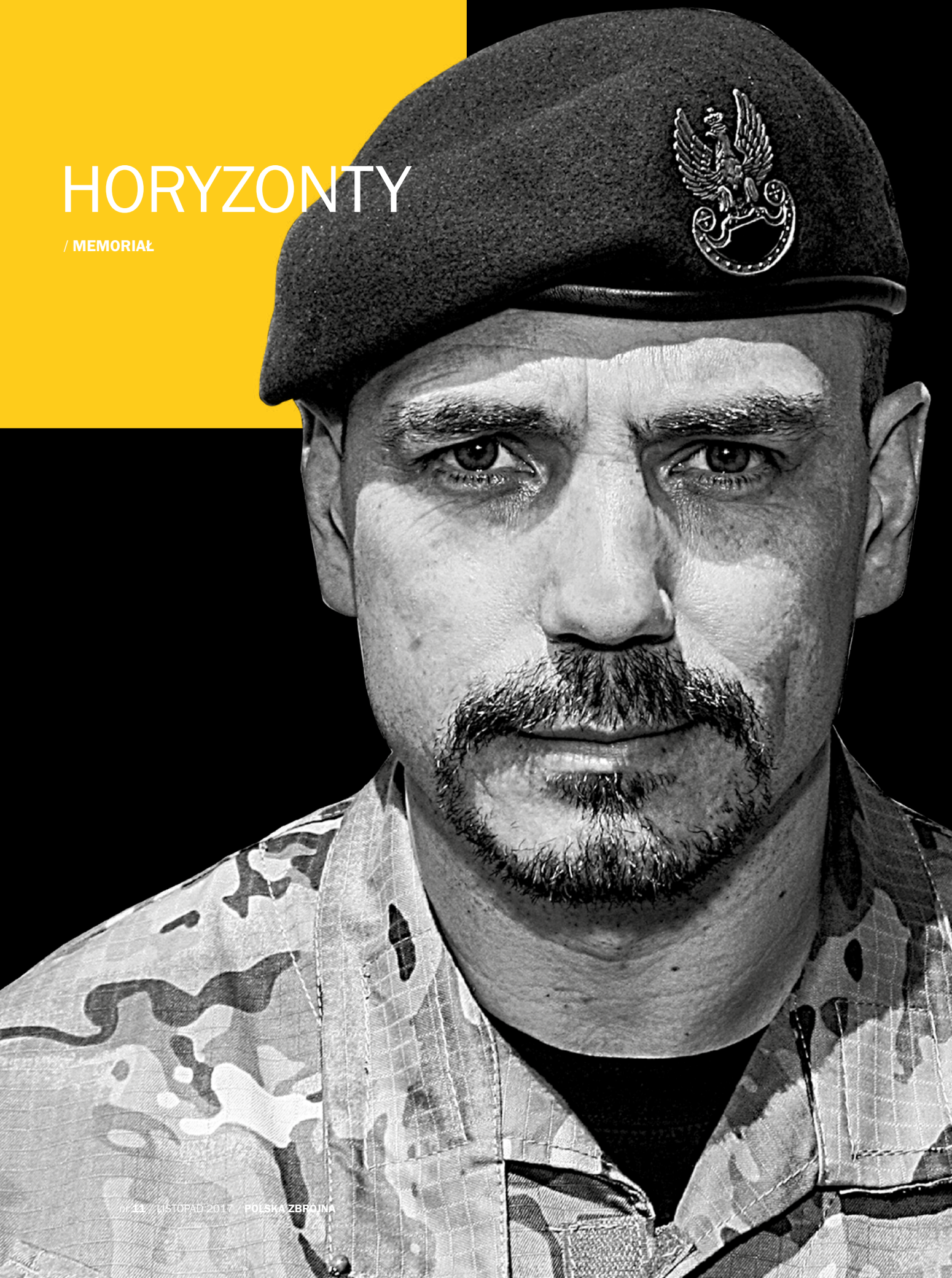
Podobny epizod rozegrał się w czasie wojny falklandzkiej w 1982 roku. Na opanowanych przez Argentyńczyków wyspach znajdowało się kilkunastu pilotów, którzy albo utracili swoje samoloty w wyniku rajdu brytyjskich komandosów na wyspę Pebble (14 maja 1982 roku), albo zostali zestrzeleni nad archipelagiem. W nocy z 28 na 29 maja z bazy w Comodoro Rivadavia wystartował transportowy Twin Otter Mk 200 należący do argentyńskich wojsk lotniczych, który miał ich ewakuować. Po pokonaniu ponad 900 km nad morzem samolot wylądował na wyspie Pebble. Tam na pokład weszło 11 lotników i w ten sposób szczęśliwie dotarli na kontynent. 31 maja dołączył do nich personel naziemny. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ MEMORIAŁ



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

NIE ZAPOMINAMY O SWOICH

**W Bieszczadach 60 osób przebiegło 30 km,
by uczcić pamięć płk. Sławomira Berdychowskiego,
założyciela Jednostki Wojskowej Agat.**



BOGUSŁAW POLITOWSKI



D

ługo nie mogłem uwierzyć w nagłą śmierć dowódcy. Dlatego, kiedy pierwsze emocje opadły, postanowiłem zrobić coś dla niego, w jakiś sposób uczcić jego pamięć. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, by zorganizować bieg w Bieszczadach, do których zresztą płk Berdychowski miał ogromny sentyment. O maratonie pomyślałem

dlatego, że pułkownik przyjeżdżał na każdą selekcję i wspólnie z uczestnikami rywalizował na trasie nocnego maratonu po górach. Nie chodziło zatem tylko o zwykłą imprezę biegową. Chciałem, żeby to był memoriał im. płk. Sławomira Berdychowskiego, by pokazać, że nie zapominamy o swoich”, mówi mjr rez. Wojciech Zacharków „Zachar”, były żołnierz Jednostki Wojskowej Agat.

Oficer przez kilka lat współpracował z Berdychowskim, był kierownikiem selekcji i szefem grupy szkolenia bazowego w gliwickiej jednostce specjalnej. W pierwszej kolejności o zgodę na zorganizowanie takiego wydarzenia poprosił wdowę po oficerze. „Byłam ogromnie wzruszona. Nie mogłam się nie zgodzić, to cudowna i szlachetna inicjatywa”, mówi Marta Berdychowska. Później było już łatwiej. W organizacji przedsięwzięcia „Zacharowi” pomogła m.in. Fundacja „Bieg Rzeźnika”. „Kiedy poznałem płk. Berdychowskiego i potem służyłem u jego boku, czułem, że robię coś bardzo ważnego. Wiedziałem, że Agat będzie szanowany w wojskach specjalnych dzięki ludziom, którzy w tej jednostce służą. Dzisiaj towarzyszy mi podobne uczucie. Wiem, że robię coś istotnego, bo pamięć o takim oficerze powinna trwać jak najdłużej”, mówił „Zachar”.

Płk Sławomir Berdychowski „Czarny” od początku służby był związany z wojskami specjalnymi. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu

zakwalifikował się po selekcji do GROM-u. Został operatorem sekcji szturmowej, a następnie przeszedł wszystkie szczeble dowodzenia, był m.in. dowódcą zespołu bojowego, instruktorem i kierownikiem selekcji. W czasie służby brał udział w misjach wojskowych na Haiti i w Afganistanie. W maju 2011 roku w Gliwicach stworzył Agat, najmłodszą jednostkę wojsk specjalnych. Po trzech latach odszedł ze stanowiska, ukończył studia generalskie i zaczął służbę w Inspektoracie Wojsk Specjalnych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Zmarł w 2016 roku.

ZA NIM POSZLIBY W Ogień

„Płk. Berdychowskiego poznałem w 2013 roku podczas selekcji. Zrobił na wszystkich ogromne wrażenie. To był człowiek o wysokiej kulturze osobistej. Nie patrzyło się na niego jak na oficera, dowódcę, ale jak na serdecznego człowieka”, wspomina „Gleba”, żołnierz JW Agat, zwycięzca pierwszej edycji memoriału. „Kiedy dziś myślę o Berdychowskim, to widzę prawdziwego komandosa. Jednego z najlepszych »gromików«, człowieka z pasją. To była osoba, za którą żołnierze poszliby w ogień. On jest i będzie dla nas legendą”.

Podobnie „Czarnego” wspominają żołnierze, którzy z Agatem związani są od początków jego istnienia. „Spotkaliśmy się wiosną 2011 roku. Zebrał wszystkich żołnierzy na stadionie, usiedliśmy w cieniu, a on opowiadał, jaką jednostkę zamierza stworzyć. Rozmawialiśmy luźno, każdy mógł zadawać pytania, normalnie rozmawiać”, wspomina jeden z podoficerów. Dodaje, że „Czarnego” zapamięta jako kogoś wyjątkowego, bo nigdy wcześniej i nigdy później nie poznał podobnego człowieka. „Miał wizję naszej jednostki. Zależało mu na tym, abyśmy mieli od początku własną tożsamość, własne procedury. Nie chciał niczego kopiować, ale wiedział, że powinniśmy się uczyć od innych”, dodaje.



MARATON JEST TESTEM WYTRZYMAŁOŚCI PSYCHICZNEJ I FIZYCZNEJ. JEGO UCZESTNICY SĄ SKRAJNIE ZMĘCZENI, DOKUCZAJĄ IM KONTUZJE, DOSKWIERA GŁÓD, A MUSZĄ SIĘ JESZCZE ZMOBILIZOWAĆ I DAĆ Z SIEBIE WSZYSTKO. TAK MIAŁO BYĆ TEŻ W BIESZCZADACH

Podwładni „Czarnego” wspominają go jako człowieka o wysokiej kulturze osobistej, który zawsze był gotowy pomóc swoim żołnierzom. Dla każdego starał się mieć czas, z każdym rozmawiał jak z równym sobie. Komandosi wspominają sytuację sprzed lat, kiedy w wypadku samochodowym zginął żołnierz jednostki. „»Czarny« natychmiast skierował do jego rodziny swojego zastępcę i panią psycholog, by otoczyć bliskich opieką. Pogrzeb zorganizowała jednostka, a wszystkie inne przedsięwzięcia wojskowe zeszły na dalszy plan. Ojciec tragicznie zmarłego do dziś z dumą mówi o tym, że jego syn służył w Agacie, a ówczesny dowódca pokazał, jak należy uczcić pamięć swojego żołnierza”, opowiada. Innym imponowała odpowiedzialność Berdychowskiego. „Kiedy popełnił błąd, potrafił się do tego przyznać i przeprosić. Ceniłem go za odwagę w podejmowaniu decyzji i za to, że za każdy swój ruch brał pełną odpowiedzialność. Tak właśnie powinien zachowywać się żołnierz wojsk specjalnych”, mówi podoficer.

JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSTYCH ZA JEDNEGO

Szturmani zgodnie przyznają, że Berdychowski na stałe odcisnął ślad w tej jednostce. Od początku imponowało im, że oficer GROM-u buduje nową formację. „Czu-

łem wtedy, że tworzę część historii. Potrafił nam przekazać swoją wiedzę, byśmy później szli wyznaczoną przez niego drogą i dalej mogli rozbudowywać jednostkę. Mnie osobiście nauczył, żeby nigdy nikomu nie odmawiać pomocy”, mówi podoficer. „Pokazał, na czym polega wzajemny szacunek, nauczył zasady jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, dodaje Marcin.

Dla organizatora memoriału Berdychowski był postacią szczególną. „Czerpałem od niego garściami. Chłonałem jego styl bycia, dowodzenia. Imponowało mi to, jak dba o swoją sprawność fizyczną. Nauczył mnie wszystkiego i to on powierzył mi zadanie doboru kandydatów do jednostki. Podczas pierwszej selekcji, którą prowadziłem, pomagał, udzielał cennych wskazówek i dzielił się doświadczeniem”, mówi „Zachar” i dodaje: „Pamiętam, jak kiedyś powiedział mi, że bym zawsze ufał swoim ludziom i podejmował decyzje zgodnie ze swoim sumieniem, bo wtedy nigdy nie będę się musiał zastanawiać, czy zrobiłem słusznie, np. gdy usuwałem kogoś z selekcji”. Zaznacza przy tym, że płk Berdychowski był bardzo zasadniczy. Hierarchia wojskowa miała dla niego duże znaczenie. „Zachar” wspomina, że kiedyś za nieogoloną brodę został ukarany krótkim zakazem wykonywania skoków spadochronowych. „Wiedziałem, że zawiodłem i musiałem ponieść tego konsekwencje. Nikt

MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK (2)



nie chciał rozczarowywać dowódcy nawet w tak błahych sprawach. Słuchając u boku płk. Berdychowskiego, nauczyłem się brać odpowiedzialność za popełnione błędy”.

MAJĄ W SOBIE PIERWIASTEK SZALEŃSTWA

W Bieszczadach 7 października odbył się Memoriał im. płk. Sławomira Berdychowskiego. Spotkali się tam miłośnicy ekstremalnego biegania: żołnierze, policjanci i cywile. Bieg pod nazwą „Maraton-Selekcja” bezpośrednio był odniesieniem do selekcji, jakiej w Bieszczadach poddają się kandydaci do służby w jednostce

Agat, nie tylko ze względu na miejsce zawodów. Podczas tego kilkudniowego sprawdzianu w górach jego uczestnicy przechodzą setki kilometrów i wykonują bardzo trudne zadania. Przeważnie ostatnim z nich jest tzw. maraton-test wytrzymałości. Niemal bez odpoczynku kandydaci na specjalsów biegają po nieoznakowanej trasie, nie wiedząc, gdzie i kiedy nastąpi koniec zadania.

„Maraton jest testem wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Jego uczestnicy są skrajnie zmęczeni, dokuczają im kontuzje, głód, a muszą się jeszcze zmobilizować i dać z siebie wszystko. Tak miało być też w Bieszczadach. Celowo nie podawaliśmy szczegółów trasy, nie informowaliśmy, jakie przeszkody musieli pokonać zawodnicy”, wyjaśnia „Zachar”.

W biurze zawodów już o świcie zebrało się 60 śmiałków. Po zważeniu plecaków, które, według regulaminu, na początku i na końcu biegu powinny ważyć nie mniej niż 10 kg, oraz odebraniu numerów startowych uczestnicy szykowali się do biegu. Już na starcie czekała ich niespodzianka. Zamiast wyścigu – kolejka wąskotorowa. Trzeba było przejechać do innego miejsca zbiórki, oddalonego od biura zawodów o jakieś 10 km. „Byliśmy zaskoczeni. Podróż w otwartych wagonach dała nam w kość, bo bardzo zmarzliśmy”, opisywała wrażenia jedna z zawodniczek.

W końcu wystartowali. Pierwsze kilometry po górskich szlakach były bardzo wymagające. Do pokonania były duże przewyższenia, śliskie ścieżki i strome zejścia. „Trasa była trudna, więc w pewnej chwili poczułem, że mogę nie dać rady dotrzeć do końca biegu”, mówił Marcin z JWA. Gdy przebiegli 20 km, myśleli, że będzie już łatwiej. Nic bardziej mylnego. Na trasie biegu pojawiły się pierwsze przeszkody. Na początek z plecakami musieli pokonać dwumetrową pionową

PŁK BERDY- CHOWSKI CZARNY OD ZAWSZE BYŁ ZWIĄZA- NY Z WOJ- SKAMI SPE- CJALNYMI

ścianę, później przejść ustawione pod kątem drabinki i dźwigać przez kilkaset metrów ważącą około 20 kg oponę. Po kilku kolejnych kilometrach biegacze znowu wspinali się na drabinki, później czołgali w błocie pod siatką z drutu kolczastego i na koniec zmierzli na strzelnicę. Dostali po pięć nabo i musieli przynajmniej trzy razy trafić do celu oddalonego o 15 m.

Na mecie czekali „Zachar”, ppłk Zbigniew Cerekwicki, zastępca dowódcy JWA, Marta Berdychowska, wdowa po płk. Sławomirze Berdychowskim, a także ich syn Adrian. Wspólnie wręczali medale

zawodnikom. „Przyjaciele męża, którzy organizują tę imprezę, mają w sobie cudowny pierwiastek szaleństwa, ogromnie mi to imponuje. Jestem wzruszona, że tylu ludzi przyjechało tu, by uczcić jego pamięć”, mówiła kobieta.

Wiele osób, które uczestniczyły w biegu, zrobiło to właśnie, by uczcić pamięć płk. Berdychowskiego. Z tego powodu organizatorzy biegu zrezygnowali z przyznawania nagród. Każdy, kto dotarł do mety (tylko jedna osoba zrezygnowała przez kontuzję), dostał pamiątkowy medal, a najlepsi zawodnicy stanęli na podium. „Biorę udział w wielu biegach, ale ten jest dla mnie szczególny. Jestem tutaj, chociaż mógłbym odpoczywać, bo jutro z samego rana jadę na poligon. Nie przyjechałem tu po nagrody, ale przyznaję, że mam wielką satysfakcję z tego, że jestem zwycięzcą pierwszej edycji memoriału. Za rok będę tu na pewno”, mówił „Gleba” z JW Agat. „Od roku startuję w różnych mundurowych biegach. Brałam już udział w takich imprezach, jak Grom Challenge, Formoza Challenge i Bieg o Nóż Komandosa. Ta jest naprawdę bardzo trudna. Cieszy mnie także to, że mogłam dołączyć się do inicjatywy »Zachara« i uczcić pamięć wyjątkowego oficera”, podkreślała Anna Kurdyk, która zwyciężyła wśród kobiet.

Nie wszyscy spośród byłych podkomendnych płk. Berdychowskiego zdecydowali się na bieg. Przyjechali jednak w Bieszczady, by pomóc w organizowaniu memoriału i uścisnąć dłoń wdowie. Tak właśnie zrobił Damian: „Byłem za granicą, gdy dowódca zmarł. Ta informacja dotarła do mnie z dwutygodniowym opóźnieniem. Nie uczestniczyłem w pogrzebie, czego bardzo żałuję. Moja obecność w Bieszczadach to sposób na pożegnanie się z nim. Kiedy dziś słyszę »Berdychowski«, to myślę: »Pan pułkownik, oficer«.



Brytyjski książę Harry powołał fundację Invictus Games wspierającą weteranów.

SCOTT & CO / INVICTUS GAMES

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Igrzyska niezwycięzonych

Żołnierze poszkodowani na misjach pojedą na Invictus Games 2018.

W tej imprezie nie chodzi o medale, lecz o sportową rywalizację, która pomaga w powrocie do zdrowia. Uczestnikami zawodów są weterani, którzy podczas służby zostali ranni. Zgodę na udział naszych żołnierzy w igrzyskach Invictus Games, które zostaną zorganizowane w październiku 2018 roku w Australii, wyraził minister obrony narodowej Antoni Macierewicz. To międzynarodowa impreza, która odbywa się w różnych krajach i na różnych kontynentach. Sportowa rywalizacja ma pokazać znaczenie słowa „invictus”, czyli niezwyciężony. Polscy weterani poszkodowani wezmą udział w rozgrywkach Invictus Games po raz pierwszy. Od kil-

ku tygodni do Centrum Weterana wpływają zgłoszenia od osób, które chcą wziąć w nich udział. Specjalnie powołana komisja wybierze spośród kandydatur prawdopodobnie 20 zawodników (i dziesięciu weteranów rezerwowych), którzy polecą do Sydney.

DEBIUT POLAKÓW

Aby odpowiednio przygotować się do startu w igrzyskach, wytypowani sportowcy wezmą m.in. udział w trzech zgrupowaniach, które odbędą się w Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie. Będą tam trenować pod okiem wykwalifikowanej kadry. Zgrupowania zaplanowano na marzec, czerwiec i wrzesień



2018 roku i łącznie mają trwać 31 dni.

Dotychczas zawody były rozgrywane m.in. w takich konkurencjach, jak: łucznicтво, wioślarstwo halowe, podnoszenie ciężarów, kolarstwo, siatkówka na siedząco, pływanie oraz koszykówka, tenis i rugby na wózkach. Dyscypliny sportowe, w jakich startują weterani poszkodowani, zmieniają się w zależności od kraju, w którym odbywają się zawody. W grudniu dowiemy się, w jakich konkurencjach zawodnicy zmierzą się w Sydney. Każdy z nich może brać udział w kilku.

PRZYJAZNA ATMOSFERA

Tegoroczna edycja Invictus Games odbyła się we wrześniu w kanadyjskim Toronto. Rozgrywki obserwował Mariusz Pogonowski, kierownik Zespołu Wsparcia Weteranów w Centrum Weterana.

„Władze Toronto zadbały o bezpieczeństwo i jak najlepsze przygotowanie miasta na przyjęcie zawodników oraz towarzyszących im osób”, opowiada Mariusz Pogonowski. Jak mówi, także organizatorzy dołożyli wszelkich starań, aby zarówno podczas zawodów, jak i w czasie wolnym, weterani się integrowali. „Między zawodnikami panowała niezwykle przyjazna atmosfera. Mimo zacieklej rywalizacji, wszyscy starali się wzajemnie sobie pomagać”, podkreśla.

Fundacji Invictus Games przyświeca idea, aby każdy weteran, który wróci do swojego ojczystego kraju, zaraził ideą sportowej rywalizacji kolejnych, co zachęci ich do pracy nad sobą i zaktywizuje do uprawiania sportu. „W konsekwencji będzie stanowiło to jedną z najlepszych dróg do rehabilitacji i aktywizacji społecznej”, dodaje Pogonowski.

Fundacja Invictus Games podkreśla, że zawody cieszą się coraz większym zainteresowaniem i co roku kolejne kraje dołączają do tego przedsięwzięcia. W Toronto po raz pierwszy wystartowali weterani z Ukrainy (wystawiła 15-osobową reprezentację). Z roku na rok zwiększa się także liczba zawodników na wózkach inwalidzkich. W 2017 roku było ich 108, podczas gdy rok wcześniej – 60. W Toronto podczas sportowej rywalizacji weteranom



Pomysłodawcą Invictus Games jest brytyjski książę Harry, kapitan Army Air Corps, który dwukrotnie uczestniczył w misji w Afganistanie. Był pilotem, latał na śmigłowcach Apache. Na pomysł powołania fundacji organizującej sportowe rozgrywki poszkodowanych na służbie wpadł, gdy wracał z Afganistanu wraz z brytyjskimi żołnierzami, którzy na misji stracili nogi. Inspiracją dla organizatorów igrzysk niezwyciężonych były także amerykańskie Warrior Games, organizowane lokalnie zawody sportowe dla chorych i rannych żołnierzy. Książę Harry był na nich gościem w 2013 roku. ■

Przygotowania do Invictus Games 2018 można obserwować na stronie internetowej: invictusgamesSydney2018.org



towarzyszyli przyjaciele i rodziny. Organizatorzy podkreślają, że są oni integralną częścią zawodów. Ze specjalnej trybuny mogli obserwować i dopingować swoich bliskich.

UMOWA ŻYCIA

Pierwsze igrzyska, w 2014 roku, fundacja Invictus Games zorganizowała w Olimpijskim Parku królowej Elżbiety w Londynie. Wzięło w nich udział 400 sportowców z 13 państw. Rywalizowali w dziewięciu dyscyplinach, m.in. kolarstwie, rugby, koszykówce i podnoszeniu ciężarów. W 2015 roku impreza się nie odbyła, weterani spotkali się dopiero w roku 2016 w Orlando. W cztero-dniowej rywalizacji na Florydzie w dziesięciu dyscyplinach uczestniczyło 500 zawodników z 14 krajów. W promowanie idei zawodów włączyli się wówczas prezydent USA Barack Obama i pierwsza dama Michelle oraz królowa Elżbieta II.

Tegoroczna edycja Invictus Games była największa w historii tej olimpiady. Do Toronto przyjechali przedstawiciele 17 krajów, najwięcej z Kanady i USA – po 90 zawodników, oraz z Australii – 43. Najskromniejsze reprezentacje wystawiły Irak (4) i Afganistan (7). Zawodnicy rywalizowali w 12 dyscyplinach, po raz pierwszy odbyły się zawody golfowe.

„Głównym przesłaniem Invictus Games nie jest zdobywanie medali, lecz traktowanie sportu jako formy rehabilitacji, która pomaga weteranom w powrocie do zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego”, podkreśla dyrektor Centrum Weterana płk Leszek Stępień. Dlatego komitet organizacyjny Invictus Games Toronto 2017 sfinansował badanie, które pokaże, jaką rolę odgrywa sport w procesie rehabilitacji żołnierzy poszkodowanych na służbie. Naukowcy z Dalhousie University uwzględnili w nim m.in. sportowców-weteranów startujących w Toronto.

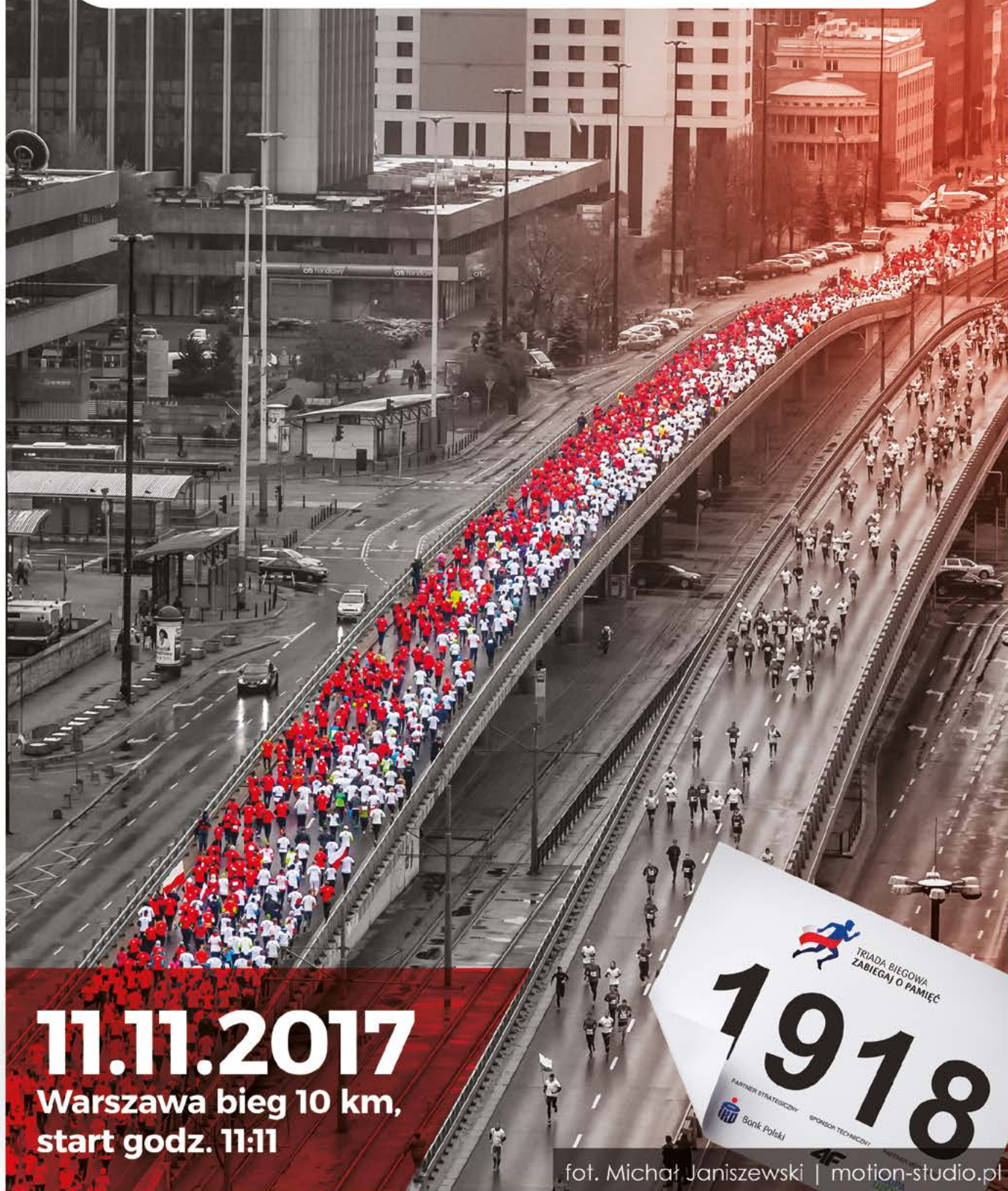
„I znowu konkurenci z całego świata mówią mi, że sport ich uratował; że igrzyska Invictus dały im nową umowę na życie; i że reprezentowanie ich kraju z innymi towarzyszami jest czymś, o czym mogli tylko marzyć, gdy leżeli w szpitalu”, napisał na stronie internetowej Invictus Games książę Harry. ■



TRIADA BIEGOWA
ZABIEGAJ O PAMIĘĆ



29. BIEG
NIEPODLEGŁOŚCI



ORGANIZATOR:



PARTNER STRATEGICZNY:



Bank Polski

SPONSOR TECHNICZNY:



PARTNER MEDYCZNY:



OFICJALNY NAPÓJ:



SPONSORZY:



PATRONATY HONOROWE:



PARTNERZY:



CHCEMY DOTRZYMAĆ SŁOWA

*Z Krzysztofem
Szwagrzykiem*

**o polityce nad grobami, poszukiwaniach
na Kresach i obietnicach danych rodzinom
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Od lat poszukuje Pan miejsc pochówku żołnierzy podziemia niepodległościowego. Co mówią rodziny, gdy dowiadują się, że odnaleźliście szczątki ich bliskich?

To są poruszające i bardzo osobiste wypowiedzi, szczególnie gdy informujemy o identyfikacji szczątków. Przez dziesiątki lat rodziny nie wiedziały, gdzie pogrzebano ich bliskich.

Zakończyły się prace archeologiczno-ekshumacyjne w kwaterze „Ł” na wojсковym cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Jaki jest ich bilans?

Wreszcie po pięciu latach możemy powiedzieć, że przebadaliśmy każdy centymetr ziemi na Łączce. Odnaleźliśmy szczątki ludzkie i fragmenty szczątków należące do kilkudziesięciu osób, resztki obuwia, a także rzeczy osobiste – okulary i medaliki.

Czy coś Pana zaskoczyło?

Największym zaskoczeniem była skala zniszczeń, jakie w latach 1982–1984 wyrządziły na Łączce koparki, gdy przygotowywano ten teren pod nowe

pochówki. Został on wówczas przeznaczony na kwatery dla komunistycznych dygnitarzy. W ostatnim roku tam pracowaliśmy. Musieliśmy rozebrać 300 nagrobków i pomników, ekshumować szczątki dygnitarzy i dopiero potem szukać ofiar komunizmu. Tylko w dwóch dołach znaleźliśmy nienaruszone szczątki ludzkie. Na obszarze kilkudziesięciu metrów znajdowaliśmy wymieszane kości ofiar. Gdybyśmy wydobyli z dołów całe szkielety, jak w początkowym etapie prac na Łączce, zyskalibyśmy bezcenne informacje, kto może leżeć w tych dołach, pamiętając, ile osób zostało straconych w poszczególnych egzekucjach. Wówczas moglibyśmy określić dane antropologiczne tych ludzi, postarać się określić, do kogo należą szczątki, a badania genetyczne skoncentrować na konkretnych osobach.

Na Łączce przy murze cmentarnym IPN odkrył również szczątki żołnierzy niemieckich. Skąd się tam wzięli?

Byli ekshumowani z różnych miejsc w Warszawie, głównie z małego cmentarzyka w Łasku Bielańskim w 1951 roku. Wówczas w stolicy likwidowano miejsca, w których wcześniej grzebano Niemców poległych np. podczas powstania warszawskiego. Ktoś wówczas wpadł na pomysł, aby pochować ich na Łączce – wzdłuż cmentarnego muru. Pogrzebani zostali w drewnianych skrzyniach, w których znajdowały się szczątki dwóch-trzech osób. Ciała ofiar komunizmu wrzucane były do dołów i szybko zasypywane. To są dwa różne sposoby podejścia do zwłok. Więźniowie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych często opowiadali, że byli gorzej traktowani aniżeli Niemcy.

W jakich miejscach w Polsce trwają obecnie poszukiwania?

Na początku października zakończyliśmy prace w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, a rozpoczęliśmy na placu Inwalidów i cmentarzu Rakowickim w Krakowie oraz w Lesie Turzańskim pod Rzeszowem. W planach na ten rok mamy także m.in. Mławę i Kielce.

W 2017 roku zaczęliście prace na Kresach.

Pracujemy na terenie Litwy, Białorusi i Ukrainy w wytypowanych miejscach, gdzie znajdują się szczątki tych, którzy polegli w 1939 roku,

a także pomordowanych przez Sowietów, Niemców czy Ukraińców. Wiele jest takich miejsc. Największe problemy występują w kontaktach ze stroną ukraińską, obecnie nie mamy możliwości prowadzenia w tym kraju poszukiwań. Znacznie lepiej pracuje się nam na Litwie, a najlepiej, co może być pewnym zaskoczeniem – na Białorusi.

IPN zwrócił się z apelem do mieszkańców Wileńszczyzny o przekazywanie informacji na temat nieznanych miejsc pochówków ofiar II wojny światowej i komunizmu. Jaki był odzew?

Informacje od mieszkańców są dla nas jednym z najważniejszych źródeł. Nadal nie możemy liczyć na dokumenty sowieckie. Liczymy na pamięć ludzi. Zgłasza się wiele osób, wiedząc, że trafiły pod właściwy adres, że oto wreszcie państwo polskie upomniało się o groby Polaków.

Na podstawie jakich informacji rozpoczynacie poszukiwania?

Nie ma jednego modelu, według którego postępujemy. Czasem początkiem jest relacja człowieka, który napisał do nas list. Kiedy indziej – fragment dokumentu, np. sporządzonego w 1945 roku przez Sowietów z oględzin lekarskich zwłok Jana Borysewicza „Krysia”, komendanta AK. Inspiracją mogą być wydane po latach wspomnienia. Weryfikujemy uzyskane informacje, szukając innych źródeł. Często natrafiamy na nowe trudności. Teren, który ktoś nam wskazał jako miejsce pochówku, wygląda dziś inaczej niż przed kilkudziesięciu laty. Wtedy był łąką lub lasem, dziś jest zabudowany. Pomaga nam współczesna technika.

W jaki sposób?

Zdjęcia lotnicze oraz fotografie z Google'a nanosimy na stare mapy. Korzystamy z lidarów i georadarów, które dostarczają informacji na temat ukształtowania terenu albo o zakłóceniu struktury ziemi. Prace archeologiczne są końcowym etapem naszych działań. Do odnalezienia szczątków i ich identyfikacji prowadzi długa i żmudna droga.

Kogo szukacie na Kresach?

Szukamy ludzi, którzy zginęli w walce o niepodległość Polski bądź też zostali zabici

WIZYTÓWKA

Dr. hab. nauk humanistycznych
KRZYSZTOF SZWAGRZYK jest wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej, kieruje Biurem Poszukiwań i Identyfikacji.



przez różnych okupantów. To nasz obowiązek. Poszukujemy także konkretnych osób, m.in. Jana Borysewicza „Kryśia”, który zginął 21 stycznia 1945 roku na Litwie w zasadzce NKWD. Jego symboliczna mogiła znajduje się na cmentarzu w Ejszyszkach. Szukamy też Anatola Radziwonika „Olecha”, dowódcy oddziału partyzanckiego rozbitego dopiero w maju 1949 roku.

Obiecując zapowiadały się prace na Ukrainie, gdzie znajdują się tysiące polskich grobów. Jednak władze ukraińskie nie zgodziły się na kontynuowanie prac, gdy w kwietniu na Podkarpaciu rozebrano pomnik gloryfikujący UPA. Jakie są szanse, że tam wróćcie?

Musimy tam wrócić, bo to nasz obowiązek. Władze w Kijowie uważają, że zniszczenie pomnika w Hruszowicach jest aktem wrogiem wobec ukraińskiego państwa i dlatego cofnęły zgodę na prowadzenie naszych prac. Ta sytuacja musi się zmienić, ale to zadanie dla dyplomacji.

Czy Ukraińcy stawiają jakieś warunki?

Żądają, abyśmy odtworzyli pomnik w Hruszowicach i ukarali winnych. Nie możemy przyjąć takich żądań. Pomnik ten był łukiem triumfalnym z godłem państwa ukraińskiego, u podnóża postumentu widniały cztery tablice ku czci czterech sotni UPA. Nikt w naszym kraju nie będzie niszczył grobów członków UPA, one pozostaną i będą należycie chronione. Jednak nie ma zgody na honorowanie formacji, które doprowadziły do śmierci Polaków.

Na Ukrainie są dziesiątki zbiorowych mogił, na których nie ma jeszcze krzyży.

Natrafiamy na duże problemy ze strony ukraińskiego państwa, aby zalegalizować istniejące już miejsca upamiętnienia i ustalić zasady wznoszenia nowych. Trudno uwierzyć, ale władze ukraińskie zgodziły się na wiele miejsc pamięci, które dziś uznają za nielegalne, a w których odsłonięciu uczestniczyły głowy państw.

Aż dziw bierze, że prace na Białorusi nie natrafiają na podobne problemy.

Na Białorusi pracuje się nam najłatwiej i w najlepszej atmosferze. Spotykamy się z ogromną życzliwością, zarówno zwykłych obywateli, jak i przedstawicieli państwa. Nasze działania możemy prowadzić jedynie za pośrednictwem specjalnej formacji – 52 Batalionu Poszukiwawczego sił zbrojnych. Pracujemy razem z żołnierzami, nie napotykamy żadnych problemów. Państwo białoruskie oczekuje od Polski pomocy w poszukiwaniach na terenie naszego kraju obywateli narodowości białoruskiej, co – mam nadzieję – będzie z naszej strony spełnione. Polityka nie musi być obecna przy grobach.

Kogo szukacie na Białorusi?

Żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza z 1939 roku, a także AK-owców. We wrześniu, w okolicach wsi Po-host w rejonie wilejskim na północny zachód od Mińska, odnaleźliśmy szczątki pięciu żołnierzy KOP-u zamordowanych w 1939 roku przez NKWD. W Dołhinowie odbyła się uroczystość pogrzebowa. Były kompania honorowa Straży Granicznej, orkiestra podhalańczyków, przedstawiciele państwa polskiego. Ogromne zainteresowanie okazali nie tylko mieszkający w okolicy Polacy, lecz także Białorusini. Kierownik lokalnego kołchozu dał dzień wolny tym wszystkim, którzy chcieli uczestniczyć w tej uroczystości. Z takim podejściem nie spotkamy się na terenie państwa litewskiego czy ukraińskiego.

Przedstawiciele Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, którym Pan kieruje, przebywali w lipcu z wizytą w Niemczech, gdzie odwiedzili m.in. nazistowskie obozy koncentracyjne w Sachsenhausen i Ravensbrück. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku na terenie Sachsenhausen zamordowano komendanta głównego AK gen. Stefana Roweckiego.

Polacy zamordowani w Sachsenhausen i Ravensbrück zostali pogrzebani w różnych miejscach na terenie obozów oraz w okolicy. Zwróciliśmy się do Niemców z prośbą o zgodę na wykonanie prac archeologicznych na terenie jednego z cmentarzy, o którym wiemy, że znajdują się tam urny z prochami Polaków pomordowanych w obozie Ravensbrück. Z zaskoczeniem przyjęliśmy informację, że nie jest to możliwe. Usłyszeliśmy, że wszystko zostało już udokumentowane i nie ma powodu, aby naruszać spokój ofiar. Państwo niemieckie prowadzi w Polsce wiele prac ekshumacyjnych i archeologicznych, więc taka argumentacja jest dla nas nie do przyjęcia. Nie może być tak, że jesteśmy traktowani jako nierównorzędny partner.

Od początku poszukiwaniom towarzyszą rodziny. O co proszą?

Wszyscy czekają. Stracili ojców, braci, przez kilkadziesiąt lat próbowali dowiedzieć się, gdzie są pogrzebani ich bliscy. Wierzą, że my ich odnajdziemy. Nie wszyscy doczekają tej chwili. Coraz częściej odchodzą ci, którzy od lat zadawali nam jedno pytanie: kiedy znajdziecie mojego ojca? We wrześniu we Wrocławiu zmarł Zbigniew Lazarowicz. Był synem mjr. Adama Lazarowicza z IV Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN, straconego 1 marca 1951 roku. Ilekroć się widzieliśmy, pytał o grób ojca. Zawsze odpowiadałem, że na pewno go znajdziemy, jeszcze chwila cierpliwości. Staramy się dotrzymać słowa. ■



M.O.C. ARCHITEKCI

Wystawa w areszcie

Konkurs na opracowanie Kartystycznej, przestrzennej i funkcjonalno-

-użytkowej koncepcji ekspozycji stałej Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie wygrała **katowicka pracownia M.O.C. Architekci**. Jak powiedział przewodniczący komi-

sji konkursowej Andrzej Bulanda, pierwszą nagrodę, w wysokości 80 tys. zł, oraz zaproszenie do negocjacji w sprawie zamówienia na opracowanie dokumentacji projektowej otrzymali: Błażej Janik, Ewa

Janik i Anna Skołożyńska-Cieciera. Zgodnie z zapowiedzią muzeum wystawa stała będzie się mieścić w czterech historycznych budynkach byłego aresztu śledczego na warszawskim Mokotowie. AD ■

SKARB NA WOLI

Budowniczości stacji metra zlokalizowanej pod ul. Górczewską natrafili na elementy czołgu: koło napędowe i kawałek gąsienicy. Mirosław Zientarzewski, kierownik Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej, poinformował podczas konferencji, że są to części lekkiego niemieckiego czołgu Panzerkampfwagen I. Maszyny tego typu III Rzesza produkowała w latach 1934–1939 i użyto ich w kampanii wrześniowej 1939 roku w Polsce oraz kampanii francuskiej 1940 roku. Odnalezione w Warszawie fragmenty pochodzą prawdopodobnie z jednej z maszyn zniszczonych przez obrońców Warszawy we wrześniu 1939 roku. Zientarzewski przypuszcza, że mogły być częścią pojazdu należącego do 4 Dywizji Pancerniej, która 9 września próbowała zdobyć Warszawę od strony Woli. Jak dodał kierownik MPTW, na świecie zachowało się tylko 13 czołgów Panzerkampfwagen I, a w Polsce nie ma żadnego. AD ■



W Warszawie wykopano fragmenty niemieckiego czołgu.

Szkolenie opiekunów

Utraceni, lecz nie zapomniani.
Pokonani nie w walce, lecz przez los...

„W siłach powietrznych opieką jest objętych 58 rodzin żołnierzy, którzy zginęli podczas służby. W tej grupie są także bliscy tych wojskowych, którzy ponieśli śmierć w katastrofach lotniczych w latach 1986–2007”, mówi Anna Piskorz, psycholog z DGRSZ.

Ta sentencja była mottem szkolenia opiekunów indywidualnych pomagających rodzinom żołnierzy, którzy ponieśli śmierć w katastrofach lotniczych. Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych zorganizowało takie spotkanie w 12 Bazie Bezzałogowych Statków Powietrznych w Mirosławcu. Oprócz opiekunów indywidualnych z jednostek sił powietrznych wzięli w nim udział także przedstawiciele Departamentu Spraw Socjalnych Ministerstwa Obrony Narodowej, Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1 Sztabu Generalnego Wojska Polskiego oraz Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Poznaniu. Do Mirosławca przyjechały również wdowy ze Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy, którzy Zginęli w Katastrofach Lotniczych – w Cieniu Orła oraz Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość”. MS ■



Grób mjr. Feliksa Kozubowskiego na cmentarzu parafialnym pw. św. Wawrzyńca.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Strażnicy cmentarzy

Na terenie powiatu sochaczewskiego znajduje się 17 miejsc pochówku żołnierzy, którzy zginęli w czasie wojny obronnej.

Wojennych nekropoliach, którymi zajmują się m.in. członkowie Muzealnej Grupy Historycznej, działającej przy Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą, spoczywa ponad 10 tys. poległych. Wolontariusze organizują akcje dokumentacyjne, konserwacyjne i porządkowe na terenie gmin powiatu. Zdobywają też pieniądze na remonty.

BEZIMIENNI BOHATEROWIE

Hołd poległym żołnierzom oddają także mieszkańcy. We wrześniu, w rocznicę bitwy nad Bzurą oraz obrony Sochaczewa przed nacierającą armią niemiecką, a także 1 listopada pod pamiątkowymi tablicami oraz na bezimiennych grobach i betonowych krzyżach z nazwiskiem obrońców ojczyzny płoną setki świec. Najwięcej lampek rozjaśnia nekropolię w Trojanowie, dzielnicy Sochaczewa, utworzoną po bitwie nad Bzurą. „To największy cmentarz jednej bitwy na świecie. Spoczywa tu blisko 4 tys. polskich żołnierzy”, mówi Paweł Rozdżestwieński, dyrektor Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą.

„Nasza placówka od 40 lat jest strażnikiem tych cmentarzy, np. pomagamy gminom pisać wnioski o uzyskanie środków na ich remont”, podkreśla dyrektor Rozdżestwieński. W tym roku udało się zdobyć pieniądze m.in. na oznakowanie 12 obiektów granitowymi słupkami ozdobionymi wizerunkiem orła. Na każdej z nekropoli zostanie zbudowany maszt z narodową flagą, jaki powinien znajdować się na kwaterach i cmentarzach wojennych.

W Trojanowie na 4400 m² w zbiorowych mogiłach złożono szczątki 3693 żołnierzy i oficerów armii „Poznań” i „Pomorze”. Spoczywają tu wojskowi z wielu przedwojennych jednostek. W bitwie nad Bzurą 9–22 września 1939 roku poległo ich lub zmarło z ran około 20 tys. Zdecydowana większość do dziś pozostaje bezimienna, zidentyfikowano zaledwie 550 ciał (Niemcy zacierali ślady swoich zbrodni, niszczyli osobiste dokumenty żołnierzy). Jak pisał w „Roczniku Sochaczewskim” Jakub Wojewoda, kierownik działu historycznego Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Bitwy nad Bzurą, „według niesprawdzonych danych, pod koniec lat 40. i na początku 50. zdarzały się

przypadki potajemnego przywożenia tu z niewiadomego kierunku i grzebania na terenie cmentarza ofiar terroru stalinowskiego, być może żołnierzy AK, WIN, NSZ”.

W Trojanowie znajduje się także kwatery 20 żołnierzy oddziału partyzanckiego „Socha” z VIII Obwodu AK, poległych w Bronisławach 4 kwietnia 1944 roku. Pochowano tu również 142 cywilne ofiary zbrodni niemieckich z okresu okupacji. Nad nekropolią góruje siedmiometrowy pomnik Poległych, wybudowany z granitowych bloków. Na odsłoniętym w 1969 roku obelisku widniał napis: „W hołdzie i wdzięczności oraz w dowód wiecznej pamięci poległym w obronie ojczyzny i w walce o jej wyzwolenie narodowe i społeczne”. W 2012 roku historycy z Muzeum Ziemi Sochaczewskiej wraz z działającymi na rzecz cmentarzy wojennych członkami Muzealnej Grupy Historycznej im. II Batalionu 18 Pułku Piechoty wystąpili z inicjatywą zmiany symboliki pochodzącej z czasów komunistycznych. Argumentowali, że zwieńczający pomnik Order Krzyża Grunwaldu został ustanowiony w 1943 roku przez Dowództwo Główne Gwardii Ludowej, a na cmentarzu nie zostali pochowani żołnierze Armii Ludowej i Gwardii Ludowej czy ludowego Wojska Polskiego, którym odznaczenie krzyża grunwaldzkiego mogłoby być bliskie.

W porozumieniu z władzami miasta po wielu miesiącach konsultacji z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, konserwatorem zabytków i Mazowieckim Urzędem Wojewódzkim w 2013 roku pomnik został zmieniony. Obecnie napis głosi: „Cześć i chwała! Obrońcom honoru Rzeczypospolitej, żołnierzom bitwy nad Bzurą Armii »Poznań« i »Pomorze«, Bohaterom Armii Krajowej Obwodu »Skowronek«, ofiarom zbrodni niemieckich, poległym i zamordowanym za wolność Polski 1939–1945 – Sochaczewianie”.

ROZSIANE MOGIŁY

Jesienią 2015 roku na cmentarzu pojawiła się tablica upamiętniająca żołnierzy polskich różnych wyznań. Kolejnym krokiem ma być włączenie nekropolii do szlaku edukacyjno-historycznego Trakt Pamięci Bohaterów Bitwy nad Bzurą 1939 roku oraz wykonanie ściany pamięci zawierającej wszystkie nazwiska i symbole pułkowe. Zostałaby ona otwarta w 2019 roku, z okazji 90. rocznicy bitwy nad Bzurą.



NAD NEKROPOLIA W TROJANOWIE GÓRUJE SIEDMIOMETROWY POMNIK POLEGŁYCH, WYBUDOWANY Z GRANITOWYCH BLOKÓW

Na cmentarzu parafialnym pw. św. Wawrzyńca w 1941 roku zostały wydzielone dwie kwatery wojenne. Spoczywają w nich żołnierze Armii „Poznań” i Armii „Pomorze” walczący w bitwie nad Bzurą. Wśród nich mjr Feliks Kozubowski, dowódca II Batalionu 18 Pułku Piechoty, który od 13 do 15 września dowodził obroną Sochaczewa. W trakcie blisko czterodniowych walk o miasto jego batalion stracił 80% stanu osobowego. Major poległ 15 września 1939 roku.

Niektóre nekropolie wymagają odnowy. We wrześniu 2017 roku rozpoczął się remont cmentarza wojennego w Leontynowie, gdzie jest pochowanych około 300 poległych żołnierzy polskich. W centralnej części znajduje się metalowy krzyż,

wokół którego są rozsiane mogiły.

Nekropolia jest położona w otoczeniu wydm i wznieść porośniętych lasem. Na stronie internetowej Muzeum Bitwy nad Bzurą można przeczytać, że po zakończeniu bitwy na wzgórzach wokół Leontynowa nadal trwały zacięte walki. Okopani na wydmach Polacy tak dzielnie się bronili, że Niemcy przez dwa tygodnie nie zdołali ich pokonać, choć ostrzeliwali polskie pozycje i bombardowali je z powietrza. Dopiero brak amunicji zmusił polskich żołnierzy do kapitulacji. Ostatni obrońcy zginęli 6 października. Poległych Niemcy pochowali na jednym ze wzgórz, w bezimiennych mogiłach. Nie przetrwała żadna wojskowa relacja z boju otoczonej grupy. O zaciętej obronie świadczą tysiące łusek po wystrzelonej polskiej amunicji, które odnajdywali w okolicy pracownicy muzeum.

Teraz cmentarz w Leontynowie zostanie odnowiony. Sochaczewskie muzeum otrzymało od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego 77 tys. zł na przeprowadzenie remontu. Przebudowane będzie ogrodzenie nekropolii, a na grobach pojawią się kamienne krzyże z tabliczkami w kształcie nieśmiertelników.

Spośród innych wojennych miejsc pochówku w powiecie sochaczewskim wspomnieć należy o kwaterze wydzielonej na cmentarzu parafii pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Młodzieszynie, gdzie jest pochowanych od 2200 do 3773 żołnierzy Armii „Poznań” i Armii „Pomorze”, walczących w Bitwie nad Bzurą. W centralnej części postawiono pomnik poległych w obronie ojczyzny 1939–1945. W położonym niedaleko Rybnie w kwaterze na cmentarzu parafii pw. św. Bartłomieja Apostoła spoczywa prawie 1600 żołnierzy poległych w 1939 roku. ■

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Męża

Pani Ewie Mruli

składają dowódca płk Mirosław Szwed,
żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

Pani mł. chor. Monice Stukan

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu st. chor. sztab. Zbigniewowi Niedzieli

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składa szef, kadra i pracownicy
Centrum Koordynacyjnego
szefa Sztabu Generalnego WP.

Panu dr. Tomaszowi Zielińskiemu

i Jego Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia po śmierci

Ojca,

zasłużonego i szanowanego żołnierza,
składają współpracownicy Wydziału Zarządzania
i Dowodzenia Akademii Sztuki Wojennej.

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o nagłej śmierci

śp. st. szer. Łukasza Wiszniewskiego.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerą kondolencję

Rodzinie i Bliskim

składają dowódca wraz z kadrą i pracownikami
wojska 1 Olsztyńskiego Batalionu Składowania.

Panu ppłk. Danielowi Błaszakowi,

sędziemu Wojskowego Sądu Okręgowego
w Poznaniu,

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Okręgowego w Poznaniu.

Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu
i pamięci bliskich.

Panu płk. rez. dr. Arturowi Pawłowi Kler

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają dyrektor, kadra naukowo-dydaktyczna
i administracyjna Instytutu Logistyki
Wydziału Logistyki WAT.

Panu mjr. Ireneuszowi Mika

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa 11 Dywizji Kawalerii Pancernej.

Panu Henrykowi Polechońskiemu

oraz st. chor. Dariuszowi Polechońskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy i Babci

składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy wojska
Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

kpt. Dominika Osińskiego.

Pograżonej w bólu

Żonie oraz Córkom i Najbliższym

wyrazy szczerego współczucia
składają dowódca, żołnierze i pracownicy resortu
obrony narodowej 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Panu płk. Przemysławowi Grusze
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

**Panu płk. Krzysztofowi
Kołb-Sieleckiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**
najszczerze wyrazy współczucia,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci
Teściowej
składają koledzy oficerowie oraz pracownicy
Rejonowego Zarządu Infrastruktury w Lublinie.

Pani Dorocie Dąbrowskiej
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają szef wraz kadrą i pracownikami
Oddziału Planowania Infrastruktury
Zarządu Planowania Logistycznego – J4
Dowództwa Generalnego RSZ.

Z głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

**Ojca
Pani Elżbiety Lutostańskiej.**
Wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
składa dowódca operacyjny
rodzajów sił zbrojnych
wraz z całym dowództwem.

Wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

**Teścia i Ojca
Państwu Renacie i Markowi Matynia**
przesyła dowódca operacyjny
rodzajów sił zbrojnych
wraz z całym dowództwem.

**Panu ppłk. Anatolowi Treszczotko
i Jego Rodzinie**
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Brata
składają dyrektor i pracownicy
Wojskowego Biura Emerytalnego
w Olsztynie.



sierż. Andrzej Filipek
2 listopada 2007 roku, PKW Irak

ppłk Hieronim Kupczyk
6 listopada 2003 roku, PKW Irak

kpt. Władysław Rudnik
7 listopada 1955 roku, KNPN Korea

mjr Jakub Zygielski
7 listopada 1955 roku, KNPN Korea

por. Zygfryd Zieliński
7 listopada 1955 roku, KNPN Korea

st. chor. szt. Zbigniew Jaszdejewski
8 listopada 1996 roku,
UNIFIL Liban

st. sierż. Tomasz Murkowski
11 listopada 2006 roku, PKW Irak

st. szer. Adam Jazukiewicz
27 listopada 1994 roku,
UNPROFOR Jugosławia

st. kpr. Wiesław Szkwarek
27 listopada 1994 roku,
UNPROFOR Jugosławia

Pamiętamy

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość
o śmierci naszego długoletniego pracownika,
zasłużonego lekarza,
człowieka o wielkim sercu, wspaniałego Kolegi
dr hab. n. med. Mirosława Kałczaka.

Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
składają dyrekcja oraz pracownicy
Specjalistycznej Przychodni Lekarskiej
dla Pracowników Wojska SP ZOZ
Warszawa, ul. Nowowiejska 31.

Panu kpt. Michałowi Hermanowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają kadra kierownicza, żołnierze i pracownicy
Morskiej Jednostki Rakietowej.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

płk. dypl. Franciszka Wilka,

szlachetnego człowieka, zasłużonego żołnierza,
szefa Sztabu Dowództwa Garnizonu Warszawa
w latach 2000-2007.

Z Rodziną i Bliskimi Zmarłego

w tych trudnych chwilach łączą się w żalu
i współczuciu dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa
oraz jednostek wojskowych DGW.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Rodzinie

śp. płk. w st. spocz. Stefana Szelki,
żołnierza Batalionów Chłopskich,
kawalera Krzyża Walecznych,
składają żołnierze i pracownicy wojska
10 Brygady Logistycznej w Opolu.

Pani Barbarze Gospodarczyk

w związku ze śmiercią

Mamy

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o nagłej śmierci naszego kolegi,
oddanego pracy i służbie

śp. płk. Krzysztofa Kozarzewskiego,

radcy prawnego Centralnej Wojskowej Komisji
Lekarskiej w Warszawie.

Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
składają dyrektor, kierownictwo
oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia.

Pani Zofii Komorowskiej

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Państwu Barbarze i Zenonowi Jagiełło

wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia
z powodu śmierci

Ojca i Teścia

składają dyrekcja oraz pracownicy
Specjalistycznej Przychodni Lekarskiej
dla Pracowników Wojska SP ZOZ
Warszawa, ul. Nowowiejska 31.

**Panu kmdr. por. Dariuszowi Kisielowi
i Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy resortu obrony
narodowej 2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

**Panu ppłk. Norbertowi Drzewicowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Ochrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk DG RSZ.

Wstulencie odzyskania niepodległości w całym kraju mają powstać pomniki w formie kamiennych kolumn zwieńczonych orłem w koronie. Ministerstwo Obrony Narodowej ogłosiło konkurs na projekt takiego obelisku. Sekretarz stanu w MON Michał Dworczyk wyjaśnia, że ideą programu resortu „Kolumny Niepodległości” jest wytworzenie w całej Polsce społecznego ruchu na rzecz świętowania niepodległości oraz promowanie dumy narodowej i patriotyzmu, także w wymiarze lokalnym. Jest to inicjatywa społeczna, a nie ministerstwa. Program ma zachęcać do upamiętnienia lokalnych wydarzeń związanych z dziejami naszego kraju. „Dzięki temu każdy będzie mógł poczuć, że historia jego rodziny i regionu też jest częścią historii niepodległości Rzeczypospolitej”, podkreśla minister Dworczyk.

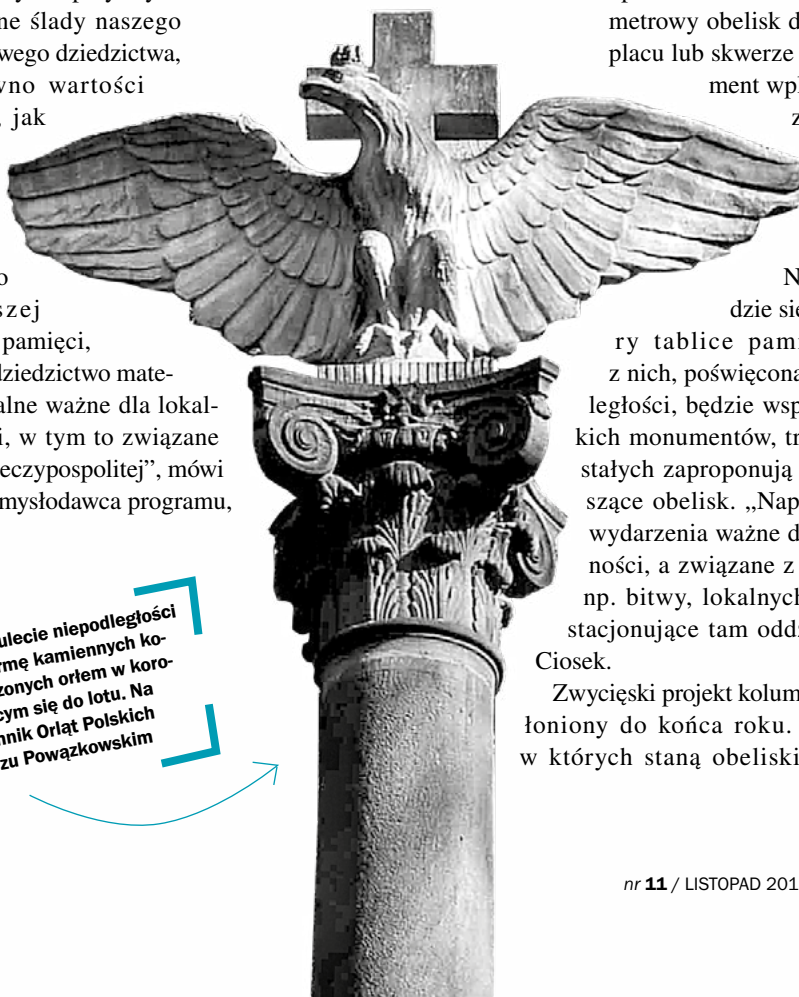
ORŁY NIEPODLEGŁOŚCI

Program „Kolumny Niepodległości” przewiduje wybudowanie w 2018 roku w całym kraju memoriałów niepodległości. „Ważne jest, aby w przestrzeni publicznej po tych obchodach pozostały dla przyszłych pokoleń materialne ślady naszego wspólnego narodowego dziedzictwa, ukazujące zarówno wartości ogólnonarodowe, jak i regionalne czy lokalne odcienie polskiej historii. Powinny one przyczyniać się do budowania naszej wspólnej polskiej pamięci, ale też ukazywać dziedzictwo materialne i niematerialne ważne dla lokalnych społeczności, w tym to związane z Kresami I i II Rzeczypospolitej”, mówi dr Piotr Łysoń, pomysłodawca programu,

Obeliski na stulencie niepodległości mają mieć formę kamiennych kolumn zwieńczonych orłem w koronie, zrywającym się do lotu. Na zdjęciu: Pomnik Orłąt Polskich na cmentarzu Powązkowskim

ANNA DĄBROWSKA PAMIĘĆ ZAKŁĘTA W KAMIENIU

**Kolumny na stulencie
naszej niepodległości.**



fizyk, ekonomista i urzędnik państwowy. Jak dodaje, ważną inspiracją były dla niego obserwowane w wielu miejscach, głównie na wschodzie Polski, pomniki upamiętniające powstanie styczniowe 1863 roku.

Program nawiązuje też do obchodów dziesięciolecia niepodległości w 1928 roku, kiedy dzięki inicjatywom lokalnych społeczności i władz powstawały w kraju pomniki niepodległości, często w formie kolumn z orłem ze zrzucenymi kajdanami, zrywającym się do lotu.

„Chcemy, aby obeliski na stulencie niepodległości także miały formę kamiennych kolumn zwieńczonych orłem w koronie, zrywającym się do lotu, ponieważ jest to czytelny symbol odzyskania przez nasz kraj wolności”, mówi Zbigniew Ciosek, zastępca dyrektora Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON, koordynator programu. Dokładny projekt artystyczno-architektoniczny obelisku zostanie wyłoniony w ogłoszonym właśnie przez MON konkursie.

Projekt pomnika ma powstać w trzech wariantach: jako niewielka kolumna, która mogłaby stanąć np. na dziedzińcu instytucji, kilkumetrowy obelisk do postawienia na placu lub skwerze oraz duży monu-

ment wpleciony w szersze założenie urbanistyczne, np. centralnego parku miejskiego.

Na pomniku znajdzie się miejsce na cztery tablice pamiątkowe. Jedna z nich, poświęcona stuleciu niepodległości, będzie wspólna dla wszystkich monumentów, treść trzech pozostałych zaproponują podmioty wznoszące obelisk. „Napisy mogą uczcić wydarzenia ważne dla danej społeczności, a związane z historią regionu, np. bitwy, lokalnych bohaterów czy stacjonujące tam oddziały”, tłumaczy Ciosek.

Zwycięski projekt kolumny ma zostać wyłoniony do końca roku. Potem miejsca, w których staną obeliski, będą zgłaszać

ANDRZEJ WITKOWSKI



lokalne społeczności. Pomysłodawcą mogą być samorządy, bo to one najczęściej dysponują terenem umożliwiającym ustawienie pomnika, ale także instytucje publiczne, organizacje pozarządowe, osoby fizyczne lub prawne, m.in. kombatancki, grupy rekonstrukcyjne, stowarzyszenia proobronne czy harcerze. Dyrektor podkreśla, że w wielu miejscowościach brakuje punktu w przestrzeni publicznej, wokół którego mogłyby się skupiać lokalne uroczystości patriotyczne, choćby w dniu święta narodowego. „Kolumna Niepodległości mogłaby się stać w przyszłości taką osią życia patriotycznego społeczności lokalnej”, mówi Ciosek.

ODSLONIĘCIE KOLUMNY

Ideą już zainteresowane są władze samorządowe m.in. Piławy Górnej na Dolnym Śląsku. „Taki pomnik byłby w naszej miejscowości symbolem uczczenia setnej rocznicy niepodległości Polski, przypominającym o tym ważnym wydarzeniu, a jednocześnie miejscem, wokół którego odbywałyby się w przyszłości uroczystości patriotyczne”, mówi Zuzanna Bielawska, burmistrz miasta.

Podmiotem realizującym projekt „Kolumny Niepodległości” ministerstwo obrony udostępni na licencji dokumentację architektoniczno-artystyczną projektu. Jednocześnie ogłosi konkurs na przyznanie dotacji na wsparcie ich budowy. W budżecie MON-u przeznaczonym na obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości zaplanowano na ten program 5 mln zł. Odsłonięcie kolumny jest planowane w przyszłym roku w okolicach Święta Niepodległości 11 listopada. „W kolejnych latach istnieje możliwość kontynuacji projektu w ramach obchodów stulecia następnych rocznic niepodległościowych, np. związanych z wojną polsko-bolszewicką czy powstaniem śląskimi”, dodaje dyrektor Ciosek. ■

PIOTR KORCZYŃSKI

Podziękowanie za dar wolności

**Wzniesienie Kolumn Niepodległości
nawiązuje do podobnej inicjatywy
z 1928 roku.**



**KOMITETY
BUDOWY tworzyli
miejscowi nauczyciele,
kolejarze,
strażacy,
a we wznoszenie
pomników angażowała się praktycznie
cała społeczność danej miejscowości.**

Listopad, „ta niebezpieczna dla Polaków pora”, jak pisał Stanisław Wyspiański, w 1918 roku przyniósł upragnioną niepodległość. Szybko jednak okazało się, że to dopiero początek batalii o zjednoczenie rozdartego zaborczymi kordonami kraju i ustalenie jego granic. Jak trudne to było zadanie w niewolonym przez lata narodzie, przekonał się Józef Piłsudski ze swoimi legionistami zaraz po wybuchu I wojny światowej, gdy wkraczając 6 sierpnia 1914 roku do zaboru rosyjskiego Pierwszą Kadrową witała głucha cisza lub trzask zamykanych przed nią drzwi i okiennic w mijających miejscowościach.

To traumatyczne doświadczenie komendant Legionów Polskich zapamiętał na długie lata. Doszedł też do wniosku, że abstrakcyjne idee nie wystarczą, by mobilizować ludzi do służby ojczyźnie, że potrzebne są namacalne przykłady i miejsca upamiętnienia. Stąd taka atencja dla weteranów powstania styczniowego. 3644 dożyło odzyskania niepodległości i z miejsca zostali oni objęci przez odrodzone państwo opieką. Dla społeczeństwa, zwłaszcza młodego pokolenia, stali się żywymi pomnikami poświęcenia dla ojczyzny.

LEGIONOWE CMENTARZYSKA

Pierwszymi miejscami upamiętniającymi odzyskanie wolności stały się legionowe cmentarze, które porządkowano, a nawet projektowano jeszcze w czasie walk frontowych. W pamiętnikach kapelana Legionów Polskich księdza płk. Józefa Panasia można natrafić na wiele opisów zakładania legionowych nekropolii. Na przykład pod datą 27 kwietnia 1916 roku czytamy: „Dziś zabraliśmy się do uporządkowania naszego cmentarza w Wołszeczku, położonego w przepięknym miejscu na pagórku



KIELCE. Dworzec
Dzięki składkom kolejarzy w 1928 roku przed dworcem PKP w Kielcach stanął pomnik Niepodległości – na wysokiej kolumnie był umieszczony orzeł ze zrzuconymi kajdanami, zrywający się do lotu.

za wsią. Jest to stare cmentarzysko zarosłe potężnymi sosnami, które od wieków osłaniają zaciszne miejsce wiecznego spoczynku. Nasze groby, znajdujące się we wschodniej części cmentarza, otoczyliśmy płotem, na grobach umieściliśmy krzyże dębowe z nazwiskami poległych, a na środku cmentarza duży dębowy krzyż z napisem: »My krew i życie niesiemy w dań, tylko Ojczyzno z grobu wstań«. Krzyże i napisy zostały przeze mnie zamówione jeszcze przed dwoma miesiącami, a baon etapowy kapitana Stanisława Rutkowskiego wykonał je doskonale”.

To były te pierwsze pomniki niepodległości, rozsiane często po niewielkich miejscowościach – od Karpat, przez Małopolskę, po bezkresne pola Wołynia. Fakt, że te cmentarze znajdowały się w takich miejscach, okazywał się bardzo pomocny w propagowaniu i upowszechnianiu patriotycznych postaw wśród lokalnych społeczności – krzyże lub pomniki na grobach bohaterów były znakiem poświęcenia dla ojczyzny. Do tych tak wymownych symboli dołączyły kolejne, które były już pomnikami wdzięczności społeczeństwa wolnego państwa za dar niepodległości. Pierwszą znaczącą okazją do ich fundowania było dziesięciolecie niepodle-

głości obchodzone 11 listopada 1928 roku (choć dzień ten ustanowiono świętem państwowym dopiero w kwietniu 1937 roku). Główne uroczystości, przygotowywane przez wiele miesięcy, odbyły się w Warszawie, ale tutaj, idąc śladem cmentarzy legionowych, warto wymienić kilka inicjatyw upamiętnienia odzyskania niepodległości w mniejszych, a nawet całkiem małych miejscowościach.

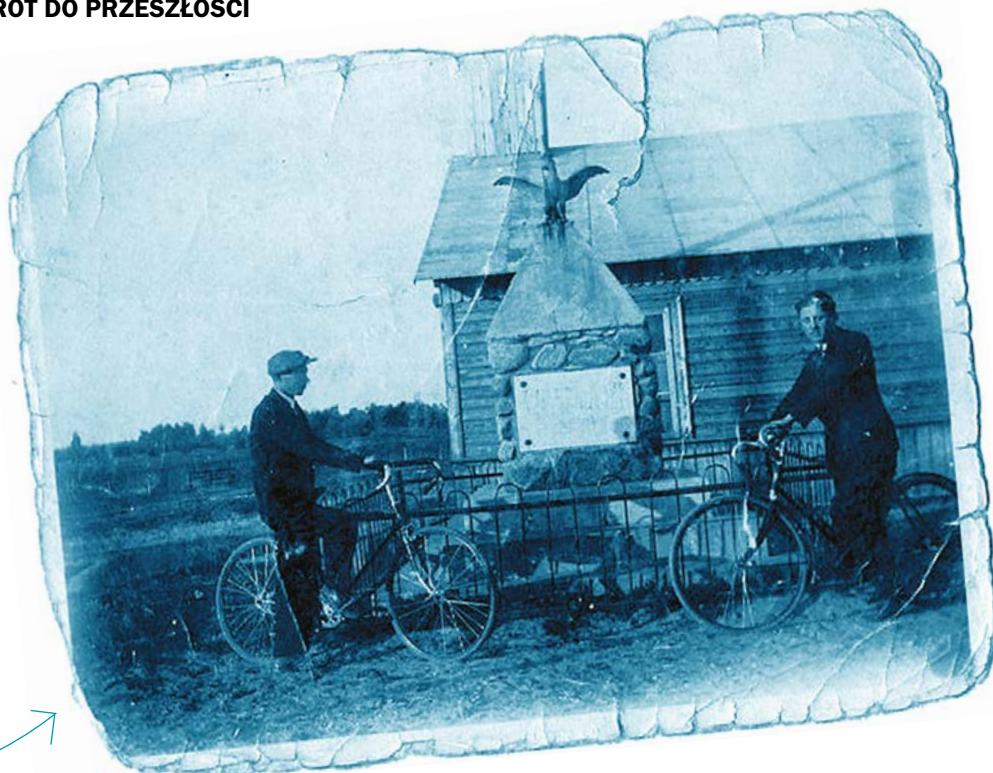
MONUMENTY PAMIĘCI

Dzięki składkom kolejarzy w 1928 roku przed dworcem PKP w Kielcach stanął pomnik Niepodległości – na wysokiej kolumnie był umieszczony orzeł ze zrzuconymi kajdanami, zrywający się do lotu. Jego usytuowanie nie było przypadkowe, gdyż w tym miejscu 12 sierpnia 1914 roku doszło do pierwszej zbrojnej potyczki I Kompanii Kadrowej z rosyjskim patrolem. Pomnik projektu studenta architektury Czesława Czapskiego odsłonięto 3 listopada 1929 roku.

Podobny, choć znacznie skromniejszy pomnik Niepodległości z orłem wzbijającym się do lotu z krępujących kajdan stanął w 1928 roku w Czosnowie w powiecie nowodworskim. Tak upamiętnili dziesięciolecie



Pomnik Niepodległości z orłem wzbijającym się do lotu z krępujących kajdan stanął w 1928 roku w Czosnowie w powiecie nowodworskim.



niepodległości mieszkańcy tej mazowieckiej wsi. Monument stał przed remizą Ochotniczej Straży Pożarnej. Pomysłodawcą jego budowy byli miejscowy nauczyciel Władysław Lerch i członkowie koła Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, a został sfinansowany w większości ze składek miejscowych strażaków. Projekt wykonał inżynier Stolarczyk. Według miejscowych przekazów, pomnik po wybuchu II wojny światowej mieli rozebrać sami mieszkańcy, by nie został sprofanowany przez Niemców.

Za to w niedalekim Wysokiem Mazowieckiem do dziś można oglądać na Rynku im. Józefa Piłsudskiego odsłonięty 11 listopada 1928 roku pomnik Niepodległości, nazywany również pomnikiem POW. Ten wielobryłowy obelisk zwieńczony kolumną z orłem poświęcono poległym w powstaniach narodowych oraz w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Został ufundowany przez lokalną społeczność.

W podkrakowskich Bolechowicach mieszkańcy na dziesięciolecie niepodległości ufundowali kamienny obelisk, który stanął przy ulicy Kościelnej. Inicjatorką budowy była miejscowa nauczycielka Elżbieta Popiel. W 1960 roku dzięki zachęce społecznika Tadeusza Szeleźniaka odnowiono obelisk, a na tablicy dopisano nazwiska oficerów zamordowanych w Katyniu. W 1980 roku na głowie orła umieszczono koronę.

W Chełmie władze ustaliły z kolei, że w dziesiątą rocznicę niepodległości zostanie w mieście usypany kopic Niepodległości. Umiejscowiono go na Górze Kate-drałnej, na gruzach kaplicy, którą wzniosły władze car-

skie dla uczczenia zniesienia unii brzeskiej. Został usypany 10 listopada 1928 roku przez młodzież szkolną z całego powiatu chełmskiego.

PONAD PODZIAŁAMI

To jedynie kilka przykładów budowy pomników niepodległości w 1928 roku w Polsce. Jak łatwo zauważyć, łączy je nie tylko podobieństwo projektów artystycznych, lecz także fakt, że powstawały dzięki inicjatywom lokalnych społeczności i władz. Komitety budowy tworzyli miejscowi nauczyciele, kolejarze, strażacy, a we wznoszenie monumentów angażowała się praktycznie cała społeczność danej miejscowości. Jak ważny był to dla nich moment, świadczą chociażby wspomnienia żyjących jeszcze mieszkańców, którzy jako bardzo młodzi ludzie lub dzieci pamiętali, że w ich wsi czy miasteczku był budowany pomnik Niepodległości.

Należy też pamiętać, w jakich czasach te oznaki wdzięczności dla niepodległej Polski powstawały. Nie chodzi tylko o konflikty polityczne, które dzieliły społeczeństwo w niewyobrażalny dzisiaj sposób. Były to także lata coraz większego kryzysu ekonomicznego. Ludzie jednak, mimo podziałów i biedy, z własnych składek stawiali pomniki, które im i przyszłym pokoleniom miały przypominać, że niepodległość to wywalczony dar, który trzeba cały czas pielęgnować. Na monumentcie w Wysokiem Mazowieckiem można przeczytać inskrypcję według słów Józefa Piłsudskiego: „Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo, zwyciężyć i spo-cząć na laurach – to klęska!”.



KSIĄŻKA

Długi cień wojny

**Opowieść o ucieczce
przed okrucieństwem
i gwałtem.**

Ta historia zaczyna się całkiem zwyczajnie, trochę jak powieść dla młodzieży, trochę jak kryminał lub thriller. Opowiedziana jest z perspektywy dziewczynki, która po śmierci matki wylądowała na ulicy. Żeby przetrwać, niczym współczesny Oliver Twist, przyłączyła się do dziecięcego gangu, w którym brutalne reguły gry wyznaczają dorośli. I na tym podobieństwo się kończy.

Natalie C. Anderson, „Miasto świętych i złodziei”, Inicjum, 2017

Książka Natalie C. Anderson „Miasto świętych i złodziei” jest porównywana do słynnej powieści Stiega Larssona „Mężczyźni, którzy nie nawiązują kobiet”. Ja nie dostrzegam tu zbyt wielkiego podobieństwa, bo włamania hakerskie, tatuaże na ramię bohaterki, morderstwo i gwałt to trochę za mało, żeby pokusić się o podobne porównania. Zresztą książka Anderson wcale nie potrzebuje takich rekomendacji. Jest niezła sama w sobie. Przy czym dla mnie jest to opowieść o uciekaniu przed okrucieństwami wojny. Ta historia dzieje się w Kongu, chociaż mogłaby wydarzyć się w wielu afrykańskich państwach, gdzie bezkarni watażkowie rozgrywają swoje interesy, używając brutalnych metod, które uderzają w zwykłych mieszkańców.

Istotę wojennej rzeczywistości oddaje ten cytat: „dziewczyny nie były przygotowa-

ne, gdy wojna wtoczyła się przez frontowe drzwi szpitala, rwąc na strzępy i siekając na kawałki. Poruszała się szybko. Nie były gotowe na ten rozlew krwi. [...] Zabierała wszystko, co przyciągnęło jej wzrok, nawet morfinę i pudding w puszcze. Zanim odeszła, położyła ręce na pięciu młodych kobietach [...] i rzekła to moje. A potem uciekła z nimi w noc”.

Życie młodych kobiet brutalni żołnierze zamienili w piekło. Tam, gdzie toczy się wojna, jest gwałt i przemoc, ale też wielki biznes. Natalie C. Anderson pokazała, jak w te tryby została wciągnięta matka bohaterki książki. Sama autorka, jako pracownica NGO, zajmowała się prawami uchodźców i działała szczególnie na rzecz dzieci oraz kobiet z ogarniętego wojną Konga. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

KSIĄŻKA

PLANER ZE ŚCIĄGĄ

**Można by rzec – kalendarz
prawie idealny.**



Budowa pistoletu czy karabinu, chwyt i postawy strzeleckie, techniki celowania, zasady bezpieczeństwa posługiwania się bronią – to jedna grupa informacji, które można znaleźć w specjalistycznym kalendarzu wydanym przez Bellonę. Zapewne dlatego Naval, były gromowiec, rekomenduje go jako idealny dla ludzi w mundurach: „Bycie żołnierzem to nieustanne dążenie do perfekcyjnego planowania. Warto mieć gdzie ten plan zapisać. Kalendarz survivalowy świetnie się do tego nadaje”.

Druża grupa informacji jest skierowana do szerszego odbiorcy. Można się dowiedzieć, jak udzielić pierwszej pomocy, spakować na pieszą eskapadę, zbudować w lesie schronienie, zdobyć wodę i żywność lub rozpalić ognisko. To idealna ściągą dla amatorów survivalu i miłośników natury. Dodatkowe atuty kalendarza to poręczny format, niewielka waga, a przy tym sporo miejsca na notatki. Okładka również została dostosowana do częstego noszenia go przy sobie. Można by zatem rzec –

kalendarz idealny. Nie do końca jednak. Jest bowiem jedno „ale”. Formuła niektórych porad nie została chyba do końca przemyślana. Pokazano np. takie grzyby jadalne, jak trzęsak pomarańczowy lub ozorek dębowy, czyli mało znane. Do tego zamieszczono nieczytelną ilustrację, która w żaden sposób nikomu nie pomoże w ich identyfikacji. Podobnie jest z trującymi okazami, bo tu muchomor sromotnikowy wygląda jak dziesiątki innych grzybów. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

KSIĄŻKA

Koniec jest blisko?

Im więcej wiesz, tym krócej żyjesz.

Gdy w XVI wieku konkwistadorzy kawałek po kawałku wydzielali Jukatán z rąk Majów, z pewnością nie przewidzieli, że 500 lat później ich poczynania staną się nie tylko przedmiotem rozważań historyków, lecz także tematem thrillera, napisanego w dodatku w odległej, egzotycznej Rosji. **Hiszpańskie podboje jednak na tyle zainteresowały Dmitrija'ego Glukhovskij'ego, że uczynił je osią fabuły swojej najnowszej powieści „Czas zmierzchu”.** Owszem, wymarłe cywilizacje, takie jak Majowie, to niewyczerpane źródło inspiracji. I dobrze, że zaczerpnął z niego Glukhovskij.

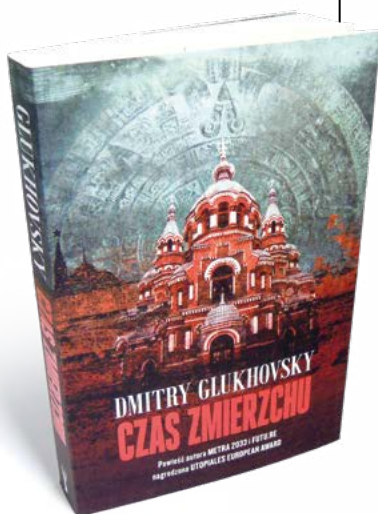
Główny bohater Dmitrij Aleksiejewicz, tłumacz, dostaje nietypowe zlecenie – ma zrobić przekład pamiętnika nieznanego autora, opisującego hiszpańską ekspedycję w głąb Jukatánu. Od tego momentu akcja powieści prowadzona jest dwutorowo. Jednocześnie możemy śledzić losy bohatera i czytać fragmenty przetłumaczonych przez Dmitrija zapisków. Gdy zaczyna on pracę nad tekstem, mimowolnie wciąga się w opisywane tam wydarzenia i zaczyna utożsamiać się z ich

bohaterami. Historia XVI-wiecznej ekspedycji, której celem jest odnalezienie tajemniczego artefaktu, staje się obsesją tłumacza, potęgowaną niepokojącymi snami i wizjami, które zaczynają przenikać do rzeczywistości. W Moskwie pojawiają się postaci z mitologii Majów, mają miejsce rytualne morderstwa, a sam Dmitrij czuje, że stał się częścią historii, z której nie wyjdzie żywy. W dodatku wszelkie znaki na niebie i ziemi – nawiedzające kontynenty kataklizmy i klęski żywiołowe – wskazują, że groźba zagłady dotyczy nie tylko jego, lecz także reszty świata.

Dmitrij Glukhovskij, młody rosyjski pisarz, dziennikarz i publicysta, kojarzony jest przede wszystkim z postapokaliptyczną serią Uniwersum Metro, którą zapoczątkował. W Polsce ukazały się oprócz Metra jeszcze jego opowiadania „Witajcie w Rosji” i fantastyczna powieść „Futu.re”, w której autor przedstawia swoją wizję rozpadu zglobalizowanej Europy, zmagającej się m.in. z paraliżującym granicę napływem uchodźców spoza kontynentu. Daje tym samym dowód na to, jak pięknie literatura staje się życiem, a życie historią. „Czas zmierzchu” to powieść w zupełnie innym klimacie, ale jednocześnie bardzo w stylu Glukhovskij'ego, z tym charakterystycznym dla niego błyskiem i ironicznym, ale też przenikliwym, podejściem do rzeczywistości. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Dmitrij Glukhovskij, „Czas zmierzchu”, Insignis, 2017



POD NASZYM
PATRONATEM



Powstanie 70 lat później

Jak wyglądałby wielki zryw Niepodległościowy w dzisiejszych czasach? Na to pytanie spróbował odpowiedzieć Jakub Pawełek, pasjonat wojskowości, autor kilku współczesnych powieści militarnych. „#Wawskie 14” to pozycja otwierająca przed czytelnikiem zupełnie nową perspektywę. Jakub Pawełek przenosi rzeczywistość powstania warszawskiego do 2014 roku. Stolica Polski udręczona przez niemieckiego okupanta jest żądna walki i odzyskania wolności. W stronę Warszawy zmierza też Armia Czerwona, a Polacy szykują się do ostatecznych rozstrzygnięć.

Uwspółcześniona wersja powstania to nie tylko ciekawa fabuła. Pawełek z dużym wyczuciem zderza postawę współczesnej młodzieży z tą z 1944 roku. Autor stara się przewidzieć, jak pokolenie smartfonów i mediów społecznościowych, za których pośrednictwem świat dowiaduje się o niemieckim terrorze, poradziłoby sobie w powstańczej rzeczywistości. Niemal 400 stron lektury nie zawiedzie miłośników gatunku i twórczości autora. ■

PIOTR ZARZYCKI

Jakub Pawełek, „#Wawskie 14”, War Book, 2017

KRYPTONIM HHhH

FILM

Śmierć kata Pragi

Niektóre motywy filmowe co jakiś czas wracają jak bumerang, w zdublowanej formie. Jednym z nich jest zamach na Reinharda Heydricha. Rok temu mogliśmy zobaczyć „Operację Anthropoid” Seana Ellisa z Cillianem Murphym i Jamiem Dornanem. W tym roku motyw zamachu pojawia się w filmie „Kryptonim HHhH” Cédrica Jimeneza. Temat niby ten sam, ale pokazany został z różnych perspektyw. Ellis skupił uwagę na kulisach zamachu i jego organizatorach, Jimenez przyjrzał się natomiast bliżej samemu Heydrichowi. Człowiek o żelaznym sercu, mózg Himmlera (od kreślenia określenia „Himmlers Hirn heißt Heydrich”, pochodzi tytuł filmu), z zamiłowania i muzyk, i zbrodniarz. Tak właśnie przedstawia go Jimenez, przeplatając zgrabnie sceny rodzinne z tymi pokazującymi przemoc



i śmierć. Dużym atutem filmu jest przy tym odtwórca głównej roli Jason Clarke i jego stalowe spojrzenie.

Co ciekawe, już w 1943 roku Fritz Lang nakręcił obraz „Kaci też umierają”, którego fabuła nawiązuje do praskich wydarzeń. Dokładnie w tym samym roku, na ten sam temat powstał kolejny dramat, tym razem w reżyserii Douglasa Sirkę, „Hitler’s Madman”.

JOANNA ROCHOWICZ

„Kryptonim HHhH”, reż. Cédric Jimenez, w rolach głównych Jason Clarke, Rosamund Pike, Jack Reynor, Mia Wasikowska, premiera w Polsce: listopad 2017, dystrybucja M2Films

KSIĄŻKA

Zabójcza dojrzałość

Postapokaliptyczna wizja świata bez dorosłych.

Wydawałoby się, że świat, w którym nie rządzą dorośli, to marzenie nastolatków. Bez zasad, ograniczeń i codziennego trucia. Jednak, jak mówi stare chińskie porzekadło, uważaj, czego sobie życzysz, bo może się to spełnić.

Nastoletni bohaterowie „Młodego świata” zostali sami. Tajemnicza epidemia, która w ciągu dwóch lat zabiła wszystkich dorosłych i małe dzieci, ich ominęła. Ale tylko na chwilę. Wirus, którego są nosicielami, uaktywnia się po osiągnięciu pełnoletniości. Tak właśnie stało się z przywódcą jednej z grup nastolatków Washem, który umiera tuż po swojej osiemnastce. Jego zrozpaczony młodszy brat Jeff postanawia poznać przyczynę tajemniczej cho-

roby i znaleźć lekarstwo. Wraz z grupą przyjaciół wyrusza na niebezpieczną wyprawę.

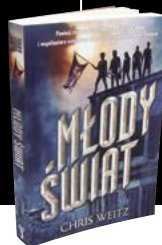
„Młody świat” Chrisa Weitza to taka bardzo współczesna amerykańska postapokaliptyczna wersja „Króla Maciusia”. Tym bardziej przerażająca, że pokazuje, jak bardzo **w ciągu kilkudziesięciu lat świat dosłownie wystrzelił w kosmos**. Korczak w swojej książce, co prawda, nie uśmiercił dorosłych, lecz ich zdetronizował, ale jego mali bohaterowie marzyli głównie o słodyczach i wiecznej zabawie. Była w tym uroczą naiwność zarówno autora, jak i postaci, które stworzył. Bohaterowie Chrisa Weitza to

kompletny produkt naszych czasów. Nieskomplikowani, prosto myślący, cieszą się nieskrępowanym seksem, a ich kciuki tęsknią za klawiaturą iPodów. Więcej niż o rodzicach i perspektywie krótkiego życia myślą o tym, że nie mogą już wysyłać esemesów i zapraszać znajomych na Facebooka. Powoli odkrywają, że życie w określonej społeczności to także obowiązki.

Książkę Weitza, to trzeba przyznać, czyta się dobrze. I szybko. I przyjemnie. Szczególnie jeśli jest się nastolatkiem. W porównaniu z innymi publikacjami z tego gatunku, a jest w czym wybierać, nie rzuca jednak na kolana. Można oczywiście przebić się przez bardzo naskórkową fabułę i gdzieś tam odkryć jej drugie dno. Nie wiem tylko, czy Weitz sam go szukał.

JOANNA ROCHOWICZ

Chris Weitz, „Młody świat”, Insignis, 2017





ANDRZEJ
FĄFARA

Defilady nie będzie



Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby komuna dociągnęła do 2017 roku, czyli do stulecia rewolucji październikowej. Defilady, akademie, ordery, nominacje. Do sklepów rzuciliby na pewno towary zwane deficytowymi, które w innych częściach świata opłacało się produkować i sprzedawać, a w naszym rejonie występowały rzadko i drożały nieustannie. Ale trzeba obiektywnie przyznać, że taniały lokomotywy. Co fakt to fakt.

Czytam opis wydarzeń, do których doszło w październiku (czy też w listopadzie, według kalendarza gregoriańskiego) 1917 roku w Piotrogradzie, i nie mogę uwierzyć, że się wtedy bolszewikom udało. Chaos towarzyszący zdobywaniu władzy przez Lenina i jego ekipę był doprawdy wszechogromny i zadziwiający. Choć z drugiej strony, czy ludzie tacy jak ja, którzy połowę życia spędzili w ustroju zapoczątkowanym strzałami z Aurory, powinni się dziwić bałaganowi u zarania?

W dniu uznawanym za najważniejszy dla rewolucji, czyli 7 listopada, Lenin od rana pisał karteczki do swoich dowódców, by zajmowali ważne punkty w Piotrogradzie, takie jak Centralny Telegraf, elektrownia czy most Mikołajewski. Tak wyglądała łączność rewolucyjna. Jak się później okazało, kartki gdzieś się zapodziały, nie docierały do adresatów, ale grupy dzielnych towarzyszy z własnej inicjatywy opanowywały strategiczne miejsca. Bolszewicy mieli tego dnia jakieś niesamowite szczęście, wszystko układało się po ich myśli.

Druga sprawa, która do dziś robi na mnie wielkie wrażenie, to mikre siły wywrotowców. Lenin miał po swojej stronie w Piotrogradzie 7 tys. ludzi, w tym 2,5 tys. marynarzy z Kronsztadu. Cóż to za śmieszna liczba w ogromnym kraju, który podczas trwającej wciąż I wojny światowej był w stanie zmobilizować 12 mln żołnierzy? W zdobyciu Pałacu Zimowego, które było jednym z kluczowych momentów rewolucji, uczestniczyło zaledwie kilkuset czerwonogwardystów.

Opis ataku bolszewików na siedzibę Rządu Tymczasowego chwilami przypomina groteskowe opowiadania Michaiła Zoszczenki. Pałac Zimowy miał mnóstwo wejść, przez które grupki czerwonych co i rusz wpadały do środka. Tam natychmiast były aresztowane przez dobrze uzbrojonych obrońców. Po północy jeńców było znacznie więcej niż pilnujących, więc w pewnym momencie nastąpiła zmiana ról. Bolszewicy wzięli do niewoli strażników, pałac został zdobyty.

Takie oto były okoliczności wydarzenia, które na długo odmieniło losy świata. Wydarzenia, które przyniosło milionom ludzi wielkie cierpienia i śmierć. Co ciekawe, ówczesnym obserwatorom wydawało się, że są to zmiany chwilowe i że sytuacja w Imperium Rosyjskim po zakończeniu I wojny światowej musi się szybko unormować. Można czasami odnieść wrażenie, że wciąż się normuje. Ale defilady na stulecie chyba jednak nie będzie...



ŻOŁNIERZ POLSKI

W DZIAŁANIACH POZA GRANICAMI PAŃSTWA

- ODZNAKI I OZNAKI PAMIĄTKOWE



Wystawa czynna

od 15.11.2017 do 12.01.2018

od Pn do Pt w godzinach

od 9:00 do 20:00



CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

ul. Puławska 6a, 00-909 Warszawa. Zgłaszanie grup zorganizowanych tel. 261 842 073.

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy